

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 1451



BC KSK / 1451

MEIR EZOFOWICZ

TOM I

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

PISMA ELIZY ORZESZKOWEJ

REDAKTORZY
AURELI DROGOSZEWSKI
LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI

TOM IV



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

ELIZA ORZESZKOWA

MEIR EZOFOWICZ

TOM I

1451/5
— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium G.S.B.
w Białymstoku

1488
I



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ T. PIOTROWSKI
OPRAWĘ — E. MANTEUFFEL

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy M. O. S. B.
w Białymstoku

1451/I

COPYRIGHT BY GEBETHNER I WOLFF

*Wszystkim ziomkom moim z do-
brą wiarą i wolą pragnącym światła
i pokoju bez względu na to, gdzie
i jak oddają oni cześć Bogu —
powieść tę poświęcam.*

AUTORKA

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 7

WSTĘP

U szczytów cywilizacji zbiegają się i zgodnie łączą się ze sobą różnorodne gałęzie wielkiego drzewa ludzkości. Oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa. Wygląda ona chropowatości zewnętrzne i ścina wewnętrzne wybujałości, dozwala przyrodzonym cechom plemion różnych rozwijać się obok siebie we wzajemnym poszanowaniu, same nawet religijne wierzenia oczyszcza z narośli wytworzonych przez zmienne czasy, a sprowadzając je do najprostszego ich wyrazu sprawia, iż spotykają się one ze sobą bez wstrętów i szkód.

Inaczej dzieje się w głębokościach, w społecznych dolinach, nad którymi nie świeci słońce wiedzy. Tam ludzie są jeszcze dziś takimi, jakimi byli w odległych stuleciach. Czas kopiąc mogiły przodkom ich nie zagrzebał wraz z nimi form i treści, które wciąż odradzając się tworzą pośród zdumionych społeczeństw niepojęte już im anachronizmy. Tam istnieją odębności ostrymi kantami odpychające wszystko, co nie jest nimi, czołgają się nędze fizyczne i moralne z imienia nawet nie znane tym, którzy stanęli u szczytów. Tam są zbiorowiska ciemnych postaci odskakujące od jasnego tła reszty świata w mętnych zarysach sfinksów strzegących grobów i szeroko rozkładają się skamieniałości wiar, uczuć i obyczajów, istnieniem swym zdające się świadczyć o tym, że geniusze wielu stuleci jednocześnie nad światem panować mogą.

Patrycjat i plebs przeistaczając z upływem czasu naturę swą i rację swego bytu zamienili dziś dawne swe role. Pierw-

szy stał się obrońcą i krzewicielem równości, drugi uparcie trwa przy wyróżnieniach i odrębnościach. I jeżeli niegdyś przemoc i uciski przybywały od tych, którzy stali wysoko, ku tym, którzy w prochu i pokorze roili się na głębokościach, teraz z głębokości podnoszą się niezdrowe wyziewy te i ciężkie kamienie obrazy, które zatruwają życie i utrudniają drogi wybrancom cywilizacji.

Nieszczęsne i unieszczęśliwiające doliny takie, otoczone i z resztą świata rozdzielone grubym łańcuchem gór z mgieł i ciemności, istnieją w społeczeństwie izraelskim również jak w innych, więcej nawet niż w innych. Zbyt przedłużone istnienie ich wynikiem jest wielu przyczyn dziejowych i cech plemiennych. Dziś są one zjawiskami wabiącymi ku sobie wzrok myśliciela i artysty niezmiernym wpływem, który wierają dokoła, i niepospolitością kolorytu swego, na który składają się mroki tajemnicze i przeryniające je jaskrawe ognie.

A jednak — któż bada je i zna? Ci nawet, których jedność krwi i tradycji pociągać by powinna ku miejscom tym zagubionym w ciemnościach, nie posyłają ku nim malarzy ni apostołów, nie zawsze nawet wierzyć chcą w ich istnienie.

Jakże, na przykład, zdziwionym byłoby towarzystwo izraelskie zgromadzone w największym z miast krajowych złożone z panów wykształconych, uczonych, oddających się zawodom stojącym na czele umysłowości ludzkiej i pań, które we wdzięku, wykuintności, dowcipie nie ustępują częstokroć najwydatniejszym postaciom kobiecym innych społeczeństw — jakże zdziwionym byłoby towarzystwo to ubrane w czarne fraki i jedwabne suknie, gdyby ktokolwiek opowiadać mu zaczął nagle o tym, co to jest Szybów i co się dzieje w Szybowie!

Szybów? Na jakiej planecie znajduje się miejsce to? a jeżeli na naszej, jaka je zamieszkuje ludność, z białych, czarnych czy brązowych ludzi złożona?

Otóż, czytelnicy, podejmuję się zaznajomić was z tą głęboką, bardzo głęboką doliną społeczną, która nosi tylko co wymienioną nazwę. Niedawno odegrał się w niej dramat ciekawy, godzien życzliwego spojrzenia waszego, silnego uderzenia serca i długiej, smętnej chwili zadumy. Że jednak dla pełnego uwydatnienia faktów i postaci należy ukazać je na tle, wśród którego powstały one i rozwinęły się i w którego głębokich perspektywach mieszczą się żywioły będące przyczyną ich bytu, pozwólcie, abym przed odsłonięciem zasłony ukrywającej pierwsze sceny dramatu opowiedziała wam w krótkich rysach zawartą historię małego miasteczka.

Daleko, daleko od tej gałęzi kolei żelaznych, która przeryna białoruskie strony, daleko nawet od przebiegającej je spławnej rzeki Dźwiny, w jednym z najustronniejszych zakątków, jakie dotąd jeszcze istnieć mogą w Europie, pośród gładkich, cichych, rozległych równin, na zbiegu dwóch szerokich piaszczystych dróg, które wywijając się spod skłonów bladej nieba znikają w głębiach czarnego lasu — szarzeje gromada kilkuset domostw mniejszych i większych, tak ściśle zbliżonych ku sobie, że patrząc na nie można by rzec, iż były one kiedyś w wielkiej jakiejś trwodze i zbiegły się tak ku sobie, aby we skupionej gromadce móc łatwiej zamieniać się szepotami i łzami.

Jest to Szybów, miasteczko zamieszkiwane przez izraelską ludność wyłącznie jeszcze niż wiele innych miejsc podobnych, całkiem prawie wyłącznie, bo z wyjątkiem jednej tylko uliczki znajdującej się na samym skraju miasteczka, przy której w kilku chatach i dworach mieszka kilkudziesięciu bardzo ubogich mieszczan i bardzo cichych starych emerytów.

Jedyna też to jest uliczka, wśród której panuje cisza i w lecie kwitną skromne kwiaty. Gdzie indziej nie ma kwiatów, ale panuje wielki i nieustanny gwar. Gwarzą tam ludzie i ruszają

się nieustannie, zapobiegliwie, namiętnie we wnętrzach domostw i na ciasnych, błotnistych przejściach noszących nazwę ulic i na okrągłym, dość obszernym rynku pośrodku miasteczka umieszczonym, dokoła którego otwierają się niskie drzwiczki cuchnących kramików, na którym po cotygodniowych targach sprowadzających okoliczną ludność pozostaje niezmierzona i nieprzebrana ilość błota i śmiecia, nad którym na koniec panuje wysoki, ciemny, dziwnego kształtu dom modlitwy.

Budowa ta jest jednym z rzadkich już okazów architektury izraelskiej. Malarz i archeolog mogą zatrzymywać na niej wzrok swój z jednostajną ciekawością. Od pierwszego zaraz rzutu oka poznać można, że jest to świątynia, jakkolwiek pozór jej czyni ją niepodobną do wszystkich innych świątyń. Cztery jej grube, wysokie, ciężkie ściany zarysowują monotonne linie ogromnego czworokąta i mają ciemną, brunatną barwę przyoblekającą je piętnem powagi, starości i smutku. Stare też to są, odwieczne ściany niezawodnie, bo podłużnymi pasy porasta je tu i ówdzie zielonawy mech. U góry, wysoko, przerzyna je szereg długich, wąskich, głęboko osadzonych okien przypominających kształtem swym strzelnice warownych murów; powyżej zaś całą budowę okrywa dach, którego trzy ciężkie, wzajem na siebie opadające piętra podobne wydają się do trzech brunatnych, omszonych, olbrzymich grzybów.

Wszystko, co tylko pokaźniejszy posiada pozór i do ogólnego użytku służy, skupia się tu i chroni pod osłonę brunatnych ścian świątyni i grzybiastego jej dachu. Tu, dokoła obszernych dziedzińców, stoją przyszkółki, chedery, miejsca zgromadzeń zwierzchności kahalnej; tu przysiadł niziuchny, czarny domek o dwóch okienkach, istna lepianka, którą od kilku już wieków i wielu pokoleń zamieszkują rabini ze słynnej w gminie i daleko poza gminą rodziny Todrosów pochodzący; tu na koniec panuje zawsze czystość wzorowa, a choć gdzie indziej, w jesiennych szczególniej i wiosennych porach,

ludzie topią się niemal w błocie i zakopują w śmieciu, podwórze szkolne okrywają zawsze suche i białe kamienie; żdźbła słomy nawet trudno by na nich dopatrzyć, bo jeśli i znajdzie się kiedy jakie, wnet podnosi je ręka przechodnia, dbałego o piękność miejsc ścielących się do stóp świątyni.

Jakie znaczenie Szybów posiada dla ludności izraelskiej zamieszkałej w stronach białoruskich, a nawet dalej jeszcze, na szerokich przestrzeniach Litwy, wniesć można z kłopotliwego dość wydarzenia, które spotkało szlachcica pewnego, więcej wesołego niż mądrego, w rozmowie z pewnym Żydek-faktorem pokornym, więcej jednak dowcipnym niż pokornym.

Żydek-faktor stał u drzwi gabinetu pańskiego, pochylony nieco ku pańskiemu obliczu, uśmiechniony, gotów zawsze do sprężystego poskoku w celu usłużenia panu i do dowcipnego słówka w celu obudzenia dobrego jego humoru.

Pan był w dobrym humorze i żartował z Żydka.

— Chaimku — mówił — czy byłeś ty w Krakowie?

— Nie byłem, jasnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek ukłonił się.

— Chaimku, czy byłeś ty w Rzymie?

— Nie byłem, jasnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek ukłonił się powtórnie, ale zarazem o dwa kroki bliżej pana przystąpił. Na ustach zaigrał mu jeden z tych uśmiechów, właściwych ludziom jego plemienia, sprytnych, przebiegłych, o których powiedzieć na pewno nie można, czy pokora w nich maluje się albo tajemny tryumf, pochlebstwo albo szyderstwo.

— Przepraszam jasnego pana — rzekł z cicha — czy jasny pan był w Szybowie?

Szybów odległym był od miejsca, na którym toczyła się rozmowa, o jakich mil dwadzieścia.

Szlachcic odpowiedział:

— Nie byłem.

— A co teraz będzie? — ciszej jeszcze szepnął Chaimek.

Podanie zamilcza o tym, co na kłopotliwe pytanie to odpowiedział wesół szlachcic, ale z posłuszenia się Szybowem jako argumentem odpierającym ubliżające twierdzenia, a raczej wywzajemniającym się za nie, wniesć można, iż dla Chaimka Szybów był tym, czym dla szlachcica były Kraków i Rzym, więc miejscem skupiającym w sobie i przedstawiającym cywilne i religijne powagi.

Gdyby ktokolwiek zapytał był podówczas Żydka-faktora, dlaczego tak wysokie znaczenie przywiązuje do miłośnicy małej, zapadłej wśród głuchych równin, wymieniłby on prawdopodobnie dwa tylko nazwiska będące nazwiskami dwóch rodów od wieków w Szybowie zamieszkałych: Ezofowiczów i Todrosów. Pomiędzy dwoma rodami tymi taka zachodziła różnica i taki wytworzył się podział, że Ezofowiczowie przedstawiali sobą do wysokiego stopnia spotęgowany żywioł świeckich świetności, jako to: liczne rozrodcie się i zestosunkowania, bogactwa i bystrej zręczności w robieniu interesów i powiększaniu majątku — Todrosowie zaś przedstawicielami byli żywiołu duchowego: pobożności, religijnej uczoności, surowej aż do ascetyzmu czystości życia.

Być może nawet, iż Chaimek zapytany o przyczynę znaczenia przywiązywanego do małej miłośnicy zapomniałby o wymienieniu Ezofowiczów; jakkolwiek bowiem bogactwem i wpływami rodu tego chlubil się Izraelici wszyscy na wiele dziesiątków mil dokoła niby jedną ze swych chwał narodowych, blask ten, czysto światowy, bladł przy promieniach duchowej świętości, którymi otoczonym było od niezmiennie dawna imię Todrosów.

Todrosowie uważanymi byli od dawien dawna przez całą ludność izraelską Białoruś i Litwę zamieszkującą za skończony wzór i nienaruszoną arkę prawowierności religijnej. Czy było

tak w istocie? Znajdowali się tu i ówdzie uczeni talmudyści, którzy na wzmiankę o talmudycznej prawowierności Todrosów uśmiechali się jakoś dziwnie i gdy się zeszli z sobą, smutnie coś o niej szeptali. Wiele, wiele do myślenia dawała uczonym talmudystom owa sławiona prawowierność talmudyczna Todrosów. Stanowili oni przecież ogromną mniejszość; kilku ich było zaledwie lub kilkunastu wątpiących wobec wierzących tłumów. Tłumy wierzyły, wielbiły i do Szybowa dążyły, jako do miejsca uświęconego, z pokłonem, po naukę, radę, pociechy i leki.

Nie zawsze przecież Szybów posiadał taką sławę prawowierności. Owszem, pierwszymi założycielami jego byli odziedziczeni, przedstawiciele w Izraelu ducha opozycji i rozbioru, karaici. Niegdyś, bardzo dawno temu, nawrócili oni byli na wiarę swą możny lud zamieszkujący płynącą winem i złotem ziemię Chersonesu i stali się jej królami. Potem ze wspomnieniami królowania tego, z jedyną religijną i prawodawczą księgą swą, Biblią, powędrowali w świat podwójni wygnañcy Palestyny i Krymu, a mała część ich sprowadzona na Litwę przez w. księcia litewskiego Witolda posunęła się aż na Białoruś i tam osiadła w gromadce domków i lepiarek, którą nazwano Szybowem.

Natenczas w piątkowe i sobotnie wieczory panowała w miasteczku głucha cisza i ciemność, karaici bowiem wbrew talmudystom nie spotykali świętego dnia sabatu światłem rzęsim, gwarnym weselem i obfitymi ucztami, ale witali go ciemnością, milczeniem, smutkiem i rozmyślaniami nad upadkiem świątyni chwały i mocy ojczystej. Wtedy z czarnych wnętrzy domostw, zza małych mętnych okienek, wypływały na zewnątrz przyciszone, przeciągłe, śpiewne i żałośliwe dźwięki, którymi ojcowie opowiadali dzieciom swym o prorokach, którzy nad rzekami Babilonu tłukli harfy swe i ucinali palce u rąk, aby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu w niewoli o błogosławionej krainie Chawili, kędyś na południu Arabii

położonej, w której dziesięć pokoleń izraelskich mieszkało w swobodzie, szczęściu i pokoju nie znając, co to kłótnia albo miecz, o świętej rzece Sabationu kryjącej izraelskich tułaczy przed oczami ich wrogów.

Przyszła jednak pora, w której tu i ówdzie w piątkowe wieczory okienka domków błyskać poczęły światłami i rzucać na zewnątrz gwar głośnych rozmów i chóralnych modlitw. Rabbanici przybywali. Czciciele talmudycznych powag, przedstawiciele ślepej wiary w podania ustne zebrane i przekazane przez Kohenów, Tanaitów i Gaonów nachodzili i wypierali z siedlisk garstkę kacerzy-rozbitków. Pod wpływem najścia tego gmina karaicka topniała zwolna; ostatni cios zadał jej mąż znany w dziejach Izraelitów polskich, Michał Ezofowicz, Senior.

Pierwszy to był Ezofowicz, którego imię wyłoniło się z cieniów niewiadomości. Rodzina jego, niezmiernie dawno w Polsce osiadła, jedną z tych była, które za królów Jagiellonów pod wpływem praw i zwyczajów wytworzonych niezwykle wysokim na one czasy stanem oświaty w Polsce życzliwymi węzły połączyły się z miejscową ludnością. Seniosem, czyli starszym nad Żydami wszystkimi Litwę i Białoruś zamieszkującymi, mianował go król Zygmunt I dyplomem, którego ustęp główny brzmiał, jak następuje:

„My, Zygmunt, z Bożej łaski itd., wiadomo czynimy wszystkim Żydom zamieszkającym w państwie, Ojczyźnie naszej... Zważwszy na wierne ku nam usługi Żyda, Michała Ezofowicza, i bacząc, abyście w sprawach waszych z Nami w niczym nie doznawali przeszkody i opóźnienia, według sprawiedliwości stanowimy: aby Michał Ezofowicz wszystkie wasze sprawy przy Nas załatwiał i był nad wami wszystkim starszym, a wy macie za jego pośrednictwem do Nas się udawać i być jemu we wszystkim uległymi. Będzie on was sądzić i rządzić wami według zwyczaju waszego prawa, i winnych karać z przyzwoleniem Naszym, każdego według zasługi...”

Z kilku wzmianek, które czyni o nim historia, łatwo poznać w Seniorze człowieka silnej i sprężystej woli. W pewną siebie dłoń ujął on powierzone mu nad współwyznawcami rządy, a na tych, którzy poddać się im nie chcieli, na karaitów mianowicie, rzucił klątwę wyłączającą ich spośród społeczeństwa izraelskiego i odbierającą im prawo do współplemiennej pomocy i przyjaźni.

Pod uderzeniem ciosu tego egzystencja dawnych mieszkańców Szybowa, dość smutna, uboga i bezczynna przedtem, ostatecznemu uległa rozprężeniu. Potomkowie chazarskich władców, kacerze, stanowiący, jak zwykle bywa, wśród społeczeństwa swego ogromną mniejszość i będący dlań przedmiotem niechęci i wstrętu, znękani i biedni, z upartym swym a wyłącznym przywiązaniem do Biblii w sercu, ze swymi poetycznymi legendami na ustach, opuścili miejsce, które im dało chwilowy przytułek. Rozeszli się w świat szeroki i nieprzyjazny, za cały ślad dwuwiekowego pobytu swego w szarej gromadce domostw rzuconej wśród białoruskich rozłogów pozostawiając kilka rodzin wytrwalszych, namiętnej przywiązanych do starych grobów, które schroniły kości ich ojców, i do wzgórze usianego gruzami świątyni ich obalonej przez zwycięskich rabbanitów.

Rabbanici zajęli Szybów w posiadanie zupełne i co prawda, czynnością swą, zapobiegliwością, ścisłą spójnością działań swych, które źródło siły swej czerpały z bezprzykładnej niemal wzajemnej pomocy, zamienili szarą mieścinę z miejsca ciszy, smutku i ubóstwa w miejsce ruchu, gwaru, zachodu i bogactw.

W ogóle zresztą dobrze się działo w czasach onych Żydom poddanym władzy Seniora. Oprócz materialnych powodzeń świtać dla nich zaczęła nadzieja wywyższenia się z umysłowej ciemnoty i ze społecznego poniżenia. Senior posiadać musiał umysł bystry i jasny, skoro zza wiekowych uprzedzeń i przesądów dojrzeć potrafił ducha czasu i potrzeby ludu

swego. Nie przez fanatyzm religijny zapewne, ale dla czysto administracyjnych lub i szerzej społecznych celów odrzucił on był karaitów od Izraelowego łona, jakkolwiek bowiem rabbanitą był, więc obowiązany do bezwzględnej czci i wiary względem religijnych powag, sceptycyzm, najlepsza ta, a może i jedyna droga ku mądrości, nawiedzał niekiedy umysł jego. W jednym z podań swych do króla odpierając zarzuty, które czyniono sprawiedliwości dokonywanych przezeń sądów, smutnie i nieco ironicznie pisał on:

„Księgi nasze różnie i różnie nakazują; nie wiemy często, jak postąpić, kiedy Gamaliel tak, a Eliezer inaczej rozkazują. W Babilonie jedna, w Jerozolimie druga jest prawda.¹ My słuchamy drugiego Mojżesza,² a nowi nazywają go kacerzem. Zachęcam ja uczonych do pisania takich mądrych rzeczy, aby rozumni i głupi słuchać ich mogli“.

Była to właśnie pora, w której na Zachodzie wśród Izraelitów osiadłych w Hiszpanii i Francji podniósł się wielki spór o to, czy nauka świecka wzbbroniona lub dozwolona ma być wyznawcom Biblii i Talmudu. Zdania ważyły się, lecz długo ważyć się nie mogły, gdyż stronnicy bezwarunkowego wyłączenia się Izraela spośród umysłowych prac i dążeń ludzkości stanowili większość ogromną. Na społeczeństwo każde nachodziła niekiedy chwila takiego zapadania w ciemność. Zdarza się to wtedy najczęściej, gdy żywotność i energia narodu zmęczoną uczuje się długim pasmem dokonanych wysiłków i przetrwanych męczarni, osłabioną potokami wylanej krwi. Żydzi zachodni po kilku stuleciach istnienia w trwodze, tułactwie, we krwi i ogniu przebywali w wieku XVI chwilę taką. Dalekimi już były od nich czasy te, w których z łona ich powstawali sławni doktorowie umiejętności świeckich miłowani przez ludy, poważani przez samych królów; daleką od nich, zapo-

¹ Dwa wydania Talmudu, babilońskie i jerozolimskie, niezupełnie ze sobą zgodne.

² Majmonidesa.

mnianą już, wzgardzoną była szeroka i wysoka myśl Majmonidesa, który oddając należną cześć izraelskiemu prawodawcy wielbił też greckich mędrców, który naukę biblijną i talmudyczną oprzeć i utrwalić usiłował na podstawach matematycznych i astronomicznych prawd, otwarcie wyznawał pragnienie zawarcia dwutysięcy pięciuset arkuszy Talmudu w jednym chociażby, byle jasnym jak dzień rozdziale, który mniemał nierozsądnych religijnymi nawet nie usprawiedliwiających wierzeniami utrzymywał, że „oczy umieszczonymi są z przodu głowy człowieka, nie zaś z tyłu, dlatego, aby wolno mu było patrzeć przed siebie“. I przepowiadał, „że świat cały napełni się kiedyś wiedzą, tak jak wodą napełnionymi są otchłanie morza“.

Cztery wieki minęło, odkąd zniknęła z powierzchni świata poważna, słodka, wysoce sympatyczna postać izraelskiego myśliciela, który zresztą był jednym z największych w ogóle myślicieli średnich wieków. Olbrzymia z orlim wzrokiem i płomiennym sercem zastąpiły karły o piersi zmęczonej i przesyconej goryczą, o spojrzeniu spoglądającym na świat mętnie, ciasno, podejrzliwie.

„Strzeż się mądrości greckiej — wołał do syna swego Józef Ezobi — albowiem podobną ona jest do sodomskiej winnicy leżącej w głowę człowieka pijaństwo i grzech“. „Obey ludzkie wciskają się w bramy Syjonu!“ — wyrzekł Abba-Mazi na wieść o żydowskiej młodzieży uczącej się u innowierczych mistrzów. A wszyscy społem, rabini i naczelnicy gmin żydowskich na Zachodzie, wydają rozkaz, ażeby nikt przed skończeniem trzydziestu lat życia nie miał się zająć około nauki świeckiej. „Ten tylko bowiem — powiadają — który napełnił już umysł swój Biblią i Talmudem, posiada prawo ogrzewania się przy obcych płomieniach“.

„Rabbi! — odpowiadali na to śmielsi nieco, lubo niemniej poddający się kornie rozporządzeniu duchowych zwierzchników swych — a jakoż będziemy badali wiedzę świecką po

trzydziestu latach naszego życia, skoro do czasu tego umysły nasze stępieją, pamięć umęczy się i nie będziemy już mieli ochoty i siły młodości?“

Stało się przecież tak, jak nakazany było. Umysły ich stępiły się, pamięć zmęczona omdlała, opadły z nich siły i chęci młodości. Grób Majmonidesa, milczący i nieruchomy, stał pośród morza ciemności, które rozlało się na lud, przez niego wiedziony ku światłu. Na pamięć jego rzucono klątwę, a zuchwała ręka starła mu z grobowca napis pełny wdzięczności i chwały zastępując go słowami suchymi i okrutnymi jak ciemnota i fanatyzm:

„Tu spoczywa Mojżesz Majmonides, wyklęty kacerz“.

Też spory w tymże samym czasie powstały i wśród Izraelitów w Polsce osiadłych, tylko że nie tyle znużeni udręczeniami, których doświadczyli nieskończenie mniej niż współbracia ich na Zachodzie, swobodniejsi, pewniejsi praw swych do bytu i przyszłości, mniej namiętny wstręt okazywali oni do „obcych płomieni“.

Owszem, utworzyło się wśród nich dość liczne stronnictwo, które wielkim głosem wołało o naukę świecką, o pobratanie się z resztą ludzkości w umysłowych trudach i dążeniach. Jednym z ludzi stojących na czele stronnictwa tego był Senior litewski, Ezofowicz. Za jego to przeważnie staraniem wydana została przez synod żydowski w czasie tym zgromadzony odezwa do wszystkich Żydów polskich, której główny ustęp brzmiał, jak następuje:

„Jehowa ma liczne sefiroty, Adam miał różne doskonałości wypływy. Izraelita też na jednej nauce (religijnej) przedstawiać nie powinien. Pierwsza jest święta nauka, ale dlatego inne nie opuszczają się. Najlepszy jest owoc rajske jabłko, ale dlatego czyliż nie mamy mniej smacznego jeść jabłko?... Byli Żydzi u królów na dworze, Mardochej był uczonym, Ester była mądrą, Nehemiasz był radcą perskim — i lud wybawili z niewoli. Uczcie się, bądźcie użytecznymi królowi

i panom, a będą was szanować. Ile gwiazd na niebie, ile piasku w morzu, tyle jest Żydów na świecie; ale nie świecą oni jako gwiazdy, lecz każdy ich depcze jako piasek... Jednak rzuca wiatr nasiona różnych drzew, i nikt się nie pyta, skąd najpyszniejsze drzewo ma pochod. Czemużby i z nas cedr libański miasto tarniny powstać nie mógł?“

Mąż, pod którego natchnieniem napisana została odezwa wzywająca Żydów polskich, aby obracali się twarzami w stronę, z której nadchodziły światła przyszłości, spotkał się oko w oko z człowiekiem zapatrzonym w przeszłość i w ciemność.

Był nim świeżo przybyły z Hiszpanii do Polski a w Szybowie osiadły Nehemiasz Todros, potomek owego słynnego Todrosa Abulaffi Halewiego, który przez czas jakiś słynąc z talmudycznej mądrości swej i prawowierności dał się potem uwieść ponurym tajemnicom kabalistyki i wspierając ją powagą swą przyczynił się znacznie do wytworzenia w Izraelu jednego z najsroższych obłędów, jakiemu duch narodu ulec może. Wieść niesie, że tenże Nehemiasz Todros noszący tytuł książęcy nassi, pierwszy przywiózł do Polski księgę Zohar zawierającą w sobie wykład, a raczej kwintesencję zgubnej doktryny i że odtąd właśnie datuje się w Polsce zmieszanie nauk talmudycznych z kabalistyką, które coraz ogólniej i szkodliwiej działać miało na umysły i życie polskich Żydów. Historia milczy o rozterkach i walkach wznieconych innowacją tą wśród ludu, który już, już wybić się miał z ogarniających go długo ciemności, ale podania, światobliwie przechowywane w łonach rodzin, opowiadają, iż w walce, która długo i zawzięcie toczyła się pomiędzy Michałem Ezofowiczem, Żydem z dawna polskim, a Nehemiaszem Todrosem, hiszpańskim przybyszem, pierwszy zwyciężonym został. Strawiony zgryzotą, którą sprawiał mu widok ludu jego zwracającego się na drogi błędne, gnębiony intrygami wzniecanymi przeciw niemu przez posępnego przeciwnika, umarł on w sile lat i wieku. Imię jego przechowywanym było w rodzie Ezofow-

wiczów z pokolenia na pokolenie. Wszyscy oni szczylic się wspomnieniem tym, jakkolwiek z upływem czasu coraz mniej rozumieli istotne jego znaczenie.

Od czasu to owego datuje się wielka powaga duchowa Todrosów i stopniowe umniejszanie się wpływów moralnych wywieranych przez Ezofowiczów. Ci ostatni, wyparci przez pierwszych z dziedziny szerokich, społecznych działań, wszystkie zdolności swe zwrócili na pole starań i zabiegów mających na celu dobra materialne. Spławne rzeki okrywały się rok rocznie statkami będącymi ich własnością, a wiozącymi ku dalekim portom ogromne zasoby przeróżnych przedmiotów handlu; dom ich stojący wśród lichej mieściny stawał się coraz bardziej głównym ogniskiem krajowego kredytu i przemysłu; ku nim, jak ku nowoczesnym Rotszyldom, zwracali się wszyscy ci, którzy dla powodzenia zamiarów swych i przedsięwzięć potrzebowali złotej podpory. Ezofowicze dumni byli zdobytą potęgą kruszcu i przestali całkiem troszczyć się o inną, o tę potęgę wpływów na ducha i los narodu, którą posiadał pradziad ich, a którą na zawsze, zda się, wydarli im z rąk Todrosowie, ci Todrosowie, którzy ubodzy wiecznie, nędzarze niemal zamieszkujący lichą chatkę u stóp świątyni przysiadłą, gardzący wszystkim, co miało pozór wykwintu, piękna, a choćby wygody, słynęli przecież szeroko na wsze strony kraju i pociągali ku sobie najpobożniejsze westchnienia, najgorętsze marzenia i tęsknoty ludu swego. I raz tylko w ciągu dwóch wieków jeden jeszcze Ezofowicz pokusił się nie już tylko o materialne, ale i moralne dostojeństwo.

Zdarzyło się to u końca zeszłego stulecia. W Warszawie zasiadał wielki Sejm Czteroletni. Odgłosy toczonych tam obrad doszły aż do białoruskiej mieściny. Ludność zamieszkująca ją ciekawie nadstawiała ucha, słuchała, czekała. Z ust do ust biegła wieść nabrzmiała nadzieją i trwogą: radzą tam i o Żydach!

— Co tam o nas gadają? co tam o nas piszą? — zadawali sobie wzajem pytania długobrodzi przechodnie ciasnych uli-

czek Szybowa, ubrani w długie chałaty i w wielkie futrzane czapki. Ciekawość wzrastała z dniem każdym tak bardzo, że aż powstrzymywała w sposób zupełnie niezwykły ruch pie-
niężnych i handlowych interesów. Niektórzy puszcza-
li się na-
wet w daleką i trudną podróż do Warszawy, aby znaleźć się bliżej źródła, z którego wychodziły wiadomości, a znalazłszy się tam przesyłali współbraciom pozostałym w białoruskiej mieście długie listy, zmięte i wyplamione dzienniki, kartki powydzierane z rozlicznych broszur i książek.

Spomiędzy tych wszystkich, którzy pozostali w miasteczku, najpilniej i najniespokojniej nadstawiali ucha dwaj ludzie: Nochim Todros, rabin, i Hersz Józefowicz, bogaty kupiec.

Stosunek wzajemny tych dwóch ludzi zawierał w sobie głu-
chą, tajemnie wrzącą niechęć. Nie lubili się. Na pozór zosta-
wali ze sobą w zgodzie, ale przy każdej ważniejszej sposob-
ności wychodził na jaw i burzliwie nieraz wybuchał antago-
nizm zachodzący pomiędzy prawnikiem Michała Seniora, Majmonidesowego ucznia, a potomkiem Nehemiasza Todrosa, fanatyka-kabalisty.

Raz na koniec przybyła z Warszawy do Szybowa kartka papieru żółtego i zmiętego w długiej podróży, a na niej wypisanymi były następujące wyrazy:

„Wszelkie różnice w ubiorze, języku i obyczajach pomię-
dzy Żydami a miejscową ludnością zachodzące znieść. Wszyst-
ko, co się religii tyczy, pozostawić nietykalnym. Sekty nawet
tolerować, jeżeli te nie będą wpływać szkodliwie na moralność.
Żadnego Żyda, zanim dojdzie dwudziestu lat życia, do chrztu
nie przyjmować. Prawo do nabywania gruntów Żydom udzie-
lić, a nawet tych, którzy by się rolnictwem zatrudniać chcieli,
na pięć lat od podatków uwolnić i inwentarzem rolnym obda-
rzyć. Wzbronić zawierania małżeństw przed rokiem dwudzie-
stym dla mężczyzn, a osiemnastym dla kobiet“.

Kartkę tę noszono po ulicach, placach i domach, czytano
po setne razy, powiewano nią w powietrzu niby chorągwią

tryumfu lub żałoby dopóty, aż w tych tysiącach rąk niecierpliwych i drżących rozpadła się ona w drobne szmatki, ulotniła się w żółtawy pył i — zniknęła.

Zdania jednak o tym, co przeczytanym zostało, ludność Szybowa nie wyrażała zrazu. Część jej, znacznie mniejsza, pytające spojrzenia zwróciła ku Herszowi, inna, ogromnie większa, badała twarz reba Nochima.

Reb Nochim wyszedł przed próg swej lepianki i chude ręce swe w znak zgrozy i rozpaczyny wznosząc nad głową okrytą siwymi włosy zawołał po razy kilka:

— Asybe! asybe! dajge!

— Nieszczęście! nieszczęście! biada! — powtórzył za nim tłum zalegający w dniu owym podwórzec świątyni. Ale w tej samej chwili Hersz Ezofowicz stojący u samych drzwi domu modlitwy założył białą rękę za szeroki pas atlasowego chałata, drugą powiodł po śniadej, rudawej bródce, podniósł wysoko głowę okrytą cenną bobrową czapką i niemniej donośnie od rabina innym tylko wcale głosem zawołał:

— Ofenung! ofenung! frajd!

— Nadzieja! nadzieja! radość! — nieśmiało trochę, z cicha i z ukośnym na rabina wejrzeniem powtórzyła za nim nie liczna gromadka jego przyjaciół.

Ale stary rabin słuch miał dobry. Usłyszał. Biała broda jego zatrzęsa się, czarne oczy rzuciły w stronę Hersza wejrzenie pełne błyskawic.

— Rozkaż nam brody golić i krótkie suknie nosić! — zawołał żałośnie i gniewnie.

— Rozum nasz uczynią dłuższym i serca w piersiach naszych rozszerzą! — odpowiedział mu od drzwi świątyni doniosły głos Hersza.

— Zaprzęgą nas do pługów i każą nam uprawiać krainę wygnania! — krzyczał reb Nochim.

— Otworzą przed nami skarby ziemi i rozkażą jej, aby ojczyznę nam była! — wołał Hersz.

— Zabronią nam koszery zachowywać i z Izraela uczynią lud chazarników!

— Dla dzieci naszych szkoły pobudują i z Izraela uczynią cedr libański miasto tarniny!

— Twarze synów naszych brodami porosną, zanim wolno im będzie żony pojąć sobie!

— Kiedy pojną oni swe żony, rozum w ich głowach i siła w ich rękach będą już wyrosłe!

— Rozkażą nam grzać się przy obcych płomieniach i pić z sodomskiej winnicy!

— Przybliżą do nas Jobel-ha-Gadol, święto radości, w którym jagnię bezpiecznie spoczywać będzie obok tygrysa!

— Herszu Ezofowiczu! Herszu Ezofowiczu! przez usta twoje mówi dusza pradziada twego, który wszystkich Żydów zaprowadzić chciał do cudzych płomieni!

— Reb Nochim! Reb Nochim! przez oczy twoje patrzy dusza twego pradziada, który wszystkich Żydów zatopił w wielkich ciemnościach!

Tak wśród ogólnej głębokiej ciszy tłumy, z dala od siebie stojąc, rozmawiali ze sobą dwaj ci ludzie. Głos Nochima stawał się coraz cieńszy i ostrzejszy, Hersza brzmiał coraz silniejszymi, głębszymi tony. Żółte policzki starego rabina okryły się plamami ceglanych rumieńców, twarz młodego kupca zbladła. Rabin trząsał nad głową wyschłymi dłońmi, rzucał postać w tył i naprzód, a srebrna broda jego rozwiała mu się na oba ramiona; kupiec stał prosto i nieruchomo, w szarych oczach jego błyskało gniewne szyderstwo, a ręka za pasem tkwiąca odbijała białością od głębokiej czerni atlasu.

Parę tysięcy oczu szybkimi spojrzeniami biegało od twarzy jednego z dwóch przywódców ludu ku twarzy drugiego, parę tysięcy ust drżało, lecz — milczało.

Na koniec rozszedł się po podwórzu świątyni przeszywający powietrze, ostry, przeciągły krzyk reb Nochima:

— Asybe! asybe! dajge! — jęczał starzec z łkającą pierśią i załamany nad głową rękami.

— Ofenung! ofenung! frajd! — podnosząc w górę białą rękę i głosem radością brzmiącym wykrzyknął Hersz.

Tłum milczał jeszcze chwilę i stał nieruchomy, potem głowy jego pochylać się zaczęły ku sobie na kształt fal kołysanych w przeciwne strony i na kształt wód szemrzących szemrać poczęły usta, aż nagle parę tysięcy rąk podniosło się w górę z gestem trwogi i bólu i parę tysięcy piersi wydało chóralny ogromny okrzyk:

— Asybe! asybe! dajge!

Reb Nochim zwyciężył.

Hersz powiódł okiem dokoła. Stronnicy jego otaczali go ściśnionym kołem. Nie powtarzali wprawdzie okrzyków tłumu, ale — milczeli. Pospuszczali głowy i nieśmiało wzroki utkwiłi w ziemi.

Po ustach Hersza przeleciał uśmiech wzgardliwy i kiedy lud tłumną, jęczącą falą cisnął się do świątyni, kiedy reb Nochim biegnąc na czele jego potrząsał wciąż nad siwą głową żółtymi rękami i przed progiem świątyni jeszcze rozpoczynał wielkim głosem modlitwę odmawianą w godzinę niebezpieczeństwa, kiedy na koniec brunatne ściany domu modlitwy rozbrzmiały ogromnym, łkającym krzykiem: „Boże, ratuj naród Twój! zbaw od zguby ostatki Izraela!” — młody kupiec stał długo nieruchomy, z głęboką zadumą w ziemię wpatrzony, potem wolnym krokiem przeszedł obszerny rynek miasteczka i zniknął w głębi stojącego przy nim obszernego i okazałego domu.

Dom był to najobszerniejszy i najpokaźniejszy z całego miasteczka, nowy jeszcze zupełnie, bo przez Hersza samego zbudowany, żółtymi ścianami i jasnymi oknami błyszczący. We wnętrzu jego, w izbie dużej, na bardzo prostym drewnianym spręcie Hersz przesiedział długo z chmurnym wzrokiem

i z czołem w dłoniach ukrytym. Podniósł potem głowę i zawołał:

— Frejda! Frejda!

Na wołanie to otworzyły się drzwi sąsiedniej izby i w złotym oświetleniu ogniska szeroko tam płonącego ukazała się w progu młoda, wysmukła kobieta. Na głowie miała ona wielki biały zawój, biały fartuch spadał od szyi jej, zdobnej w kilka sznurów pereł, aż ku dołowi kwiecistej spódnicy. Ogromne, czarne oczy jej świeciły wesoło i płomiennie pośród ściągłej, łagodnej twarzy. Stała naprzeciw męża i zapytywała go wzrokiem tylko.

Hersz wskazał jej oczami ławę, na której też wnet usiadła.

— Frejdo! — zaczął — czy ty słyszała o tym, co u nas dziś działo się w miasteczku?

— Słyszałam — odpowiedziała z cicha — brat mój, Jozę, zachodził do mnie i mówił, że ty bardzo kłócił się dziś z reb Nochimem.

— On chce mnie zjeść, tak jak pradziad jego zjadł mego pradziada.

W czarnych oczach Frejdy odmalowała się trwoga.

— Hersz! — zawołała — ty z nim nie kłóć się! on wielki i święty! za nim wszyscy będą.

— Nu — po chwili milczenia odpowiedział z uśmiechem mąż — już ty nie lękaj się! Teraz już inne czasy idą! on mnie nic nie robi! A ja nie mogę zamykać moich ust, kiedy moje serce głośno krzyczy na mnie, żebym ja gadał! i ja nie mogę patrzeć na to, jak ten człowiek mówi, że to, co dobre jest, złe jest, a głupi naród patrzy jemu w oczy i krzyczy potem to, co i on, choć nic nie rozumie. Nu! a skąd on ma co rozumieć? Czy Todrosy uczyli jego kiedy rozpoznawać złe od dobrego, i to, co było, z tym, co będzie?

Po chwilowym milczeniu Hersz zaczął znowu:

— Frejda!

— Co, Herszu?

— Czy ty nie zapomniałaś jeszcze tego, co ja tobie opowiadałem o Michale Seniorze?

Kobieta spłotła nabożnie ręce.

— Na co ja miałam zapominać! — zawołała. — Ty mnie piękne historie o nim opowiadał!

— To był wielki, bardzo wielki człowiek! Todrosy go zjedli. Żeby go oni nie zjedli, on by wielkie rzeczy dla Żydów zrobił. Ale to nic. Ja jego zapytam się, jak on chciał robić; to on mnie nauczy — i ja zrobię!

Frejda zbladła.

— A jak ty jego zapytasz się — szepnęła z trwogą — kiedy on już dawno nie żyje!

Tajemniczy uśmiech przeleciał po cienkich wargach kupca.

— Już ja wiem jak! Czasem Pan Bóg tak daje, że i ci, którzy dawno nie żyją, gadać mogą i uczyć prawników swoich.

— Frejda! — zaczął po chwili — czy ty wiesz, co Michał Senior robił, jak poczuł, że Todrosy zjedzą go i że on umrze wprzód, nim inne czasy przyjdą?

— Nu, co on robił?

— On zamknął się w izbie sam jeden i długo tam siedział nie nie jedząc, i nie nie pijąc, i nie śpiąc i — tylko pisał. A co on pisał? tego jeszcze nikt nie dowiedział się, bo on pisanie swoje gdzieś schował bardzo głęboko; a kiedy jemu już źle przyszło, i on poczuł, że będzie po nim, to on swoim synom powiedział: „Ja napisałem wszystko, co ja wiedział, i co ja czuł, i co ja zrobić myślał; ale pisanie moje schowałem przed wami, bo teraz takie czasy przyszedły, że ono na nic się nie przyda. Todrosy panują i długo panować będą, i tak zrobią, że ani wy, ani wasze dzieci i wnuki pisania mego zobaczyć nie zechcą; a żeby i zobaczyli, toby rozszarpali je i wiatrom dali na zniszczenie, i mówiliby, że Michał Senior był k o f r i m (nie-dowiarek), i wyklęliby go tak, jak wyklęli drugiego Mojżesza. Ale przyjdzie znów czas taki, że praprawnuk mój będzie bardzo chciał pisanie moje mieć, żeby u niego zapytać się, co my-

śleć i jak robić, żeby Żydów z niewoli Todrosów wybawić i ich do tego słońca zaprowadzić, przy którym grzeją się inne narody. Ten praprawnuk mój, co tego bardzo zechce, pisanie moje znajdzie, a wy tylko wszyscy mówcie w godzinę śmierci waszej najstarszym synom waszym, że ono jest i że w nim bardzo mądre rzeczy napisane stoją. I niech tak będzie z pokolenia na pokolenie. Ja wam tak rozkazuję. Pamiętajcie posłusznymi być temu, którego dusza zasłużyła sobie na to, ażeby być nieśmiertelną!“¹

Hersz skończył mówić. Frejda siedziała nieruchoma, wpatrzone w twarz męża wzrokiem pełnym ciekawości.

— Ty tego pisma będziesz szukał? — zapytała z cicha.

— Ja jego będę szukał — powtórzył mąż — i ja je znajdę, bo ja jestem ten praprawnuk, o którym mówił Michał Senior, kiedy umierał. Ja pisanie to znajdę. Ty, Frejda, szukać mi pomagaj!

Kobieta stanęła wyprostowana, rozpromieniona radością.

— Ty dobry jesteś, Hersz! — zawołała z głębi piersi — ty dobry jesteś, że mnie kobietę do takich ważnych interesów i do takich wielkich myśli przypuszczasz!

— A czemu bym ja ciebie przypuszczać do nich nie miał? Czy ty domu mego źle pilnujesz albo dzieci moje źle hodujesz. Ty wszystko dobrze robisz, Frejda, i twoja dusza taka sama piękna jak twoje oczy!

Szkarłatnym płomieniem oblała się biała twarz młodej Izraelitki. Spuściła oczy, ale koralowe usta jej szeptały z cicha niedosłyszalne wyrazy jakiegoś — miłości czy dziękczynienia.

Hersz powstał.

¹ Doktryna Mojżesza Majmonidesa o nieśmiertelności duszy ludzkiej, według której człowiek każdy kształceniem umysłu swego i doskonałością moralną nieśmiertelność sobie zdobywać musiał, a karą złych czynów jego miało być — nicestwo.

— Gdzie my pisanie tego szukać będziem? — zaczął w zamyśleniu,

— Gdzie? — powtórzyła kobieta.

— Frejda — mówił mąż — Michał Senior pisanie swego schować nie mógł w ziemi, bo on wiedział, że gdyby je schował w ziemi, robaki by go zjedli albo zamieniłoby się ono w proch. Czy te pisanie jest w ziemi?

— Nie — odpowiedziała kobieta — jego w ziemi nie ma!

— I w ściany on go schować nie mógł, bo on wiedział, że one spróchnieją prędko i ich zrzucą, ażeby nowe postawić. Ja te nowe ściany sam stawiał i w starych ścianach szukał bardzo, ale pisanie w nich żadnego nie było.

— Nie było! — z zalem ozwała się Frejda.

— I w dachu on go schować nie mógł, bo on wiedział, że dach zgnije i że jego rozrzuca, żeby nowy zrobić. Jak ja urodził się, to już na starym domu naszym był dziesiąty może dach, ale mnie zdaje się, że pisanie tego w dachu żadnym nie było.

— Nie było! — przywróciła kobieta.

— To gdzie ono może być?

Zamyślili się oboje. Nagle po długiej chwili kobieta zawołała:

— Hersz! ja już wiem! te pisanie jest tam!

Mąż podniósł głowę. Kobieta wyciągniętym palcem wskazywała wielką oszkloną szafę stojącą w rogu izby i napełnioną od góry do dołu wielkimi księgami w szarej opylonej oprawie.

— Tam? — zapytał Hersz wahającym się głosem.

— Tam — stanowczo powtórzyła kobieta. — Czy ty mnie nie mówił, że to książki Michała Seniora i że je tu wszyscy Ezołowicze na pamiątkę po nim chowali, ale że ich nikt nigdy nie czytał, bo takich książek Todrosy czytać nie pozwalają!

Hersz powiódł dłonią po czole, kobieta mówiła dalej:

— Michał Senior mądry był człowiek i przed oczami jego widna była przyszłość. On wiedział, że tych książek długo nikt czytać nie będzie i że ten tylko, kto czytać ich zechce, będzie tym praprawnikiem jego, co innych czasów doczeka i pisanie jego znajdzie!

— Frejda! Frejda! — zawołał Hersz — ty jesteś mądra kobieta!

Pod śnieżnym zawojem czarne oczy kobiecie skromnie spuszczyły się ku ziemi.

— Herszu! ja pójdę zobaczę dzieci nasze i zakołyszę najmłodsze, które zapłakało. Rozdam robotę sługom naszym i zgasić każę ognisko, potem przyjdę tu pomagać tobie w robocie twojej.

— Przyjdź! — rzekł Hersz, a gdy kobieta odchodziła do izby, w której gwarzyły głosy dzieci i domowników, wiódł za nią wzrokiem i półgłosem mówił:

— „Mądra żona droższą jest nad złoto i perły. Przy niej serce męża spokojne!“

Wróciła po chwili, zasunęła rygle u drzwi i z cicha zapytała męża:

— A gdzie klucz?

Hersz znalazł klucz od szafy pradziada, otworzył ją i zaczęli oboje zdejmować z półek wielkie księgi. Kładli je potem na ziemi, przysiadali nad nimi i powoli, z uwagą nadzwyczajną, odwracali jedną po drugiej karty, żółkłe od wielkiej starości. Chmury pyłu podnosiły się ze stosów papieru nie tkniętych przez wieki ręką niczyją, osiadały na śnieżnym zawoju Frejdy i szarą warstwą przysypywały złotawe włosy Hersza. Oni jednak pracowali niezmordowanie, a z tak uroczystym wyrazem na twarzach, że mogło się zdawać, iż rozkopywali grób pradziada, aby wydobyć zeń zagrzebane z nim razem wielkie jego myśli.

Dzień już miał się ku końcowi, kiedy nareszcie z piersi Hersza wydobył się krzyk podobny do tego, jakim ludzie wi-

tają szczęście i zwycięstwo. Frejda nie nie rzekła, tylko z ziemi powstała i splecione ręce wyciągnęła wysoko nad głowę dziękczynnym ruchem.

Potem widziano Hersza modlącego się długo i żarliwie przed oknem, z którego widać było wschodzące na niebo pierwsze gwiazdy nocy. Potem przez noc całą w oknie tym światło nie gasło, a przy stole, z głową na obu dłoniach wspartą, Hersz wczytywał się w żółte jakieś, wielkie, rozwarte przed nim arkusze. O świcie zaś, zaledwie wschodni kraniec nieba płonąć począł różowymi barwami, wyszedł on przed próg domostwa swego ubrany w płaszcz podróżny i wielką swą czapkę bobrową, usiadł na wóz usłany słomą i odjechał. Odjeżdżając był tak zamysłony, że ani dzieci swych, ani domowników tłoczących się w sieni domu nie żegnał, tylko głową skinął ku Frejdzie, która stała na ganku w białym zawoju swym zróżnicowanym od światła jutrenki i czarnymi oczami pełnymi smutku i dumy zarazem ścigała długo odjeżdżającego męża.

Kiedy potem Frejda wróciła do wnętrza domu i zamysłona stanęła u rozpalonego przez służki kuchennego ogniska, przybiegł do niej najstarszy syn jej, kilkoletni Saul, i zapytał:

— Dokąd tate pojechał?

— Tate — odpowiedziała kobieta — pojechał daleko, za góry i lasy...

— A po co on tam pojechał? — dopytywało się dziecię.

— On tam pojechał, ażeby wielkie rzeczy robić! — odpowiadała matka.

Mały Saul myślał długo, potem wspinając się ku szyi matczynej, tak aby dosięgnąć zdobiących ją pereł, zapytał jeszcze:

— Czy tate dużo złota stamtąd przywiezie?

Frejda uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Czuła ona zapewne, wiedziała, że są na ziemi rzeczy ważniejsze i droższe nad złoto, lecz dla określenia rzeczy tych synowi umiejętności i słów jej zabrakło.

Dokąd Hersz pojechał? Za góry, za lasy, za rzeki... W daleką stronę kraju, kędy wśród bagnistych równin i czarnych borów Pińszczyzny mieszkał wymowny poplecznik sprawy równouprawnienia i cywilizacji Żydów polskich, poseł sejmowy, Butrymowicz. Szlachcic, karmazyn to był i — myśliciel. Widział jasno i daleko; nie tajnymi mu były, tajne dla innych, związki, czynniki i konieczności dziejowe.

Kiedy Hersz, wprowadzony do wnętrza szlacheckiego dworu, stanął przed poważnym obliczem mądrego posła, pokłonił mu się nisko i w sposób następujący mowę swą zaczął:

— Jestem Hersz Józefowicz, kupiec z Szybowa, praprawnuk Michała Ezofowicza, co nad wszystkimi Żydami starszym był i nazywał się według rozkazu samego króla Seniorem. Przyjechałem ja z daleka. A po co ja tu przyjechałem? Po to, żeby zobaczyć wielkiego posła i pogadać z wielkim autorem, z którego słów upadł na oczy moje i twarz blask taki jasny, jak od promieni słońca. Blask ten jest bardzo wielki, ale mnie nie oślepił, bo jak roślina ziemską okręca się koło gałęzi wysokiego dębu, tak ja chcę, żeby myśl moja okręciła się około twojej wielkiej myśli i żeby one obie rozpostarły się nad ludźmi jako tęcza, po której nie będzie już na świecie kłótni ani ciemności!

Kiedy na przemowę tę poseł odpowiedział uprzejmie i zachęcająco, Hersz ciągnął dalej:

— Jasny pan to powiedział, że trzeba zrobić wieczną zgodę pomiędzy dwoma narodami, które na jednej ziemi toczą ze sobą wojnę?...

— Powiedziałem to — przytwierdził poseł.

— Jasny pan to powiedział, że żyd porównany z chrześcijaninem we wszystkim nigdy szkodliwym nie będzie?

— Powiedziałem to.

— Jasny pan to powiedział, że Żydów ma za obywateli polskich i że trzeba, ażeby oni dzieci swoje do świeckich szkół posyłali, i żeby oni mieli prawo ziemię kupować, i żeby mię-

dzy nimi skasowane były różne rzeczy, które ani dobre są, ani rozumne?

— Powiedziałem to — powtórzył poseł.

Wtedy wysoki, okazałej postaci Żyd, z dumnym czołem i rozumnym wejrzeniem, pochylił się szybko i zanim poseł miał czas obejrzeć się i obronić, rękę jego do ust swych przycisnął.

— Ja tu przybysz — rzekł z cicha — gość w tym kraju, młodszy brat...

Wyprostował się potem i sięgnawszy do kieszeni atłasowego ubrania wydobyl z niej zwój żółtego papieru.

— Ot, co ja panu przywiozłem — rzekł — to droższe dla mnie jak wszystkie złoto, perły i diamenty...

— Cóż to jest? — zapytał poseł.

Hersz uroczystym tonem odpowiedział:

— To testament przodka mego, Michała Ezofowicza, Seniora.

Przez całą noc siedzieli we dwóch i przy świetle świec woskowych czytali. Potem przestali czytać, a zaczęli rozmawiać. Rozmawiali z cicha, z blisko ku sobie pochylonymi głowami, z twarzami pałającymi. Potem, przy świetle dnia już, powstali obaj, razem, jednocześnie wyciągnęli ku sobie dłonie i spoili je w silnym uścisku.

O czym przez noc całą czytali, o czym mówili, co uradzili, jakie uczucia zapału i nadziei połączyły ich ręce uściśnieniem przymierza? Nikt nie dowiedział się nigdy. Zapadło to w tę ciemną noc tajemnic dziejowych, na dnie której skryło się przed nami wiele słonecznych pragnień i myśli. Przeciwności je tam strąciły. Skryły się one, lecz nie przepadły, bo gdy zapytujemy siebie nieraz: skąd błyskawice te myśli i pragnień, których nikt wprzód nie znał? — nie wiemy, że źródłem ich bywają często chwile, których na kartach żadnych nie zapisał żaden kronikarz...

Nazajutrz przed ganek szlacheckiego dworu zajęchała sze-

ściokonna karoca. Wsiadł do niej dziedzic dworu wraz z izraelskim gościem swym i pociągnęli w drogę daleką — do stolicy kraju.

Z Warszawy Hersz wrócił do Szybowa po paru miesiącach. Wróciwszy ruszał się po miasteczku i okolicy żwawo i gorliwie, mówił, opowiadał, tłumaczył, przekonywał, jednał stronników dla przygotowujących się zmian i przekształceń we wszechstronnym życiu jego ludu. Potem wyjeżdżał znowu, wracał i wyjeżdżał... Trwało tak lat parę.

Nagle Hersz z podróży jednej, ostatniej, wrócił zmieniony bardzo, z mętным wzrokiem i z czołem zorany troską. Wszedł do domu swego, ciężko opuścił się na ławę i podparłszy głowę ręką głośno wzdychał.

Frejda stała przed nim zasmucona, niespokojna, lecz cicha i cierpliwa. Pytać nie śmiała. Oczekiwała spojrzenia i zwierzenia męża. Podniósł na koniec wzrok mętny, smutny i wymówił:

— Wszystko przepadło!

— Dlaczego przepadło? — z cicha szepnęła Frejda.

Hersz uczynił ręką gest oznaczający upadanie czegoś wielkiego.

— Kiedy budowa jaka rozpada się w kawałki — rzekł — tym, którzy w niej mieszkają, belki padają na głowy i pył zasypuje oczy...

— To prawda! — potwierdziła kobieta.

— Jedna wielka budowa ropadła się... Belki pospadały na wszystkie wielkie żądania i wielkie prace nasze, a proch przysypał je... na długo!

Wstał potem, spojrział na Frejdę oczami, w których wielkie łzy stały, i rzekł:

— Trzeba schować testament Seniora, bo on znów na nie się teraz nie przyda... Chodź, Frejda, schowamy go bardzo głęboko... Może go prawnuk jaki nasz szukać będzie i znajdzie...

Od tego dnia Hersz starzał się widocznie. Oczy jego gasły,

plecy garbiły się. Siadywał często na ławie godzinami całymi przechylając postać całą z boku na bok, wzdychając głośno i z cicha powtarzając:

— Asybe! asybe! asybe! dajge! Nieszczęście! nieszczęście! biada!

Dokoła smutnego człowieka tego cicho i troskliwie krążyła smukła postać niewieścia w kwiecistej sukni i białym zawoju. Czarne oczy jej często napełniały się łzami, a krok był tak ostrożnym i lekkim, że perły nawet zdobiące jej szyję nie przerwały nigdy zadumy jego najłżejszym dzwonieniem. Niekiedy Frejda ze zdumieniem patrzyła na męża. Smutek jego zasmucał ją, ale nie rozumiała go dobrze. Nad czymże biadał? Bogactwa jego nie umniejszyły się, dzieci wzrastały zdrowo, wszystko było jak przedtem, jak przed dniem owej wielkiej klótni z reb Nochimem i wynalezienia owych starych, żółtych papierów! Nie rozumiała dobrze kobieta, kochająca i roztropna, lecz cały świat swój widząca w czterech ścianach swego domu, że duch męża jej porwany został w krąg wielkich idei i upodobał sobie w płomiennym tym świecie, a wygnany zeń siłą wrogich wypadków uleczyć się nie mógł z tęsknoty i żalu po nim. Nie wiedziała ona, że są na ziemi tęsknoty i żale nie tyjące się ani rodziców, ni dzieci, ni żony, ni majątku, ni domu własnego i że z takich tęsknot i żalów duchowi ludzkiemu, który zaznał ich raz, uleczyć się najtrudniej...

W czarnej lepiance reb Nochima tymczasem rozlegały się z kolei wykrzyki radości.

— Frajd! Frajd! Frajd! — wołał do ludu stary rabin dowiedziawszy się, że „wszystko przepadło“, że zatem ci, którzy mieli rozkazywać Żydom, aby brody golili i krótkie suknie nosili, krajowym językiem mówili i w szkołach krajowych się uczyli, roli się imali i w dziecinnym wieku małżeństw nie zawierali — rozkazywać już prawa nie mają.

— Frajd! Frajd! Frajd! Zbawione są brody i długie chałaty; zbawionymi kahały, chajrymy, koszery, zbawione od ze-

tknięcia się z nauką Edomu święte księgi Miszny, Gemary i Zohar! Zbawionymi od ciągnięcia pługu dłonie wybranego ludu! Zbawionym więc od zagłady lud Izraela!

Radował się Todros i do radowania się wzywał wierzącą w mądrość jego i świętość swą trzędę. Tryumfował, ale chciał tryumfować bardziej jeszcze. Zniszczyć Ezołowiczów znaczyłoby to zniszczyć prąd dążący w przyszłość i walczący z tym, który usiłował wciąż zamienić lud w skamieniałość przeszłości. Któż wie, co stać się może kiedyś? czy z przekłętego rodu tego nie powstanie kiedy człowiek dość mocny, aby zniszczyć całą, długowiekową robotę Todrosów? Wszak gdyby wypadki przyjęły były inny obrót, dokonałby już tego Hersz sam wraz ze swymi możliwymi przyjaciółmi, edomitami!

Na Hersza Ezołowicza, jak niegdyś na przodka jego, Michała, posypały się ze stron wszystkich oskarżenia, niechęci, przeciwności wszelkiego rodzaju. W domu modlitwy wykrzykiwano nań głośno, że sabatów nie strzeże, że z gojami się przyjaźni i do stołu z nimi zasiadając trefne mięso spożywa, że w zajęciach interesowych sądów żydowskich unika, a do krajowych się udaje; że rozporządzeń kahalnej zwierzchności nie słucha i nieraz nawet głośno przyganiać im śmie, że cadyka nie szanuje reb Nochimowi należnej czci nie oddając...

Dumnie bronił się Hersz odpierając niektóre czynione mu zarzuty, do innych przyznając się, lecz usprawiedliwiając je pobudkami, których przecież ani lud, ani przodownicy jego za słuszne uznać nie chcieli.

Trwało tak dość długo, w końcu trwać przestało. Umilkły obwinienia, zniknęły intrygi; umilkł, bo też i zniknął moralnie ten, kto był ich przedmiotem. Zestarzały przedwcześnie, zgorzkniały, zmęczony jałowymi walkami, Hersz zamknął się szczerlnie w obrębie prywatnego życia, zajmował się znowu handlem i różnymi interesami, które jednak nie szły mu tak

dobrze, jak innym, bo nie posiadał, tak jak inni, sympatii i pomocy swych współpracowników. Co czuł, o czym myślał w tych ostatnich latach życia swego, nikt nie wiedział, bo nie zwierzał się z tym nikomu. Przed śmiercią tylko miał on z Frejdą długą rozmowę. Dzieci jego były jeszcze zbyt małe, aby powierzyć im mógł tajemnicę zawiedzionych pragnień swych, zmarnowanych starań i stłumionych bólów. Przekazywał ją im przez usta swej żony. Ale czy Frejda zrozumiała i zapamiętała słowa konającego męża? czy chciała i potrafiła powtórzyć je potomkom jego? Nie wiadomo. Co pewna, to że ona jedna pozostała w posiadaniu wiadomości o miejscu, w którym ukryty został testament Seniora, owo pisanie odwieczne będące dziedzictwem nie tylko rodu Ezofowiczów, ale całego izraelskiego ludu, dziedzictwo nie znane i zapoznawane, lecz w którym — kto wie? — mieściły się może skarby stokroć większe niż te, które napełniały śpichrze i skrzynie bogatej kupieckiej rodziny.

Ostatnie żądania i myśli Seniora spały więc kędyś w ukryciu czekając znowu śmiałej i wiedzy chciwej ręki jakiego prawnika, która by przebudzić je i na jaw wydobyć zapragnęła, a w miasteczku tymczasem po śmierci Hersza nie pozostał już ani jeden duch tęskniący za światłością, ani jedno serce, które by uderzało dla czegoś więcej jak dla własnej żony, własnych dzieci i własnego przede wszystkim majątku.

Gwaro tam stało się od zabiegów i starań mających za cel jedyny pieniężne zdobycze, ciemno od mistycznych trwóg i rojeń, ciężko i duszno od nieubłaganej, drobiazgowej, bezdusznej prawowierności.

W oczach jednolitego plebsu w kraju całym ludność Szybowa uchodziła za potężną materialnie i moralnie, mądrą, przeprawowierną, świętą niemal...

Sądy kryminalne krajowe rekrutowały spośród niej ogromny corocznie procent winowajców: fałszerzy, kontrabandzistów, podpalaczy, oszustów...

Nad całą tą głęboką, zapadłą doliną społeczną zawisła chmura złożona z najciemniejszych żywiołów, jakie istnieją w ludzkości, a jakimi są: cześć dla litery, z której duch umknął, kazuistyka sroga, gruba niewiedza, podejrzliwe i nie-nawistne obwarowanie się przeciw wszystkiemu, co płynęło z szerokich, słonecznych, lecz „cudzych“ światów.

I

Było to przed trzema laty.

Wilgotne mgły podnosiły się z błotnistych ulic miasteczka i ciemnym czyniły, przezroczysty gdzie indziej, zmierzch gwiazdzistego wieczora. Marcowe powiewy wraz z wonią świeżo zoranych gruntów leciały nad niskimi dachami, lecz nie mogły rozegnać mętnych i dusznych par kłębiących się u drzwi i okien domostw.

Pomimo jednak mgły i wyziewów, które je napełniały, miasteczko miało pozór wesoły i świąteczny. Zza szarych, kłębistych zasłon tysiące okien błyskało oświetleniem rześmym, a zza oświetlonych okien wydobywały się na zewnątrz odgłosy gwarnych rozmów lub zbiorowych modłów. Ktokolwiek by przechodząc ulicami zajrzał z kolei przez to i owo okno do wnętrza tego i owego domostwa, ujrzałby wszędzie wesołe rodzinne sceny. Pośrodku izb mniejszych lub większych rozpościerały się długie stoły świątecznie nakryte i zastawione, dookoła nich krzątały się kobiety w barwistych czepcach przynosząc, ustawiając i z uśmiechami na twarzach podziwiając umieszczane na stołach dzieła rąk własnych; brodaci mężowie trzymający w ramionach małe dzieci przykładali usta swe do ich pulchnych policzków lub z głośnym cmokaniem podrzucali je aż pod niskie sufity ku wielkiej ucieście doroślejszych i dorosłych członków rodziny; inni zasiadali na ławach w licznej gromadce i z żywymi gestami gwarzyli o sprawach minionego tygodnia; inni jeszcze okryci miękkimi fałdami białych tałesów stali twarzami zwróceni ku ścianom, a szybkimi ruchy

podając postacie swe w tył i naprzód żarliwą modlitwą gotowali się na spotkanie świętego dnia sabatu.

Był to albowiem wieczór piątkowy.

I jedno tylko znajdowało się miejsce w całym miasteczku, w którym panowały ciemność, pustka i cisza. Była nim mała, szara chatka, pochyłą, niziuchną ścianą przylepiona jakby do niezbyt wysokiego wzgórza, które wznosiło się z jednej strony miasteczka i stanowiło naokół, pośród ogromnej równiny, jedyną wypukłość gruntu. Wzgórze to zresztą nie było naturalnym. Podanie niesło, iż usypali je tu niegdyś dłońmi własnymi karaici i wzniesli na nim swoją świątynię. Dziś świątyni kacerskiej nie było już ani śladu; wzgórze, nagie i piaszczyste, osłaniało od wichrów i śnieżnych zamieci małą tylko lepiankę, która też kornie jakby i wdzięcznie tuliła się do stóp jego. Nad dachem jej na pochyłości wzgórza rosła wielka grusza dzika. W gałęziach jej wiatr z cicha szumiał i migało kilka małych gwiazd. Znaczna przestrzeń gruntów pustych albo pod uprawę jarzyn zaoranych rozdzielała miejsce to z miasteczkiem. Cisza nad nimi panowała głęboka i leciały tylko niewyraźne, przytłumione echa dalekiego gwaru; po czarnych w zmierzchu zagonach czołgały się i ciężko ku chatce płynęły wydobywające się z uliczek miasteczka grube szlaki pary i mgły.

Wnętrze chatki zza dwóch malutkich okienek sklejonych z drobnych, różnokształtnych szkiełek ukazywało się czarne jak przepaść, a w czarnym wnętrzu tym brzmiał i na zewnątrz zeń wychodził zgrzybiały, trzęsący się, lecz dość donośny głos męski:

— Za dalekimi morzami, za wysokimi górami — mówił spośród grubych ciemności głos ten — płynie rzeka Sabation... Nie wodą ona płynie, nie mlekiem i nie miodem! Płynie ona żwirem żółtym i wielkimi kamieniami...

Chrypiący, trzęsący się, zgrzybiały głos umilkł i w czarnej otchłani widnej zza dwóch małych okienek przez chwilę

panowało głębokie milczenie. Przerwały je tym razem dźwięki zupełnie inne:

— Zejde! mów dalej!

Wyrazy te wymówionymi zostały głosem dziewczym, dziecinny prawie, lubo przeciągłym i zamyślnym.

Zejde (dziadek) zapytał:

— A czy oni jeszcze nie idą?

— Nie słyhać! — odparł bliżej okna odzywający się głos dziewczęcy.

W głębi czarnej otchłani zaczęło się znowu chrypiące i drżące opowiadanie:

— Za świętą rzeką Sabationu mieszkają cztery pokolenia... cztery pokolenia izraelskie: Gad, Asur, Dan i Neftali... Te pokolenia uciekły tam od strachów i ucisków wielkich, a Jehowa... niech będzie pochwalone święte imię Jego... schował ich przed nieprzyjaciołami rzeką ze żwiru i kamieni... A ten żwir tak wysoko podnosi się, jak bałwany wielkiego morza, a te kamienie tak huczą i szumią, jak wielki las, kiedy nim wielkie burze kołyszają... A jak przychodzi dzień sabatu...

Tu nagle urwał się znowu głos zgrzybiały, a po krótkiej chwili zapytał ciszej:

— Czy oni jeszcze nie idą?

Długo nie było odpowiedzi. Mogło się zdawać, że druga istota znajdująca się w czarnym wnętrzu lepianki przed daniem odpowiedzi nadstawiała ucha, słuchała.

— Idą! — wymówiła na koniec.

W głębi czarnego wnętrza rozległ się przyciszony, przewlekły jęk:

— Aj! aj! aj waj! aj waj! aj waj!

— Zejde! mów dalej! — rzekł bliżej okna głos dziewczęcy, tak samo czysty i dźwięczny, jak wprzód, mniej tylko dziecięcy w tej chwili, silniejszy.

Zejde nie mówił dalej.

Od strony miasteczka ku lepiance przypartej do wzgórza

leciał i zbliżał się wciąż wrzask dziwny. Złożony on był z biegu kilkudziesięciu par nóg ludzkich, z piskliwych krzyków i srebrnych, zanoszących się śmiechów dziecinnych. Wkrótce na pustej przestrzeni ukazał się w zmierzchu wielki punkt ruchomy, toczący się jakby po powierzchni czarnych gruntów. Wkrótce punkt ten znalazł się tuż obok lepianki, rozproszył się na kilkadziesiąt drobnych cząstek, które wszystkie z krzykiem, piskiem, śmiechem i wrzaskiem nieopisanym rzuciły się do ścian pochyłych i niskich okienek.

Były to dzieci, chłopcy różnego wieku. Najstarszy z nich mógł mieć lat czternaście, najmłodszy — pięć. Ubioru ich w ciemności dojrzeć nie było podobna, ale spod małych czapek albo wielkich splecionych włosów oczy ich połyskiwały blaskiem namiętnej swawoli i innych jeszcze, może żywo rozbudzonych uczuć.

— Gut Abend! Karaite! — wrzasnęła jednogłośnie zgraja ta stukając pięściami w drzwi z wewnątrz zaryglowane i wstrząsając ramami okien, w których słabej oprawie dzwonić poczęły drobne szyby.

— A czemu ty światła w sabbat nie zapalasz? A czemu ty jak diabeł w czarnej norze siedzisz? Kofrim, iberwerfer! niedowiarku! odszczepieńcze! — krzyczeli starsi.

— Aliejdyk giej! preman! miszugener! Hultaj! żebrak! wariat! — z całej piersi swej wrzeszczeli młodszy.

Łajania, śmiechy i trzęsienie drzwiami i oknami wzmagały się z każdą chwilą, gdy we wnętrzu lepianki ozwał się znowu głos dziewczęcy, spokojny jak wprzód i dźwięczny, ale tak silny, że przebił sobą kipiącą dokoła wrzawę.

— Zejde! mów dalej!

— Aj! aj! aj waj! — odpowiedział z głębi głos zgrzybiały — jak ja będę mówić, kiedy oni tak krzyczą! tak krzyczą! i tak łają!

— Zejde! mów dalej!

Tym razem głos dziewczyny brzmiał niemal rozkazująco.

Nie był już wcale dziecinny. Czuć w nim było ból, wzgardę i walkę o zachowanie spokoju.

Jak smutny śpiew wmieszany w ryk i wycie wzburzonych żywiołów, tak w dziką wrzawę dziecięcej tłuszczy łającej, miauczącej, wyjącej i śmiejącej się wmieszały się drżące, jęklliwe słowa:

— A w święty dzień sabatu, Jehowa, niech będzie pochwalone święte imię Jego, daje spoczynek świętej rzece Sabation... Żwir przestaje płynąć jak wielkie bałwany i kamienie nie huczą jak las... tylko znad rzeki, co leży i nie rusza się, powstaje wielka mgła, taka wielka, że aż wysokich obłoków dostaje, i chowa znów przed nieprzyjaciołami cztery pokolenia izraelskie: Gad, Asur, Dan i Neftali...

Niestety! dokoła lepianki z pochyłymi ścianami i czarnym jak otchłań wnętrzem nie płynęła święta rzeka Sabationu i ani bałwanicznym się żwirem, ani wysoką mgłą nie zasłaniała mieszańców jej przed nieprzyjaciółmi!

Nieprzyjaciele ci byli mali, ale było ich wielu. Z ostatecznym wysileniem złośliwej swawoli kilkunastu z nich targnęło ramami lichych okienek, kilka szybek dźwięknęło silniej i rozleciało się w kawałki. Chóralny krzyk tryumfu rozległ się daleko po polu z jednej strony, a pustych gruntach z innej. Przez pozostałe po szybach otwory posypały się do wnętrza chatki grudki ziemi i drobne kamyczki.

Głos zgrzybiały, bardziej jeszcze usunięty w głąb, jakby istota ludzka, do której należał, tuliła się gdzieś w najdalszym kącie, trzęsąc się i chrypiąc coraz bardziej krzycząc:

— Aj waj! aj waj! Jehowa! Jehowa!

Głos dziewczyny, dźwięczny zawsze, powtarzał nieustannie:

— Zejde! sza! Zejde, nie krzycz! Zejde, nie lękaj się!

Nagle z tyłu dziecięcej zgrai uczepionej do ścian, drzwi i okien lepianki ktoś donośnie i nakazująco zawołał:

— Sztyl! bube! A co to wy wyrabiacie tutaj, niegodziwe bachory! Precz!

Dzieci umilkły nagle i odpadać zaczęły jedno po drugim od belek, klamek i ram.

Człowiek, który donośnym i rozkazującym dźwiękiem głosu swego sprawił to ucieszenie się, wysoką miał i kształtną postawę. Długie ubranie jego obcisłe było i dostаточно obłożone futrem. Twarz jego w zmroku wydawała się białą, a oczy połyskiwały tak ogniste, jak młode tylko oczy połyskiwać mogą.

— Nu, a co wy tu wyrabiacie? — powtórzył głosem gniewnym i stanowczym. — Czy tu, w tej chacie, wilki mieszkają, żeby tak na nich krzyczeć, i łajać, i okna im tłuc?

Chłopcy milczeli zrazu i skupili się w jedną ściśłą gromadkę. Po chwili wszakże jeden z nich, najwyższy wzrostem i najśmielszy znać także, sarknął:

— A czemu oni w szabas światła nie zapalają?

— A co wam do tego? — rzekł przybyły.

— Nu, a co tobie do tego? — bronił się krnąbrny chłopiec — my tu co tydzień przychodzimy i tak samo robimy... To i co?

— Ja wiem, że wy co tydzień tak robicie... to ja i pilnowałem, żeby was kiedy tu złapać... ot i dopilnowałem... Nu, gejdźcie do domów! żywo!

— A czemu ty, Meir, sam do swego domu nie idziesz? Twoja bobie i twój zejde dawno już rybę i łoszyne bez ciebie jedzą... Czemu ty nas stąd pędzasz, a sam sabatu nie pilnujesz?

Oczy młodego mężczyzny ognistej jeszcze zapłonęły. Uderzył nogą o ziemię i takim gniewnym głosem krzyknął, że młodsze dzieci rozbiegły się wnet w różne strony i tylko najstarszy chłopak, w znak jakby wzgardy dla otrzymywanych przestróg i połajania, pochwyił grudkę błotnistej ziemi i podnosząc z zamachem rękę cisnąć ją miał do wnętrza chaty.

Ale dwie silne dłonie pochwytyły go za rękę i za kołnierz od spencerka.

— Chodź! — rzekł młody przybyły — już ja ciebie sam do domu odprowadzić muszę.

Chłopiec wrzasnął zrazu i targnął się. Ale trzymała go dłoń silna i silny, spokojny już głos nakazał mu milczenie. Umilkł i trzymany wciąż za odzież pochylił głowę.

Dokoła chatki było już cicho zupełnie. Z głębi ciemnego wnętrza wychodziły ciężkie, chrapliwe westchnienia bardzo starej piersi jakiejś, a u samego już okienka, o kilku stłuczonych szybkach, zabrzmiał stłumiony głos dziewczęcy:

— Dziękuję!

— Nie ma za co — odpowiedział młody mężczyzna i odalił się wiodąc z sobą swego małego więźnia.

Więzień i karciciel przebyli w milczeniu parę uliczek miasteczka i wszedłszy na plac środkowy zmierzali ku jednemu z umieszczonych przy nim domostw.

Domostwo to było niskie, długie, zaopatrzone w podjazd oparty na drewnianych słupach i w głęboką sień przez całą długość domu ciągnącą się, których istnienie z daleka już zapowiadało tak zwany dom zajezdny. Toteż okna umieszczone z jednej strony budowli a należące do izb przeznaczonych dla podróżnych gości ciemne były zupełnie. W innych za to, w tych, które znajdowały się tuż naprzeciw mizernych, źle pobielonych słupów podjazdowych i o pół łokcia zaledwie wzniesione były nad ziemią przysypaną grubą warstwą siana, słomy i wszelakiego rodzaju śmiecia — mętnie zza brudnych szyb połyskiwały sabatowe światła.

Zajezdny dom ten był własnością Jankla Kamionkera, męża zajmującego wysoki urząd w zarządzie kahalnym, a wśród ludności izraelskiej miasteczka i okolic wysoko poważanego dla wielkiej nabożności swej, uczoności i niemniej też umiejętności, z jaką wiodł on interesy swe i powiększał swój majątek.

Młody mężczyzna wraz z dzieckiem, które wiodł za rękę i które zresztą nie tylko nie zdawało się zmartwione swym po-

łożeniem, ale owszem, podskakiwało idąc co kilka kroków i nuciło sobie swobodnie — przebył miękki od śmiecia i elastycznie pod stopami uginający się grunt, wśród słupów podjazdowych i okien oświetlonych położony, wszedł do głębokiej sieni, w której ciemnych zapadłościach koń jakiś uderzał kopytem o ziemię i krowa jakaś zapewne głośno przeżuwała, omackiem wynalazł drzwi, ku którym wstępowało się po trzech spróchniałych, chwiejących się wschodkach i na wpół je otworzywszy wepchnął przywiedzionego malca do wnętrza mieszkania.

Uczyniwszy to nie cofnął się jednak, ale wsunawszy głowę przez na wpół otwarte drzwi zawołał:

— Rebe Jankiel! ja tobie Mendla przyprowadził. Połaj go albo i ukarz swoją ojcowską ręką. On włóczy się w ciemnościach po miasteczku i na niewinnych ludzi napada!

Przemowa ta, donośnym głosem wypowiedziana, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Z wnętrza mieszkania wychodziło tylko na zewnątrz nie ustające i zawodzące mruczenie półgłosem i żarliwie modlącego się człowieka.

Przez drzwi, które młody człowiek trzymał wciąż na wpół otwartymi, widać było izbę dość dużą, o ścianach bardzo brudnych i ogromnym piecowisku czarnym od pyłu i sadzy. Pośrodku izby stał długi stół nakryty płótnem wątpliwej czystości, lecz rzęsiście oświetlony siedmiu płomykami świec palącymi się w zwieszonym u sufitu świeczniku.

Uczta sobotnia jeszcze się była nie rozpoczęła, bo jakkolwiek z dalszego wnętrza mieszkania dochodził wielki gwar głosów kobiecych i dziecinnych znamionujący liczną rodzinę, w izbie z piecowiskiem i długim stołem nikogo nie było prócz człowieka, który stał w kącie izby, plecami zwrócony do drzwi od sieni, a twarzą do ściany. Człowiek ten był średniego wzrostu, bardzo chudy i nadzwyczaj giętki. Wyrażenie stał niedobrze określa położenie jego postaci, na które wszakże odpowiedniego wyrażenia znaleźć by trudno. Nie chodził on

wprawdzie i nie skakał, a jednak w ustawicznym i gwałtownym zostawał ruchu. Głowę swą, okrytą silnie rudymi włosy, rzucał on w tył i naprzód, pochylał giętką i cienką swą postać aż prawie do samej ziemi, i odrzucał ją znów w tył z nadzwyczajną szybkością. Od gwałtownych ruchów tych szeroko rozwiewały się białe fałdy tałesu, którym był okryty, trzęsły się i rozwiewały długie przewiązki ściskające rękę jego nieco powyżej pięści, trzęsła się i za ramiona rozwiewała się długa, gęsta, ruda broda, opadała mu prawie na czoło tefila spoczywająca, a raczej podskakująca na jego głowie. Z gwałtownymi ruchami tymi zgadzały się też odgłosy wychodzące z ust jego i piersi, to szemrzące z cicha, to wybuchające namiętnymi krzyki, to wylewające się przeciągłym, żalosnym, zawodzącym śpiewaniem.

Młody człowiek stojący u progu dość długo patrzył na postać tę modlącą się tak całą duszą, albo raczej całym swym ciałem. Cekał widocznie przerwy w modlitwie lub jej końca. Wiadomym jednak było powszechnie, że długo czekać by musiał ten, ktokolwiek chciałby widzieć reba Jankiela kończącego modły swe, gdy raz modlić się on zaczął. Oczekującemu na to w tej chwili młodemu człowiekowi na sercu znać leżała złośliwa swawola małego Mendela. Był on może zresztą z natury już swej niecierpliwym i porywczym.

— Rebe Jankiel! — rzekł głośno po dość długiej chwili — twój syn włóczy się po nocach i na niewinnych ludzi napada!

Nie było odpowiedzi.

— Rebe Jankiel, twój syn łaje niewinnych ludzi bardzo brzydkimi wyrazami!

Rebe Jankiel modlił się wciąż z jedną gorliwością.

— Rebe Jankiel! twój syn biednym ludziom biedne, małe ich szyby po nocach tłucze!

Rebe Jankiel przewrócił kilka kart dużej księgi, którą trzymał w obu rękach i śpiewnie, tryumfująco, rozgłośnie zawiódł:

— Śpiewajcie Panu pieśń coraz nową, albowiem On stworzył wszystkie cuda! Śpiewajcie! grajcie! na arfach grajcie z głośnym przyśpiewywaniem! W trąby i rogi dzwońcie przed Królem, Panem!...

Ostatnim wyrazom towarzyszyło zamknięcie się drzwi od sieni. Młody człowiek szybko zbiegł z kołyszących się pod stopami jego schodków i opuściwszy ciemną, ogromną sien brnął znowu po wyściełającym podjazd śmieciisku. Kiedy mijał ostatnie z oświetlonych okien, do uszu jego doszedł śpiew półgłosem nucony. Zatrzymał się, i każdy na miejscu jego znajdując się uczyniłby to samo. Śpiew to był męski, młody, czysty jak dźwięk pereł, miękki jak szmer skargi, nabrzmiały prośbą, smutkiem i tęsknotą.

— Eliezer! — szepnął przechodzień i stanął u niskiego okna.

Okno to miało szyby czystsze daleko jak te, które znajdowały się w innych oknach — zupełnie nawet czyste. Widać było przez nie malutką izdebkę, w której prócz łóżka, stołu i szafy z księgami nic więcej nie było. Na stole paliła się mała, żółta świeczka, a przy nim łokciami o stół wsparty i z głową w dłoniach siedział młody, dwudziestoletni chłopak z nadzwyczaj białą, ściągłą, łagodną twarzą. Na twarzy tej nie było śladu rumieńca, ale wydatne usta jego wolne od wszelkiego zarostu posiadały koralową barwę. Z ust tych wychodził ów śpiew prześliczny, który zwrócić by mógł na siebie zachwyconą uwagę największego choćby z mistrzów muzyki.

Nie dziw też! Eliezer, syn Jankla, był kantorem gminy szybowskiej, piewcą ludu i Jehowy.

— Eliezer! — powtórzył się za oknem szept miękki i przyjazny.

Śpiewak szept ten usłyszeć musiał, bo szyby w oknie były pojedyncze, a on blisko nich siedział; podniósł też powieki i zwrócił ku oknu źrenice błękitne, omglone, łagodne i smutne. Nie przerwał jednak śpiewu swego, ale owszem, podniósł

w górę obie dłonie białe jak alabaster i w ekstatycznej postawie tej, z zachwyconym wyrazem twarzy, zanucił głośniej:

— Ludu mój! zrzuc z siebie kurzawę dróg ciężkich! powstań i przywdziej szatę piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

Stojący u okna młody człowiek nie wzywał już więcej po imieniu piewcy modlącego się za lud swój. Odszedł on, z ostrożnym uszanowaniem tłumiąc odgłos swych kroków, a idąc pustym, ciemnym placem ku znajdującemu się nieopodal wielkiemu, rześńcie oświetlonemu domowi, spoglądał na kilka gwiazd blade zza wilgotnej, dusznej mgły nad placem świecących i z cicha, w głębokiej jakby zadumie nucił:

— Pośpiesz! ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

II

Wielki, rześńcie oświetlony dom stojący naprzeciw brunatnej świątyni i całą szerokością placu z nią rozdzielony był tym samym, który zbudował był Hersz Ezofowicz i w którym żył on z piękną żoną swą, Frejdą. Stuletnie ściany jego, od dawna już poczerńiałe od słót i kurzawy, stały jednak prosto i wysokością swą górowały nad wszystkimi innymi w całym miasteczku.

Od godziny już we wnętrzu domu tego, w izbie dużej i ostawionej staroświeckimi, niezmiernie prostymi ławami i stołami, rozpoczął się już był obchód spotykania świętego dnia sabatu.

Spomiędzy kilkudziesięciu osób różnej płci, które przybywały stopniowo i napełniały izbę powstał gospodarz domu i naczelnik rodziny, Saul Ezofowicz, syn Hersza, i przybliżył się do ogromnego stołu, nad którym wisiały dwa ciężkie szczerosrebrne siedmioramienne świeczniki. Starzec ten, z którego pochylonej nieco, lubo barczystej postaci, zoranej twarzy i brody białej jak mleko odgadnąć można było osiemdziesiąt z górą lat wieku, wziął z ręki najstarszego z synów swoich, siwego też męża, płomyk migocący na długim drągu i podnosząc go ku świecom umieszczonym w świecznikach suchym od starości, lecz silnym jeszcze głosem zawołał:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami Twoimi i rozkazał nam zapalać światła w dzień sabatu!

Zaledwie to wymówił, w świecznikach zapłonęło kilkana-

ście jasnych światła, a kilkadziesiąt piersi wybuchnęło zbiorowym okrzykiem:

— Pójdźmy! pójdźmy spotykać oblubienicę! Z witaniem dobie sabatu spotkajmy!

...Zapłon! zapłon! światło królewskie! Z gruzów swych powstań, stolico! Dosyć ci mieszkac w dolinie płaczu!

...Ludu mój! strząśnij z siebie kurzawę dróg ciężkich! Przyodziej się szatą piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Boże ojców naszych!

...Pójdźmy! pójdźmy spotykać oblubienicę! Z witaniem dobie sabatu spotkajmy!

Długi, śpiewny, gorący gwar modlitw, które następowały jedna po drugiej, napełniał wielką izbę i wezbranymi falami rozchodził się poza okna, daleko po obszernym, ciemnym i pustym placu.

Dosłyszał go już z dala młody człowiek w zamyśleniu plac przebywający i przyspieszył kroku. Kiedy przeszedłszy ganek wzniesiony nad ziemię kilku wschodami i długą wąską sieną rozdzielającą dom na dwie połowy otworzył drzwi od izby, która płonęła cała od światła — modlitwy zamieniły się już w niej na rozmowy, a zgromadzone towarzystwo ze śladami jeszcze uroczystego nastroju ducha na twarzach, lecz i z wesołymi już uśmiechami, stało przy ławach i stołkach otaczających stół długi, z wielką obfitością zastawiony.

Towarzystwo to składało się z różnych postaci i fizjonomii. Byli tam dwaj synowie Saula wraz z ojcem swym mieszkający, Rafał i Abram, siwiejący już, czarnoocy, o surowych i zamyślonych twarzach mężowie, i zięć jego, jasnowłose, blade, z łagodnym okiem Ber; były córki, synowe i wnuczki gospodarza domu, niewiasty dojrzałe z okazałymi kibiciami i wysokimi czepcami na starannie uczesanych perukach lub młode dziewczęta o śniadych licach i ogromnych warkoczach, spod których błyskały młode oczy rozweselone świętem i świątecznym strojem. Kilku młodych bardzo mężczyzn do ro-

dziny należących i kilkanaścioro dzieci najróżniejszego wieku otaczało niższy koniec stołu; u miejsca najpokaźniejszego stał stary Saul i z wyrazem oczekiwania na twarzy spoglądał na drzwi wiodące do dalszych izb domostwa. Po chwili w drzwiach tych zjawily się dwie kobiece postacie, od jednej z których posypały się i zaiskrzyły tęczowe, olśniewające niemal blaski.

Była to kobieta bardzo, bardzo stara, wysoka jednak i bynajmniej nie zgarbiona, owszem, trzymająca się prosto i wyglądająca silnie. Głowę jej otaczał zawój barwisty, którego końce spięte były nad czołem ogromną klamrą z diamentów. Diamentowe spięcie zamykało naszyjnik, który z mnóstwa sznurów ogromnych pereł złożony opadał na pierś jej aż po związanie śnieżnego fartucha okrywającego z przodu kwiecistą, szeleszczącą ciężkim jedwabiem spódnice. Diamentowe też kolce, tak długie, że aż dotykały ramiona kobiety, a tak ciężkie, że przytrzymywać je trzeba było niemi uczeponymi do jej zawoju, mieniły się i migotały blaskami brylantów, szmaragdów, rubinów i za każdym poruszeniem z dzwiecznym szmerem uderzały o perły i połyskujące zza nich grube, złoty łańcuch.

Podobną ilością kosztownych i świetnych ozdób jaśnieć mogą tylko książęce niewiasty na balach albo — święte relikwie w świątyniach. Stuletnia ta izraelska niewiasta przybrana we wszystkie kosztowności od wieków nabywane i zgromadzone w jej domu była znać dla wszystkich ludzi tych, pośród których teraz wchodziła, wysoką cześć budzącą relikwią rodziną.

Kiedy prowadzona przez jedną z prawnuczek swoich, dziewczynę o smagłej twarzy i kruczym warkoczu, stanęła na progu izby, wszystkie oczy zwróciły się ku niej, wszystkie usta uśmiechnęły się i zaszemrały:

— Bobe! — albo — Elte Bobe! Babka! Prabadka!

Większość osób wymówiła wyraz ostatni, albowiem więcej tu było prawnuków i praprawnuków jej niż wnuków. Jeden

tylko gospodarz domu i naczelnik rodziny całej rzekł do niej z cicha:

— Mame!

Dziwnie słodko jakoś i uroczyście zarazem zabrzmiał wyraz ten, dziecięcym ustom zwykły, w zwiędłych, żółtych war-gach Saula, poruszających się wśród białego jak mleko zaro-stu. Pod białymi też jak mleko włosami, okrytymi aksamitną jarmułką, wygładziło się też przy wymawianiu wyrazu tego zorane czoło jego.

Lecz gdzież podziały się smagłe, gładkie lica, czarne, ogni-ste oczy i smukła kibić Frejdy, cichej, roztropnej, pracowitej żony i powiernicy Hersza Ezofowicza? Przeżyła już ona je od dawna, tak jak przeżyła męża, pana i zarazem przyjaciela swego. Z upływem czasu kibić jej, cienka niegdyś i wysmukła, rozrosła się i przybrała kształt pnia, który wypuścił z siebie wiele silnych i urodzajnych gałęzi. Twarz jej pokrytą była teraz takim mnóstwem drobniutkich zmarszczek, że wśród nich ani najmniejszego gładkiego miejsca wynaleźć nie byłoby po-dobna; oczy zmniejszyły się, zapadły i spoglądały zza pomar-szczonej, z rzęs ogołoconej powieki spłowiałą, bladozłotawą żrenicą. Ale na twarzy tej, zmiętej w dłoni czasu, rozlewał się spokój niezmacony i słodki. Małe, złotawe żrenice spoglądały dokoła z uśmiechającą się ciszą ducha usypiającego wśród błogich dłań szmerów; cichy uśmiech słodkiego usypiania okrążał żółte, zaledwie widne wargi, które od dawna już mil-knąć poczęły otwierając się coraz rzadziej dla wymówienia coraz krótszych wyrazów.

Teraz ramieniem ubranym w biały bufiasty rękaw otacza-jąc szyję hożej i silnej dziewczyny stanęła ona przy rodzin-nym stole i zza mrużącej się od rześistych światel powieki powiódłszy spojrzeniem po wszystkich otaczających twarzach wymówiła głośnym szeptem:

— Wo ist Meir?

Prababka przemówiła.

Zgromadzenie całe poruszyło się od słów jej niby drzewa od powiewu wiatru. Mężczyźni, kobiety i dzieci oglądali się jedni na drugich, i po wielkiej izbie rozszedł się szept gro-madny:

— Wo ist Meir?

Wśród wielkiej ilości zebranych tu członków rodziny nie-obecność jednego z nich zauważoną dotąd nie została.

Stary Saul nie powtórzył pytania matki, ale czoło jego zmarszczyło się bardziej jeszcze, a oczy z surowym i gniewnym nieco wyrazem patrzyły na drzwi od sieni.

Drzwi te otworzyły się w tej samej chwili. Do izby wszedł wysoki i kształtny mężczyzna w długim ubraniu przybranym u szyi i piersi kosztownym futrem. Wszedł, zamknął drzwi za sobą i stanął tuż u proga, onieśmielony jakby czy zawstydzony. Spozstrzegł, że spóźnił się, że wspólne rodzinne modlitwy od-mówionymi zostały bez niego, że oczy dziada jego, Saula, dwóch stryjów jego i kilku starszych kobiet spotkały go wej-rzeniem surowego wyrzutu i badawczego pytania.

Tylko złotawe żrenice prababki nie błysnęły na widok wchodzącego gniewem ni niepokojem. Owszem, powiększyły się one i zajaśniały radością. Zmarszczone powieki jej nawet drżeć i mrużyć się przestały, a żółte, wąskie wargi poruszyły się i wymówiły takim, jak wprzód, szeptem głośnym, choć bezdźwięcznym:

— Ejnykchen! Kleiniskind! Wnuczku! dzieciątko!

Na dźwięk szeptu tego brzmiącego radością i pieśczętą zamknęły się usta Saula, które otwierały się już były dla wy-mówienia surowych słów zapytania lub wyrzutu, spuściły się ku stołowi pytające i gniewne oczy dwóch synów jego. Spóź-nionego przybysza powitało tylko ogólne milczenie, które jed-nak przerwała znowu prababka powtarzając raz jeszcze:

— Kleniskind!

Saul wyciągnął ręce nad stołem i półgłosem podał obec-nym motyw modlitwy odmawianej przed ucztą sobotnią.

— Błogosławionym niech będzie Pan... — zaczął.

— Błogosławionym niech będzie... — rozszedł się po izbie gwar przytłumiony i wszyscy stali przez minut kilka dokoła stołu modlitwą poświęcając znajdujące się na nim potrawy i napoje.

Przybyły młody człowiek nie połączył się jednak z chórem ogólnym, lecz usunawszy się w głąb izby odmawiał opuszczone przez się dnia tego modlitwy sobotniego Kiduszu. Czyniąc to nie dokonywał ciałem swym żadnych poruszeń, ręce spokojne miał skrzyżowane na piersi, a wzrok nieruchomo utkwiony w okno, za którym wisiała głęboka ciemność wieczoru.

Rysy twarzy jego, ściągłe i łagodnie zarysowane, okryte były bladością właściwą naturom nerwowym i namiętnym. Bujne, ciemnopłowe włosy ze złotymi odbłyskami opadały mu na białe czoło, spod którego oczy, głęboko osadzone, z wielką, szarą, błyszczącą źrenicą, patrzyły wejrzeniem zamyślonym i trochę smutnym. W całym zresztą wyrazie twarzy młodego człowieka tego mieszały się ze sobą cechy chmurnego prawie smutku i dziecięcej nieledwie nieśmiałości. Czoło i oczy jego zdradzały tajemną myśl jakąś dolegliwą, niespokojną i niemal gniewną, ale cienkie usta posiadały zarys miękkiej czułości i zaledwie dostrzegalnie drżały od chwili do chwili pod wpływem jakby tajemnie doznawanej obawy. Zwierzchnią wargę i krawce policzków okrywał mu gęsty puch złotawy objawiający, iż dosięgnął on lat dziewiętnastu lub dwudziestu wieku, więc pory życia, która dla wcześniej dojrzewających mężów izraelskiego plemienia uważaną bywa za porę pozwalającą już, a nawet zmuszającą niejako do zajęcia się na własną rękę rodzinnymi i życiowymi sprawami.

Kiedy młody człowiek ukończył swe modlitwy i zbliżył się do stołu, aby zająć przy nim zwykłe swe miejsce, spośród zgromadzonych odezwał się głos chrapliwy nieco i zanoszący

się w taki sposób, jakby mówiący człowiek każdy wyraz swój nie wymawiał, lecz wyśpiewywał:

— A gdzie ty, Meir, był dziś tak długo? co ty tak późno robił w mieście, kiedy już sabat rozpoczął się i nikomu nie robić nie wolno? Dlaczego ty dziś sobotniego Kiduszu z całą swoją rodziną nie odprowadził? Czemu u ciebie czoło takie blade i oczy takie smutne, kiedy dziś sabat, wesoły dzień, w niebie cała niebieska rodzina cieszy się, a na ziemi wszyscy pobożni ludzie cieszyć się powinni i dusze swoje utrzymywać w wielkiej radości?

Wszystko to wypowiedzianym zostało przez człowieka dziwnie wyglądającego. Był to człowieczek raczej mały, chudy, suchy, z wielką głową jeżącą się twardymi, ciemnymi włosy, z twarzą ciemną, okrągłą, opatrzoną wielkim, splątanim zarostem, wielką brodą zdradzającą śmiertelny wstręt do grzebienia i szczotki i okrągłymi oczami, które zza wypukłej powieki ruszały się z szybkością nieporównaną rzucając dokoła przelotne, ostre błyski. Chudość i suchość ciała człowieka tego uwydatnionymi były strojem dziwniej jeszcze niż on sam wyglądającym. Był to też strój prostoty niezwyklej, bo składający się z jednej koszuli tylko, a raczej z woru, który zszyty z szarego, szorstkiego płótna, u szyi i w pasie grubym sznurem z konopi przewiązany, opadał aż do ziemi i na wpół przykrywał ciemne, bose zupełnie nogi.

Kim był człowiek ten w stroju ascety, z oczami fanatyka, a z ustami pełnymi wyrazu mistycznego, głębokiego, pijanego niemal rozradowania? Był to reb Mosze, mełamed, czyli nauczyciel religii i hebrajskiego języka, doskonały pobożny; w wichry, śloty, mrozy i upały jednostajnie bosonogi, w płócienny swój wór przyodziany, na wzór ptaków niebieskich żyjący nie wiedzieć czym — ziarnem jakimś chyba tu i ówdzie rzuconym; prawe oko zresztą i prawa ręka wielkiego rabinaszybowskiego, Izaaka Todrosa, i pierwszy po rabinie tym przedmiot czci i podziwu dla gminy całej.

Usłyszawszy tłumnie wychodzące z ust mełameda a ku niemu zwrócone pytania, Meir Ezofowicz, prawnuk Hersza, a wnuk starego Saula, nie usiadł jeszcze przy stole, ale wyprostowany, ze spuszczonej ku ziemi wrokiem, głosem przytłumionym widoczną nieśmiałością odpowiedział:

— Rebe! ja nie był tam, gdzie weselą się albo dobre interesy robią. Ja był tam, gdzie ciemno i gdzie w ciemnościach bardzo biedni ludzie siedzą i płaczą...

— Nu! — zawołał mełamed — a gdzie to dziś smutno być może? Dziś sabat, wszędzie światło i wesoło... gdzie dziś może być ciemno?

Kilku starszych członków rodziny podniosło głowy i chóralnie powtórzyło zapytanie:

— Gdzie dziś może być ciemno?

I wnet potem chóralne znowu wybuchnęło pytanie:

— Gdzie ty był Meir?

Meir nie odpowiadał. Na twarzy jego, o spuszczonej powiekach, malowały się nieśmiałość i wewnętrzne wahanie.

Nagle jedna z dziewcząt siedzących u niższego końca stołu, ta sama, która przed chwilą wprowadziła była do rodzinnego koła starą prababkę, dziewczyna ze smagłą twarzą i czarnym, figlarnym okiem, zawołała, wesoło uderzając w dłonie:

— Ja wiem, gdzie dziś jest ciemno!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej i wszystkie usta zapytały:

— Gdzie?

Pod wpływem ściągniętej na siebie powszechnej uwagi Lija zarumieniła się i ciszej już, z niejakim zawstyżeniem, rzekła:

— W chacie Abła karaima, tej, co tam przy karaickim pagórku stoi.

— Meir! czy ty był u karaimów?

Pytanie to wymówionym zostało przez kilkanaście głosów,

spośród których wyróżniał się wszakże wszystkie inne przenosząc piskliwy, ostry głos mełameda.

Na onieśmiałą dotychczas twarz młodego człowieka wybijać się począł wyraz przykrego i gniewnego nieco rozdrażnienia.

— Ja u nich nie był — odpowiedział głośniejszym już nieco głosem — ale ja ich od wielkiej napaści obronił.

— Od napaści? od jakiej napaści? a kto na nich napadał? — drwiącym tonem zapytał mełamed.

Tym razem Meir podniósł powieki i błyszczące źrenice utkwili w twarzy pytającego.

— Reb Mosze! — rzekł — ty wiesz, kto na nich napadał. Napadali na nich twoi uczniowie... Oni tak co piątku robią... a dlaczego oni nie mają tak robić, kiedy wiedzą...

Zatrzymał się i spuścił znowu oczy. Obawa i gniewne uczucie walczyły w nim widocznie.

— Nu! co oni wiedzą? dlaczego ty, Meir, nie skończył? Co oni wiedzą? — śmiał się reb Mosze.

— Wiedzą, że ty, rebe Mosze, pochwalisz ich za to...

Mełamed przypodniósł się na krześle, oczy jego zaś iskrzyły się i szeroko rozwarły. Wyciągnął ciemną, chudą rękę i chciał coś mówić, ale nie dopuścił go tym razem do słowa silny już i dźwięczny głos młodego człowieka.

— Reb Mosze — mówił Meir pochylając nieco przed mełamedem głowę, która widocznie z trudnością podawała się kornym pokłonom — reb Mosze, ja szanuję ciebie... ty mnie uczył... ja ciebie nie pytam, dlaczego ty swoim uczniom nie zabronisz biednym ludziom w ciemnościach gwałty wyrządzać... ale ja sam na te gwałty patrzeć nie mogę... mnie serce boli, jak na nie patrzę, bo do głowy mi myśl przychodzi, że z takich złych dzieci będą źli ludzie i że kiedy one teraz trzęsą biedną chatą starca i kamienie na niego przez okna rzucają, to potem będą domy podpalać i ludzi zabijać! Oni by dziś tę biedną chatę rozwalili i tych biednych ludzi pozabijali, że-

bym ja tam nie przyszedł i nie obronił... Ale ja przyszedł i obronił...

Przy ostatnich wyrazach Meir usiadł za stołem na przeznaczonym dla siebie miejscu. Nie było już na twarzy jego obawy ni nieśmiałości. Głęboko znać czuł słusność swej sprawy, bo śmiałym wzrokiem spojrzał dokoła, i tylko usta jego zadrgały w sposób właściwy naturom świeżym i wrażliwym. W tejże jednak chwili stary Saul i dwaj synowie jego podnieśli ręce w górę i jednogłośnie wymówili:

— Sabat!

Głosy ich były uroczyste, a wzroki, które na Meira zwracali, surowe i niemal gniewne.

— Sabat! Sabat! — podskakując na krześle swym i szeroko rozrzucając rękami podchwycił i krzychał mełamed. — Ty, Meir, w święty wieczór sabatu, zamiast Kidusz odmawiać i ducha swego wielką radością napełniać i oddawać jego w ręce anioła Matatrona, co pokolenia Jakuba przed Bogiem broni, ażeby on go oddał w ręce Sar-ha-Olama, co jest aniołem nad aniołami i księżciem świata, ażeby Sar-ha-Olam oddał go dziesięciu sefirotom, co takie wielkie siły są, że cały świat stworzyły, ażeby przez te dziesięć sefirotów duch twój dostał się aż do tego wielkiego tronu, na którym siedzi sam En-Sof, i z nim pocałunkiem miłości złączył się — ty, Meir, zamiast to wszystko robić, chodził bronić jakichś ludzi od jakichś napaści, domu ich pilnował i życia ich strzegł! Meir! Meir! ty sabat naruszył! Tobie trzeba iść do szkoły i przed całym ludem oskarżyć się głośno, że ty wielkie grzechy i wielkie zgorzelenia wyrabiasz!

Przemowa ta mełameda wywarła na zgromadzeniu całym silne wrażenie. Saul i synowie jego wyglądali groźnie, kobiety zdumione były i przerażone; w czarnych oczach Lii, która pierwsza zdradziła tajemnicę stryjecznego brata, kręciły się nawet łzy. I tylko zięć Saula, łagodny, błękitnooki Ber, spoglądał na oskarżonego ze smutnym jakby współczuciem,

a kilku młodych ludzi, rówieśników Meira lub młodszych od niego, patrzali w twarz jego jak w tęczę, z ciekawością i niepokojem przyjaznym.

Meir odpowiedział drżącym trochę głosem:

— W świętych księgach naszych, rebe Mosze, w Torze ani w Misnie, nie ma nic o sefirotach ani o En-Sofie. Ale tam za to wyraźnie stoi, że J e h o w a, choć sabat święcić rozkazał, pozwolił jednak, aby dwudziestu ludzi naruszyło go dla ratowania jednego człowieka.

Samo już odpowiadanie mełamedowi, doskonałemu pobożnemu i prawej ręce rabina Todrosa, było zuchwałością niesłychaną i zdumiewającą. Cóż dopiero, gdy w odpowiadaniu tym mieściło się niewyraźne chociażby zaprzeczenie sądom jego! Toteż wypukłe oczy mełameda zaledwie nie wystąpiły ze swych zagłębień, tak roztworzyły się szeroko i tak rozjątrzoną spojrzaniem okryły pobladała nieco wśród utarczki twarz Meira.

— Karaimy! — krzychał miotając się na swym stołku i rękami chwytając się brody swej i włosów — ty karaimów ratował! odszczepieńców! niedowiarków! wyklętych! Na co ich ratować? Dlaczego oni w sabaty światła nie zapalają i w ciemnościach siedzą? Dlaczego oni zwierzęta i ptaki, co do jedzenia służą, nie z przodu, ale z tyłu szyi zarzynają? Dlaczego oni Miszny, Gemary i Zoharu nie znają?

Zachłysnął się z uniesienia wielkiego i umilkł, a w przerwie tej ozwał się czysty i dźwięczny głos Meira:

— Rebe! oni są bardzo biedni!

— En-Sof mściwy jest i nieubłagany!

— Oni cierpią wielkie prześladowania od ludzi!

— Niepojęty ich prześladuje! — krzychał rebe.

— Przedwieczny prześladować nie każe. Rabbi Huna powiedział: „Jeżeli prześladujący sprawiedliwym nawet jest, a prześladowany złoczyńcą, Przedwieczny ujmuje się za prześladowanym“.

Reb Mosze płomienne miał rumieńce na ciemnych policzkach. Oczy jego zdawały się zjadać i pożerać bladą twarz młodzieńca o pałającym, śmiałym już teraz wejrzeniu i ustach drżących mnóstwem niedopowiedzianych, przymocą w piersi stłumionych wyrazów.

Zebranie całe miało pozór zdumienia, przerażenia, smutku. Sprzeczką podobna z mełamedem jednym wydawała się grzechem, innym wstydem, innym jeszcze niebezpieczeństwem dla zuchwałego młodzieńca lub i dla całej jego rodziny.

Toteż Saul spod siwych swych brwi najeżonych wlepił groźne wejrzenie w twarz wnuka i przeciągle ku niemu syknął: — Szaaa!

Meir pochylił przed dziadem głowę w znak pokory i podania się, a jeden z synów Saula dla złagodzenia gniewu reb Mosza, a zapewne też i dla własnego zbudowania, zapytał go, jakie różnice zachodzą pomiędzy powagą i świętością ksiąg talmudycznych i Zoharu, księgi Kabały, i czy doskonały pobożny zajmować się powinien badaniem pierwszych raczej, czy drugich.

Wysłuchawszy zapytania tego mełamed obu łokciami szeroko rozparł się na stole, oczy swe nieruchomo i z wyrazem głębokiego namysłu utkwiał w przeciwległej ścianie i zwolna uroczystym głosem mówić zaczął:

— Simon ben Jochai, wielki rabbi, co żył okropnie dawno temu i wiedział wszystko, co w niebie i na ziemi dzieje się, powiedział: „Talmud — to nikczmna niewolnica, a Kabała — to wielka królowa“. Czym Talmud napełniony? On napełniony bardzo małymi, podrzędnymi rzeczami. On uczy, co czyste jest, a co nieczyste, co pozwolone, a co niepozwolone, co skromne, a co nieskromne. A czym Zohar, księga blasku, księga Kabały, napełniony? On napełniony wielką nauką: czym jest Bóg i jego sefiroty. On ich wszystkich imiona zna i naucza, co oni robią i jak oni świat budują. W nim napisane, że Bóg nazywa się En-Sof, a drugie jego imię — Notarikon, a trzecie

jego imię — Gemotria, a czwarte jego imię — Zirufi. A sefiroty, co są wielkimi niebieskimi siłami, nazywają się: źródło człowiecze, narzeczona, biała głowa, wielka twarz, mała twarz, lustro, piętro niebieskie, piętro ziemskie, lilia i ogród jabłeczny. A Izrael nazywa się Matrona, a Bóg dla Izraela nazywa się Ojciec. Bóg, En-Sof, nie stworzył świata, tylko stworzyły jego siły niebieskie, sefiroty. Pierwszy sefirot urodził siłę boską, drugi wszystkich aniołów i Torę (Biblię), z trzeciego wyszli prorocy. Czwarty sefirot urodził z siebie boską miłość, a piąty boską sprawiedliwość, a szósty taką siłę, co wszystko rwie, drze i niszczy. Z siódmego sefirota urodziła się piękność, z ósmego wspaniałość, z dziewiątego przedwieczna przyczyna, a z dziesiątego — takie oko, co nad Izraelem ciągle czuwa i za nim po wszystkich drogach jego chodzi i nóg jego strzeże, ażeby nie zraniły się, a głów — aby na nie wielkie nieszczęścia nie spadały. Tego wszystkiego uczy Zohar, księga Kabały, i ona jeszcze uczy, skąd te sefiroty wzięły się i jak one rozdzielają się, i jak z liter, które składają ich imiona, i z tych, które imiona Boga składają, wszystkie tajemnice świata odgadywać. I to jest wielka nauka, pierwsza nauka dla każdego izraelity. Wiem ja, że wielu izraelitów mówi, że Talmud ważniejszy, ale oni wszyscy, co tak mówią, głupi są i nie wiedzą o tym, że póty ziemia trząść się będzie od wielkich boleści i póty Bóg i Izrael, Ojciec i Matrona, nie połączą się pocałunkiem miłości, dopóki niewolnica nie ustąpi przed królową, Talmud przed Kabałą. A kiedy ta pora przyjdzie? Ona przyjdzie wtedy, jak na świecie zjawi się Mesjasz. Wtedy będzie dla wszystkich ludzi pobożnych i uczonych Jobel-ha-Gadol, wielkie święto radości! Wtedy Pan Bóg każe ugotować rybę Lewiatan, co taka wielka jest, że na niej cały świat stoi, a wszyscy do wielkiej uczty usiądą i rybę tę jeść będą, pobożni i uczeni od głowy, a lud prosty i nieuczony od ogona!...

Skończył mełamed, odetchnął głęboko po długim mówieniu i spuściwszy wzrok ku stołowi spadł nagle z mistycznych

wysokości ku ziemskim realnościom. Na talerzu bowiem przed nim woniała pieprzem i korzeniami różnymi część wybornej ryby, nie Lewiatana jeszcze wprawdzie, ale zawsze smacznego wielce jakiegoś mieszkańca wód. Mełamed zaś w ascetyczny sposób całe życie swe pędząc uczty sobotnie lubił i obficie ich używał, przekonany był bowiem, że utrzymywanie ciała i ducha swego we wszechstronnej radości obowiązkiem było do dnia sabatu przywiązany jak długie i żarliwe modły. Z resztą więc mistycznej ekstazy w okrągłych oczach i z błogim uśmiechem na ustach począł ciemnymi rękami rozrywać i do ust nosić podany mu przysmak. Zgromadzenie przecież całe długo jeszcze po umilknięciu jego — milczało. Mądra przemowa jego sprawiła na wszystkich prawie obecnych silne wrażenie. Stary Saul słuchał jej z wyrazem głębokiego uszanowania na twarzy. Grube zmarszczki okrywające jego czoło drgnęły kilka razy pod wpływem jakby tajemniczej, nerwowej trwogi. Synowie jego utkwili w stół zamyślane oczy i w skupieniu ducha rozważali mądre nauki reb Mosza, mimo woli może i z pewnością z szacunkiem dla nich nieograniczonym szukając w mrocznych tych przepaściach rozbującej fantazji ludzkiej przewodniego promyka, który by je widniejszymi nieco uczynił. Kobiety posplatały pobożnym gestem dłonie na piersiach, przechylały w znak podziwu głowy swe z jednej strony na drugą i uśmiechnionymi od zachwyty usta szeptały cichuteńko:

— Nauczny człowiek! Mądry człowiek! Doskonały pobożny! Prawdziwy uczeń wielkiego rabbi Izaaka!

Ktokolwiek by jednak badał w tej chwili uważnie fizjonomie osób stół obsiadających, spostrzec by musiał dwa spojrzenia, które szybkie jak błyskawice, nie dostrzegalne wszystkim obecnym, strzeliły wzajem ku sobie w czasie przemowy mełameda. Spojrzenia to były Bera i Meira. Pierwszy rzucił ku drugiemu smutnym wzrokiem, drugi odbłysnął mu oczami pełnymi powściąganego gniewu i szyderstwa. Kiedy mełamed

mówił o rybie Lewiatanie, tak wielkiej, że cały świat stoi na niej, a którą w dzień Mesjaszowy uczeni spożywać będą od głowy, a nieuczeni od ogona — po cienkich, inteligentnych wargach Meira przemknął uśmiech. Był to uśmiech podobny do sztyletu. Ukłął on z pewnością boleśnie tego, na czyich ustach się ukazał, zdawało się też, iż rad by był ukłuć i tego, kto go wywołał. Ber na uśmiech ten odpowiedział westchnieniem. Ale dostrzegli go trzej czy czterej młodzi ludzie, którzy, naprzeciw Meira siedząc, często nań z wyrazem pytania w oczach spoglądali; spostrzegli go, i po twarzach ich przebiegły jakby odbłaski lub echa Meirowego uśmiechu... Po chwilowej ciszy przerywanej tylko dzwonieniem nożów o talerze i głośnym poruszaniem się szcęk mełameda stary Saul głos zabrał:

— Wielkie to są rzeczy, mądre i bardzo straszne rzeczy, o których nam reb Mosze — niech dzięki jemu będą — opowiadał. Słuchajcie ich, dzieci, wnuki i prawnuki moje, i nie pełniajcie nimi głowy wasze jako winem, które rodzi życie, a zabija grzech, szanujcie uczonych mężów, którzy wielką mądrością swoją utrzymują chwałę i moc Izraela, bo napisane stoi, że „uczeni są fundamentem świata“. Kto szanuje ich i o mądre rzeczy, które oni wiedzą, często ich zapytuje, temu przebaczone będą wszystkie grzechy jego życia. A kto z nas grzechów nie ma? Kto nie zatrzęsie się ze strachu, kiedy umierać będzie i przypomni sobie wszystko, co on przez całe życie złego zrobił?

Tu urwał się nagle suchy, stary głos Saula, lekkie drgnięcie przebiegało po całym ciele jego, a siwe, gęste brwi zsunęły się i zjeżyły. Miał wtedy pozór człowieka przejętego tajemną trwogą. Czyliżby w pamięci jego istniały dokuczliwe wspomnienia popełnionych kiedyś grzechów, które odkupić pragnął zatapianiem się w mistycznej nauce i czcią dla jej mistrzów? Reb Mosze podniósł twarz znad talerza i ustami pełnymi jadła, które spożywał, wybełkotał:

— Dobrze czyny człowieka sprowadzają na niego nieprzewany potok łaski i przebaczenia. One otwierają przed nim ajemnice nieba i ziemi i duszę jego zanoszą pomiędzy sefioty!

Pełne czci i skupienia ducha milczenie odpowiedziało słowom tym pełnym obietnic, lecz po kilku sekundach przerwał je u niższego końca stołu brząający, dźwięczny głos młodzieńcy:

— Reb Mosze! a co nazywa się dobrym czynem? Co czynić trzeba, aby duszę od grzechu wybawić i ściągnąć na siebie wielki strumień łaski? — głośno zapytał Meir.

Mełamed podniósł wzrok na pytającego. Spojrzenia ich potkały się znowu ze sobą. Bure oczy mełameda zaiskrzyły się gniewnie i groźnie; po szarych, przezroczystych źrenicach młodzieńca przelatywały srebrne błyski tajonych jakby uśmiechów.

— Ty, Meir, uczniem moim był i o takie rzeczy pytać się raz możesz! Czy ja wam nie mówił i nie powtarzał tysiące tysięcy razy, że najlepszym uczynkiem człowieka jest zagłębianie się w świętej nauce? Kto robi to, temu wszystko przebaczone będzie, a kto tego nie robi, ten przeklętym zostanie i od łona Izraela i od świata czystych duchów odepchniętym, choćby ręce jego i serce czyste były jako śnieg i choćby on pierś sobie rozdarł, aby ciałem swoim głodnych nakarmić, a krwią swoją napoić tych, którzy pragną...

Wymówiwszy to zwrócił się do Saula i ciemnym palcem swym wskazując Meira rzekł:

— On nie nie umie i nie wie! on zapomniał już wszystkiego, czego ja jego nauczył!

Starzec pochylił nieco przed mełamedem zbrudzone swe czoło i pojednawczym głosem rzekł:

— Przebacz jemu, rebe, to jeszcze dziecko! Jak jemu rozum do głowy przyjdzie, on pozna, że usta jego były bardzo zuchwałe, kiedy on śmiał sprzeciwiać się tobie, i on będzie

z pewnością taki nauczny i taki pobożny, jak byli wszyscy ludzie z rodziny naszej...

Wyprostował się, duma zaświeciła mu w przymglonych od starości oczach.

— Słuchajcie mię, dzieci, wnuki i prawnuki moje! — wyrzekł. — Familia nasza, familia Ezofowiczów, to nie byle jaka familia. My, dziękować Bogu — niech pochwalonym będzie święte imię Jego — wielkie bogactwa mamy w skrzyniach, i w spichrzach, i na wicinach naszych, ale większe jeszcze są te bogactwa, które my mamy w przeszłości familii naszej. Prapradziad nasz był Seniozem, starszym nad wszystkimi Żydami, co w kraju tym mieszkali, i bardzo ulubionym od samego króla, a tate mój, Hersz, wielki Hersz, miał przyjaźnię z największymi purycami, i oni go do swoich karet sadzali i dla wielkiej mądrości jego wozili go do króla i do sejmu, co wtedy w Warszawie siedział...

Umilkł starzec na chwilę i rozjaśnionymi dumą i tryumfem oczami spoglądał dokoła. Zgromadzenie całe utkwilo weń oczy jak w tęczę; mełamed schmurzył się i zwolna popijał wino ze sporego kielicha, a stara, drzemiąca już prababka obudziła się nagle i zza mrużących się powiek błyskając złotawą źrenicą głośnym swym, bezdźwięcznym szeptem zawołała:

— Hersz! mój Hersz! mój Hersz!

Po chwili Saul mówić zaczął znowu:

— W naszej familii jest jeden wielki skarb, taki skarb, jakiego nie ma w całym Izraelu. A skarb ten to długie pisanie, które zostawił pradiad nasz, Michał Senior, i w którym bardzo wielkie i mądre rzeczy napisane stoją... Tam napisane stoi, jak człowiek robić powinien, i jak Izrael cały robić powinien, ażeby bardzo bogatym i bardzo potężnym zostać, wszystkich nieprzyjaciół swoich zwyciężyć i na ich miejscu na tronie całego świata zasiąść. Żeby my te mądre pisanie mieli, tobyśmy bardzo szczęśliwi byli, w tym tylko bieda, że nie wiadomo, gdzie to pisanie jest...

Od czasu jak Saul mówić począł o mądrym pisaniu dziada swego, pomiędzy patrzącymi na niego kilkudziesięciu parami oczu dwie pary źrenic zaiskrzyły się namiętym, ale całkiem sprzecznym uczuciem. Były to oczy mełameda, który chichotał z cicha i zjadliwie, i Meira, który wyprostował się na swym siedzeniu i z palącą ciekawością wpatrywał się w twarz opowiadającego.

— Pisanie to — mówił dalej Saul — dwieście lat leżało schowane i nikt jego nie tknął. A kiedy dwieście lat skończyło się, znalazł je tate mój, Hersz. Gdzie on je znalazł, tego nikt nie wie, tylko jedna ta stara prababka...

Tu palcem wskazał na matkę swą i dokończył:

— I ona jedna wie, gdzie on te pisanie znowu schował, ale ona tego nikomu jeszcze nie powiedziała...

— A dlaczego ona tego nikomu nie powiedziała? — chichocząc wciąż zjadliwie i z cicha zapytał mełamed.

Saul odpowiedział smutnym głosem:

— Reb Nochim Todros — niech błogosławioną będzie pamięć jego — mówić jej o tym zabronił.

— A dlaczego wy, reb Saulu, nie szukaliście sami pisania tego?

Saul jeszcze smutniej odrzekł:

— Reb Baruch Todros, syn reb Nochima, i reb Izaak — niech sto lat żyje — syn reb Barucha, szukać mi go zabronili!

— I niech nikt go nigdy nie szuka! — wykrzyknął z całej siły swej mełamed podnosząc wysoko rękę uzbrojoną w widelec — niech nikt nigdy nie szuka pisania tego, bo ono pełne jest wielkiego bluźnierstwa i plugastwa! Rebe Saulu, zakaż ty dzieciom, wnukom i prawnukom swoim, aby pisania tego nie szukali, a jeżeli je znajdą, ażeby je ogniu na pożarcie dali! Bo kto pisanie to znajdzie i głośno ludowi przeczyta, na tego padnie chajrym i on wyrzuconym będzie z łona Izraelowego. Tak mówili reb Nochim i reb Baruch — niech błogosławioną

będzie pamięć ich, tak mówi reb Izaak — niech sto lat żyje! W pisaniu tym klątwa jest i wielkie nieszczęście dla tego, kto je znajdzie!

Głębokie milczenie nastąpiło po słowach tych z nadzwyczajnym uniesieniem przez mełameda wymówionych, a wśród milczenia tego dało się słyszeć długie, drżące, namiętne westchnienie. Wszyscy obejrżeli się w koło siebie chcąc dowiedzieć się, czyja pierś wydała z siebie ten szmer rozrywającego jakiegoś pragnienia, lecz nikt nie dowiedział się o tym. Ujrzano tylko Meira, jak w wyprostowanej postawie, z pobladłą twarzą, gorejącymi oczami wpatrywał się w twarz prababki. Ona odczuwając jakby ten przeszywający ją wzrok ulubionego dziecięcia, podniosła zmarszczone powieki i wymówiła:

— Meir?

— Bobe? — odparł wezwany głosem nabrzmiałym mięką pieśczętą.

— Kleniskind! — szepnęła prababka i uśmiechając się błogo usnęła znowu.

Uczta sobotnia bliską była końca, gdy u stołu zaszedł wypadek, który dziwnym wielce wydać by się musiał wszelkiemu obcemu oku, ale dla zgromadzonych tu osób stanowił zupełnie zwykły i powszedni widok.

Reb Mosze, którego ciemne policzki pały od kilku kielichów wina gościnnie mu przez gospodarzy podawanych, porwał się nagle ze stołka swego i kilku szerokimi susami z głośnym okrzykiem i z twarzą ku sufitowi wzniesioną wyskoczył na środek izby.

— Sabat! Sabat! Sabat! — krzyczał gwałtownymi ruchy trzęsąc głową i ramionami. — Frajd! frajd! frajd!! — powtarzał — cała niebieska familia raduje się i tańczy w niebie! Dawid tańczył i skakał przed arką przymierza. Dlaczegożby doskonały pobożny tańcem i skakaniem serca swego rozradować nie miał?

Tańczył i skakał, wzdłuż i w poprzek przebiegał szerokimi

kroki pustą przestrzeń znajdującą się dokoła stołu, przysiadł do ziemi i nagle zrywając się podskakiwał wysoko, wyciągniętymi w górę rękami dotykając niemal belek sufitu. Policzki jego pały, oczy płonęły namiętą ekstazą, bosc nogi z głuchym łoskotem uderzały o podłogę, a zza szorstkiego płótna długiej koszuli widać było, jak konwulsyjne drgania przebiegały wszystkie członki jego ciała.

— Sabat! Sabat! Frajd! Frajd! — rzucał okrzyki z dyszącą gwałtownie pierś i coraz szerszymi susy przebiegał izbę, coraz niżej ku ziemi pochylał się, a potem coraz więcej wyprężał w górę ramiona i twarz ku sufitowi podnosił. Coraz też ciężej i głośniej ciężkie, nagie stopy jego, płaczące się w wąskiej pochwie płóciennej, opadały na drżącą pod nimi podłogę.

Dla wszelkiego obcego oka ciekawym byłby widok uczuć, które odbijały się na twarzach ludzi obecnych temu ekstatycznemu tańcowi. Stary Saul i dwaj synowie jego spoglądali na tańczącego z nadzwyczajną powagą i uwagą. Najlżejsze drgnienie uśmiechu nie poruszyło ich ustami. Zdawać by się mogło, że na szalone skoki mełameda patrzali oni, jak wierzący zwykli są patrzeć na dokonywanie mistycznego, lecz świętego obrządku. Wprawdzie, w przyćmionym latami, lecz mądrym jeszcze oku Saula migotały od czasu do czasu światelka jakieś do tajonych, przykrych uśmiechów szyderstwa podobne, lecz nikt ich dostrzec nie mógł, bo starzec przykrywał na wpół źrenice swe żółtymi powiekami. Ber z płowymi włosy i głębokim wejrzeniem siedział wyprostowany i poważny także, lecz czoło jego zmarszczyło się w sposób niemal bolesny, a oczy tkwiły w ziemi. Meir na obu dłoniach wsparł głowę i zdawać się mogło, że nie słyszał i nie widział lub usiłował nie słyszeć i nie widzieć tego, co działo się dokoła. Kobiety za to dziwowały się wielce tańcowi reb Mosza, kołysały postacie swe w takt wybijany przez bosc stopy jego, cmokały zachwyconymi usty i oczami dawały sobie wzajem znaki podziwu i uwielbienia. Przy niż-

szym końcu stołu, tam gdzie siedzieli najmłodsi chłopcy i młode, hoże dziewczyny, słyhać było cichutki szmer przemocą tłumionych w pierś chichotów...

Zmęczył się na koniec reb Mosze, wyczerpały się siły jego, drgające od uniesienia i zapachu ciało jego runęło ciężko na ziemię u podnóża wielkiego pieca z zielonych cegieł. Przy podniósł się jednak po chwili, odetchnął ciężko, zaśmiał się głośno i rękawem szarej, szorstkiej swej koszuli ocierać począł pot bujnymi kroplami opływający mu szkarłatem zaszcze czoło i policzki.

Wtedy powstała od stołu Sara, najstarsza córka Saula, i poczęła wszystkim obecnym podawać do umycia rąk pełen wody srebrny dzbanek i srebrną miednicę. Szepcząc dziękczynne modlitwy obecni ręce swe oblewali wodą i ocierali je ręcznikiem wiszącym na ramieniu Sary, białym jak śnieg i w hafty zdobnym. Uczta sobotnia skończoną była.

W kilka minut potem sprzątniętymi zostały ze stołu okrywające go srebrne naczynia. Towarzystwo całe podzieliwszy się na kilka grup oddzielnych napełniło izbę gwarem głośnych i ożywionych rozmów.

Meir, który przez kilka chwil stał samotnie u okna z zamysleniem wpatrując się w ciemności wieczoru, zbliżył się do najpoważniejszej wiekiem grupy, która zgromadziła się dokoła najparadniejszego w izbie miejsca przyozdobionego staroświecką kanapą z wielką, żółtą poręczą. Tu Abram i Rafał, synowie Saula, i Ber, zięć jego, zdawali sprawę ojcu z interesów w ciągu tygodnia dokonanych, zapytywali go o rady i prosili o pomoc. Tu brzmiały nazwy cyfr przeróżnaitych przy wyliczaniu nabytych beczek zboża i zapłaconych za nie pieniędzy, poruszały się szybko palce kilku par rąk. Tu przy wzmiankach o zagranicznych portach i panujących w nich cenach zboża i drzewa zapalały się oczy uczuciem nadziei, obawy i — żądzy zysku. Stary Saul wyglądał tak, jakby teraz dopiero znalazł się we właściwym sobie żywiole. Jakkolwiek wy-

sokie i mądre nauki mistycznych mędrców gminy obudzały w nim cześć i trwogę, a raczej cześć z trwogi wypływającą, interesy świeckie zdawały się być umysłowi jego bardziej bliskimi, żywotnymi i znanymi. W oku jego, które rozbłysło bystrą i ożywioną myślą, nie było już znać starości, i tylko białe włosy jego i biała długa broda czyniły go podobnym do patriarchy i dostojnika rozdzielającego pomiędzy członków rodziny swej rady, pochwały i sądy.

Meir stał przez minut kilka przy gromadce ludzi tych rozprawiających o handlu, zarobkach i stratach z wyrazem twarzy zupełnie obojętnym. Znać było, że w sprawach podobnych nie brał on jeszcze nigdy osobistego udziału i że świeżej natury jego nie dotknęła jeszcze i nie napoczęła gryząca gorączka zysku. Z niejakim zdziwieniem popatrzał on na flegmatycznego Bera, który zdawał się być w tej chwili przemienionym w innego człowieka. Opowiadając teściowi o sprawach swych i zamiarach handlowych i przekładając mu konieczną potrzebę, w jakiej zostawał, zaciągnięcia u braci swej żony znacznej pożyczki, stał się on wymownym, ruchliwym, zapalczewym niemal. Oczy jego płonęły, usta poruszały się z niezmierną szybkością, ręce drżały.

Meir dotknął dłonią ramienia Bera, jakby chcąc przekonać się, że był to ten sam człowiek, który przy wieczerzy w czasie mistycznych rozpraw mełameda postawę miał i fizjonomię apatyczną aż do senności i martwoty, potem oddalił się i stanął przy grupie innej.

W grupie tej, zebranej u końca drugiego stołu zasłanego jeszcze białym obrusem, panował mełamed. Otaczało go osób kilkanaście, a on jak zwykle obu łokciami rozpierając się na stole uroczyście i wśród skupionej uwagi chaczów prawil:

— Wszystko, co jest na świecie, każdy człowiek i każde zwierzę, i każda trawa, i każdy kamień korzenie swe mają wysoko, w kraju tym, gdzie mieszkają duchy. I dlatego cały świat jest jak drzewo ogromne, którego korzenie znajdują się

między duchami. I jest on jak ogromny łańcuch, którego ostatnie koła wiszą tam, gdzie mieszkają duchy. I jest on jak ogromne morze, które nigdy nie wysycha, bo leci weń nieprzebrany strumień duchów i ciągle je napełnia...

Meir odszedł od grupy słuchającej mełameda i zbliżył się ku oknu. Tam dwaj młodzi ludzie z czołami w dłoniach z głębokim zamyśleniem rozprawiali o tym, gdzie i jak napisane stoi, że człowiek, który w noc świąteczną idąc cienia swego nie ujrzy, w tym samym roku umrze...

Meir obejrzał się dokoła. W przyległej izbie starsze niewiasty zebrawszy się skupionym kółkiem toczyły głośnie rozmowę o gospodarstwie swym i wielkim rozumie swoich małych dzieci; młode dziewczęta przysiadłszy w kąci nisko przy ziemi szeptały pomiędzy sobą, rozplatały długie warćkoce swe, chichotały i nuciły z cicha.

Z twarzy Meira widać było, że nie czuł się on pociągany do żadnej z licznych jednak gromadek ludzkich dom napełniających. Znajdował się pomiędzy swoimi, pomiędzy tymi, którzy najbliżsi mu byli krwią i sercem, a jednak... Można by rzec, iż znajdował się na pustyni, tak samotnie stanął na środku izby i takim smutnym, znudzonym okiem powiódł dokoła. Wkrótce nie było go już w izbie. Zstępował ze wschodów gankowych i przez plac ciemny skierowywał się ku długiemu, niskiemu domostwu reba Jankiela...

Po rzęsiście oświetlonych, obszernych, czystych i ludnych izbach domu dziada jego mieszkanie reb Jankla, właściciela największej w Szybowie oberży, handlarza gorzałką i urzędnika kahału, wygać się musiało Meirowi ciasnym, ciemnym, brudnym i smutnym.

W czasie gdy tam uczta sobotnia zaledwie przed chwilą ukończoną została, tu od dawna już sprzątnięto z rodzinnego

Reb Jankiel
stołu wieczerzę, która krótko trwała, bo była szczupłą i odbywała się w posępnym milczeniu, przerywanym tylko gderliwym swa-
rzeniem i złośliwymi ucinkami ojca rodziny. Wiadomym było zresztą powszechnie, że reb Jankiel skąpy był, wielkie pieniądze zbierał, a o porządki i wygody domowe mało dbał, bo sam w domu przebywał bardzo rzadko trudniąc się dzierżawieniem gorzelni i karczem po wsiach sąsiednich, a do miasteczka zaglądając wtedy tylko, gdy wymagały tego religijne obchody albo kahalne interesy. Żona jego, Jenta, i dwie dorastające jej córki trudniły się gospodarstwem zajezdneho domu, nie zasiadały nigdy do wspólnego stołu z męskimi członkami rodziny, pełniły funkcje i zajmowały stanowisko pierwszych służebnic domu.

Przyjazne gwarne pogadanki, które napępniały ściany Ezo-fowiczów, tu znanymi nie były. Dostatek ukazywał się wtedy tylko, gdy reb Jankiel przyjmował dostojnych gości jakich: świętego rabina, którego był ulubieńcem, kahalnych swych kolegów lub bogatych kupców. Czystość i wesołość nie ukazywały się tu nigdy.

W pierwszej izbie, do której wszedł Meir przez drzwi otwierające się do przepaścistej, ciemnej sieni, dopalał się na stole jeden tylko ogarek żółtej świeczki tkwiący w otłuszczonym mosiężnym lichtarzu. Zapach jadła tylko co sprzątniętego ze stołu mieszał się tu ze stęchlizną brudnych ścian i tłuszczowymi wyziewami okopconego komina. Cicho tu było i pusto zupełnie. W drugiej za to izbie, w której żadne już nie paliło się światelko, rozlegało się głośnie chrapanie pana domu zasypiającego już snem twardym. W trzeciej, małej i tak zastawionej łózkami i kuframi, że zaledwie wyminąć je było podobna, przy chwiejnym światelku lampki płonącej na piecu obwieszonym suszącymi się szmatami Meir ujrzał niewyraźną wśród mroku postać niewieścią, która kołysząc nogą kolebkę cichym nuceniem usypiała dziecię z cicha też płaczące. Powitał ją przechodzący skłonieniem głowy i przyjaznym słowem. Po-

zdrowiła go wzajemnie i wśród miarowego stuku kolebki, jak też chrapania kilku śpiących w izbie osób nuciła dalej.

Za niskimi drzwiczkami słychać było stłumiony gwar kilku rozmawiających męskich głosów. Meir otworzył drzwiczki te i znalazł się w izdebce Eliezera, kantora o białej twarzy i cu-downym głosie.

Eliezer nie był sam jeden. Wraz z nim przy stole, na którym paliła się żółta świeczka, siedziało kilku młodych ludzi, którzy należeli do rodziny Ezo-fowiczów i wraz z Meirem jedli dnia tego wieczerzę. Meir odetchnął szerzej, dlatego może, iż w izdebce kantora mniej duszne i cuchnące jak w innych częściach mieszkania tego panowało powietrze, albo że znalazł się wśród twarzy, na które patrzeć lubił i które też na widok jego oświeciły się przyjaznymi uśmiechami.

Eliezer podniósł turkusowe swe oczy na twarz przybyłego, gdy ten w milczeniu zajął miejsce przy stole.

— Meir! — rzekł miękkiem głosem.

— A co? — zapytał gość.

— Ty dziś nie miał ciępliwości i niepotrzebne rzeczy me-lamedowi gadał! Mnie o tym o n i już opowiedzieli.

Wskazał na obecnych młodych chłopców. Meir przenikliwy i drwający nieco wzrok utkwiał w białej twarzy piewcy.

— Czy ty, Eliezerze, naprawdę mówisz, że te rzeczy, które ja dziś me-lamedowi powiedziałem, niepotrzebne były i złe? — zapytał zwolna.

Kantor pochylił głowę.

— One były dobre — rzekł — ale ty ich nie powinienes mówić, bo na ciebie za to wielkie nieprzyjemności mogą spaść.

Zaśmiał się młody człowiek z przymusem jakoś i smutnie.
— Nu! — rzekł z determinacją — niech spadają! ja dłużej już wytrzymywać nie mogę i milcząc patrzeć i słuchać, jak oni wszystkim nam zawrót w głowach robią...

— Dziecko! dziecko! a co ty na to poradzisz? — ozwał się za rozmawiającymi głos przeciągły i leniwy.

Obejrzeni się. Był to flegmatyczny Ber, który wszedł przez niskie drzwiczki, starannie zamknął je za sobą i odpowiedział w powyższy sposób na porywczy wykrzyk młodzieńca położył się z twarzą ku sufitowi wzniesioną na łóżku Eliezera. Obecni zwykli znać byli widywać go pomiędzy sobą, nie okazali bowiem na widok jego najmniejszego niezadowolenia ani zmieszania, owszem, rozmowa toczyła się dalej. Jeden z młodych chłopców, krewnych Meira, na wpół z powątpiewaniem i śmiechem, na wpół z obawą i przejęciem się, zaczął powtarzać kantorowi słowa mełameda o En-Sofie i sefirotach, o dniu Mesjaszowym i ogromnej rybie, Lewiatanie. Drugi zapytał Eliezera, co myśli on o tym, że dość jest zagłębiać się w naukę Miszny i Zoharu, aby wszystkie występki swe mieć odpuszczone.

Eliezer słuchał w milczeniu i z pochyloną twarzą. Długo nie odpowiadał, potem podniósł z wolna głowę i rzekł:

— Czytajcie Torę! Tam napisane stoi: Jeden jest Bóg, Jehowa! Nie znajduje On zadowolenia swego w ofiarach waszych, śpiewach i kadzidłach, ale żąda od was, abyście miłowali prawdę, bronili uciśnionych, nauczali ciemnych i leczyli chorych, bo te są pierwsze powinności wasze!

Dwaj młodzi ludzie szeroko roztworzyli oczy.

— Nu! — zawołali jednogłośnie — czy mełamed nieprawdę mówił?

Eliezer milczał znowu długo. Widać było, że rad by był nie odpowiadać. Ale młode, niecierpliwe ręce szarpały go za rękaw odzieży domagając się odpowiedzi.

— Nieprawdę! — odrzekł na koniec nieśmiało ustami.

W tej chwili Meir położył mu dłoń na ramieniu.

— Eliezer! — rzekł — ty mnie tak samo powiedział dwa lata temu, kiedy z wielkiego miasta, gdzie ciebie śpiewać uczyli, wróciłeś. Ty wtedy otworzyłeś oczy moje, co same już zaczynały szukać światła, i nauczyłeś mię, że my nie jesteśmy prawdziwi izraelici, że wiara nasza nie jest już tą wiarą, którą

nam dano na górze Synaj, że judaizm zmacił się i zabrudził jak woda, kiedy w nią garść błota rzuca, i że od tego błota poczerniały głowy nasze i serca. Ty mnie to powiedziałeś, Eliezerze, i ja — przejrzałem. Od tego czasu ja kocham ciebie jak brata, który dopomógł mi wyjść z ciemnicy, ale od tego czasu także ja czuję na sercu wielką ciężkość i wielką tęsknotę...

— Eliezer uczył ciebie, Meirze, i Eliezer milczy... A ty, uczeń jego, gadać zaczynasz — ozwał się głos Bera, w którego leniwych dźwiękach przebrzmiewało szyderstwo.

— Żebym ja umiał gadać! — zawołał młody człowiek z roziskrzonym okiem — i żebym ja wiedział, co i jak robić!

I po chwili dodał ciszej:

— Ale ja ani gadać, ani robić nie umiem... Ja prosty, ciemny Żyd! Mam tylko w sercu wielką nienawiść dla tych, co oszukują, i wielką miłość dla oszukiwanych...

— I wielką zuchwałość! — wtrącił niedbale wyciągnięty wciąż na łóżku Ber.

— Zuchwałości ja dotąd nie miał, ale... ale żebym tylko wiedział, co zrobić, tobym ją miał!

Przez kilka chwil panowało milczenie. Przerwał je Meir.

— Ty szczęśliwy jesteś, Eliezerze!

— A czemu ja szczęśliwy?

— Na szerokim świecie byłeś, rozumne rzeczy widziałeś, mądrych ludzi słuchałeś... Aj! aj! żeby to mnie na szeroki świat!...

— Eliezer! opowiedz nam co o szerokim świecie! — ozwali się dwaj młodzi chłopcy. W oczach ich wlepionych w twarz kantora malowała się ciekawość i dziwna tęsknota.

Eliezer jedynym był wśród młodzieży szybowskiej młodzieńcem, który widział „świat szeroki“. Zawdzięczał to cudownemu głosowi swemu, dla ukształcenia którego wysłano go na naukę do wielkiego miasta. Wszystko, co miał on do opowiedzenia, opowiedział był już współtowarzyszom swym od dawna.

Zasób to zresztą nie był wielki. Ale oni słuchaliby go chętnie co dzień, gdyby co dzień jedno i to samo opowiadać im on chciał. Jak wygląda wielkie miasto? Jakie tam wysokie domy stoją i piękne pojazdy po ulicach jeżdżą? Jacy ludzie bogaci, grzeczni i uczeni w domach tych mieszkają, i ilu pomiędzy nimi znajduje się izraelitów, którzy moc pieniędzy, piękne pokoje, bogate suknie i wielki szacunek u ludzi mają? A dlaczego wszyscy ich szanują? Czy dlatego, że oni bogaci? Nie, bo i w Szybowie bogaci kupcy są, a puryce wtedy tylko szacunek im okazują, kiedy potrzebują ich pieniędzy, a kiedy nie potrzebują, to bardzo brzydko i ze wzgardą do nich i o nich mówią. Ich szanują dlatego, że oni wiele uczyli się i umieją, ale nie tylko Miszny i Gemary uczyli się, ale różnych innych bardzo pięknych i potrzebnych nauk. A dlaczego w Szybowie nie ma szkoły takiej, która by nauk tych uczyła, i dlaczego rabin Izaak i reb Mosze mówią, że te nauki to sódmska winnica i cudze płomienie, i że każdy prawy izraelita uciekać od nich powinien?

— Eliezer! jak to tam wielkie wozy bez koni po świecie chodzą, i kto je tak mądrze wymyślił?

— Eliezer! czy tam wszyscy izraelici koszery zachowują?

— Eliezer! co tam mówią o naszych rabinach Todrosach?

— Żle mówią.

Wielkie zdziwienie! Izraelici sami na szerokim świecie źle mówią o Todrosach i w En-Sofa, ani w Sefirotów, ani w całą Kabałę nie wierzą?

— A co oni mówią o Talmudzie?

— Oni o Talmudzie mówią, że to piękna i mądra księga jest przez mądrych i świętych ludzi napisana, tylko że ją skrócić trzeba i wiele z niej powyrzucać, bo teraz czasy nastały inne, i to, co było kiedyś potrzebne, teraz już jest szkodliwe.

Wielkie znowu zdziwienie! Talmud trzeba skrócić, bo Gemary trudno bardzo uczyć się i ona pamięć i rozum u dzieci zabija.

Prawda! Pytający pamiętają sami, jak im trudno było uczyć się Gemary i jak melamed bił ich srodze za to, że ona im do głowy wchodzić nie chciała, i jak oni od tego słabli na pamięci i rozumie, a mały Lejbele, syn biednego krawca, został nawet od tego na zawsze głupim i chorym!

— A kto to kiedyś skrócił Talmud i uczynił go łatwiejszym do nauczania się?

— Skrócił go wielki i święty mędrzec, Mojżesz Majmonides, którego potem rabini wykłęli.

Rabini wykłęli wielkiego i świętego mędrca! Rabini więc mogą być źli i niesprawiedliwi i nie zawsze wierzyć trzeba w to, co oni mówią!

— A co napisał więcej Mojżesz Majmonides?

— On napisał jeszcze More Nebuchim, przewodnik dla zbłąkanych... mądrą i piękną książkę, którą czytając chce się człowiekowi płakać z czułości i śmiać się z radości!

— A masz ty tę książkę, Eliezer?

— Mam!

— A skąd ty ją masz?

— Dał mi ją jeden izraelita, który tam w wielkim mieście jest wielkim adwokatem.

Eliezer, przeczytaj nam co z tej książki!

W taki to sposób naiwnym umysłem tym mimowiednie tęskniącym za słońcem wiedzy i szerokim łonem całej ludzkości objawiał się cząstkowo i chaotycznie świat wirujących po szerokich przestworzach zjawisk i myśli. Nie wyrabiały się z tego stałe przekonania żadne, nie wysnuwała się jasno przewodnia nić innego, lepszego życia, ale w sumienia wchodziły wątpliwości, w piersi pragnienia, młode oczy przysłaniały się smutkiem myśli poczynającej czuć swe kajdany.

Późno już było, gdy po długiej rozmowie młodzieńcy powstali z siedzeń swych i stanęli naprzeciw siebie z pobladłymi twarzami i gorejącym wzrokiem. Po chwilowym milczeniu Meir ozwał się:

— Eliezerze! czy my nigdy wielkim głosem nie krzyknę do ludu, aby rozejrzał się i przejrzał? Czy my zawsze gnić będziemy jak robaki przysypane ziemią i patrzeć, jak lud cały dusi się i gnije?

Eliezer spuścił ku ziemi łzawe swe oczy, wznosił w górę białe ręce i harmonijnym głosem swym wyrzekł:

— Ja za lud mój co dzień śpiewam i płaczę przed Panem!

Meir uczynił gest niecierpliwości, a w tejże chwili Ber podnosząc się ciężko z łóżka zaśmiał się grubym, posępnym śmiechem.

— Śpiewaj i płacz! — rzekł do Eliezera — ciebie twój srogi ojciec takim wielkim strachem nappełnił, że ty nic innego zrobić nigdy nie będziesz mógł...

Potem położył dłoń na ramieniu Meira i dodał:

— Ten tylko zuchwały jest i — przeciwko wodzie popłynie. Ale woda mocniejsza od człowieka. Gdzie ona jego zaniesie?

Opuszczając mieszkanie Jankła Meir zobaczył znowu w jednej z izb tę samą, co wprzód, postać niewieścią siedzącą nad kolebką uśpionego dziecka. Pochyliła się ona tylko i obu łokciami o brzeg kołeczki wsparta, drzamała. Światelko lampki płonącej na piecu padało teraz wprost na nią, oświecało szafirowy, podarty kaftan, który okrywał plecy jej i piersi nie okrywając ramion ociągniętych rękawami grubej koszuli. Na głowie miała ona jeszcze czepiec świąteczny z wielkim, zmietym kwiatem, którego czerwona barwa dziwnie odbijała przy żółtłej, pomarszczonej skórze niskiego czoła i zwieńczonych policzków. Nie stara to jeszcze była niewiasta, ale spracowana, zgnębiona. Jedno na nią spojrzenie wystarczało, aby przekonać się, iż życie jej upływało wśród trudów i upokorzeń i że nie odświeżyła go nigdy żadna kropla domowego szczęścia. Patrząc na nią łatwo też było zgadnąć, iż nie dożyje ona, jak Frejda, żona heretyka Hersza, stułetniej rocznicy swych urodzin i że nie będzie zwolna i słodko usypiać do snu wiecz-

nego wśród błęgiego sercu jej gwaru licznych wnuków i prawnuków. Jenta, żona pobożnego reb Jankła, była duchem zabitym w zmordowanym cielem...

Kiedy kroki odchodzących gości mieszając się czas jakiś z chrapaniem kilku osób głęboko uśpionych umilkły, Eliezer stanął w niskich drzwiach swej izdebki i przez kilka sekund spoglądał z dala na drzemającą matkę.

— Mame! — ozwał się z cicha — czemu ty się spać nie położysz? Mała Chajka zasnęła dawno i płakać już nie będzie. Połóż się i ty, mame... spocznij.

Szept syna dosięgnął drzemającej głowy Jenty. Podniosła powieki, zwróciła wzrok mętny ku wysmukłemu młodzieńcowi, którego delikatna twarz świeciła wśród zmroku białą alabastru i — o dziwy! — małe, mrużące się jej oczy mrużyć się przestały, a z bezbarwnych źrenic wymknęło się światelko radości.

— Eliezer! chodź tu! — szepnęła.

Młodzieniec zbliżył się i usiadł na krawędzi łóżka.

— Jak ja mogę zasnąć? — szeptały doń żółte, zwiedle wargi kobiece — kiedy moja głowa taka biedna! Chajka chora i co moment zapłakać może, a jak ona zapłaczę głośno, Jankiel obudzi się i w wielką złość wpadnie!

— Śpij, mame! — odszepnął syn — a ja tu posiedzę i Chajkę kołysać będę...

Żółta, pomarszczona twarz, z wielką, czerwoną różą nad czołem, pochyliła się i spoczęła, nie na wysoko usłanych, brudną bielizną okrytych poduszkach, ale na kolanach siedzącego obok młodzieńca.

Eliezer wsparł ramię o krawędź kołeczki, czoło złożył na dłoni i dumał. Niekiedy poruszał nogą bieguny kołeczki i z cicha nucił.

— Oj! biedna, biedna moja głowa! — szeptała przez sen drzemająca na kolanach syna żółta twarz kobieca.

— Biedna głowa twoja, o Izraelu! — w zadumie szeptały różowe usta czuwającego nad kolebką młodzieńca.

Kiedy tak działo się w mieszkaniu reb Jankla, mała i zwinna postać ludzka mknęła w ciemnościach przez obszerny podwórzec szkolny ku stojącej przy nim niskiej chatce rabina Izaaka Todrosa i zniknęła za niskimi drzwiami jej, które zamknęły się za nią z głośnym skrzypnięciem.

Skrzypnięciu temu odpowiedział z wnętrza chatki głos męski, o czystym, lecz niskim, basowym brzmieniu:

— Czy to ty, Mosze?

— Ja, nassi! sługa twój wierny! nędzny podnózek stóp twoich! Niech sen twój nawiedzają aniołowie pokoju! niech każde tchnienie ust twoich wonne będzie i przyjemne tobie jako oliwa zaprawiona mirrą! A kiedy ty spać będziesz, niech dusza twoja kąpie się z wielką rozkoszą w strumieniu duchów!

Basowy głos wychodzący z wnętrza ciemnej izby znajdującej się za malutką, również ciemną sionką zapytał:

— A gdzie ty tak długo był, Mosze?

Człowiek znajdujący się w sionce odpowiedział:

— Ja wczorzą sobotnią jadł w domostwie Ezofowiczów. U Ezofowiczów święcą sabaty ze wspaniałością wielką i ja do nich na sobotnie wczorze często chodzę, ażeby duszę swoją w wielkiej wesołości utrzymywać!

— Ty dobrze robisz, Mosze, że w sabat duszę swoją w radości utrzymujesz. A co tam u nich słychać?

— Żle słychać, nassi! Między różami i liliami lęgnie się tam bardzo brzydki robak!

— Jaki to robak?

— Robak taki, co świętą wiarę naszą gryzie i z Izraela zrobić może lud gojów i chazarników!

— A w czym sercu lęgnie się ten brzydki robak?

— On lęgnie się w sercu Meira Ezofowicza, wnuka bogatego Saula.

— Mosze! czy ty zobaczył robaka tego własnymi oczami i posłyszał go własnymi uszami! Mów, Mosze! Na mojej głowie leży wielki ciężar wszystkich dusz, co są w tej gminie, i ona o wszystkim wiedzieć powinna.

W sionce panowało przez chwilę milczenie. Człowiek, który tam wśród głębokich ciemności siedział w skurczonej postawie u zamkniętych drzwi świętego rabina, zbierał znać myśli swe i wspomnienia. Po chwili chrapliwym swym i śpiewnie zanoszącym się głosem mówić zaczął:

— Ja na własne oczy widziałem i na własne uszy słyszałem. Meir Ezofowicz nie odprowadził dziś sobotniego Kiduszu z całą rodziną swoją i przyszedł do domu wtedy, kiedy sabat dawno już był zaczął się. Ja jego zapytałem się, co on robił, a on mnie powiedział, że bronił od wielkich napaści chatę Abła karaima i wnuczki jego, Gołdy...

Umilkł. Basowy głos we wnętrzu zamkniętej izby wy-mówił:

— On bronił odszczepieńców i naruszył sabat!

— On w święty dzień sabatu duszy swojej w radości nie utrzymuje. Smutny przyszedł i smutny przez całą wczorzą był. A dlaczego on smutny? Bo dusza jego rwie się do gojów i do ich nauki...

— Niech wyklętą będzie nauka ta! niech Izrael ucieka od niej i niech nie przebaczy jej Pan! — wymówił za drzwiami głos basowy.

— On mówił, że w świętych księgach Izraela nie ma nic napisanego o En-Sofie ani o sefirotach i że Przedwieczny odszczepieńców prześladować nie każe...

Basowy głos wyrzekł:

— Obrzydliwości leją się z ust młodzieńca tego. W ciało jego przeszła dusza pradziada jego, Hersza Ezofowicza.

— Nassi! — głośniej niż dotąd zawołał Mosze.

Niewyraźne mruknięcie za drzwiami zachęciło go do dalszego mówienia:

— On szukać będzie pisania Michała Ezofowicza, Seniora, ja to z oczów jego widział, i on pisanie to znajdzie! A jak on je znajdzie i ludowi głośno przeczyta, zbuntuje się przeciw twoim naukom duch Izraela!

Długie po słowach tych panowało milczenie, aż głos basowy ozwał się znowu:

— Kiedy on pisanie to znajdzie, spocznie na głowie jego ciężka prawica Pana i w proch ją rozsypie... Mosze! a co on po wieczery robił?

— On poszedł do domu reb Jankiela i z kantorem Eliezerem długo rozmawiał — ja przechodził tamtędy i przez okno widział.

— Mosze! a kto był tam więcej?

— Byli tam Chaim i Mendel, co oni z Ezofowiczami w pokrewieństwie są, i Ber, zięć Saula...

— A co oni pomiędzy sobą mówili?

— Nassi! dusza moja weszła w ucho moje, kiedy ja pod ich oknem stał... Oni bardzo narzekali, że ich w wielkiej ciemności trzymają i że prawdziwa wiara Izraela zbrudziła się, jak woda, kiedy w nią kto rzuci gaść błota... A Eliezer mówił, że on na to wielkie skargi przed Pana zanosí śpiewając i płacząc, a Meir mówił, że śpiewać i płakać nie dość, ale trzeba do ludu wielkim głosem krzyknąć i zrobić coś, ażeby on inny był, jak jest...

— Pokolenie jaszczurcze... — mruknął głos z głębi chaty.

— Kto jest pokoleniem jaszczurzym, nassi? — pokornie zapytał Mosze.

Po chwilowym milczeniu odpowiedziano w ciemnościach:

— Ród Ezofowiczów!

III

Parę miesięcy minęło. Ciepły dzień majowy kończył się wieczorem wonnym i pogodnym.

Niewiele przed zachodem słońca brzegiem wąskiej uliczki, najuboższymi spomiędzy wszystkich domostwami ostawionej, postępowały zwolna dwie istoty. Jedną z nich była koza biała jak śnieg, drugą — dziewczyna wysmukła i chuda. Koza szła naprzód, podskakiwała co chwilę, aby ucześcić się gałęzi drzew rosnących tu i ówdzie. Wydawała się zwinną, swawolną i szczęśliwą. Idąca za nią dziewczyna poważną była i zamyśloną. Wiek jej trudno by było określić. Mogła mieć lat trzynaście albo siedemnaście. Jakkolwiek bowiem wysoką była, kształty ciała jej, drobne, suche, z powstrzymanym może rozrostem, wydawały się dziecinnymi. Ale chód jej i wyraz twarzy posiadały powagę i smutek wczesnej dojrzałości. Na pierwszy rzut oka wydawała się brzydką. Nie przyozdabiała jej wcale, wdzieków jej, jeżeli miała jakie, nie uwydatniał strój ubogi, złożony ze spłowiałej perkalikowej sukni, spod której wąskich fałd ukazywały się stopy na wpół tylko okryte obuwie grubym i płytkim, a której stanik luźny i obwisły krył się u szyi pod kilkoma sznurami drobnych, w różne kształty połamanych koralów. Od czerwoności jedynej tej zbytkownej ozdoby jej stroju żywo odbijała głęboka śniadość okrywająca chude i zapadłe nieco jej policzki; pod gęstymi brwiami wielkie, głęboko osadzone oczy patrzyły czarną jak aksamit żrenicą, a nad wąskim, ciemnym czołem wily się spletanymi kędziory włosy hebanowej czarności.

W całej postaci dziecka tego, czy tej kobiety, było coś dumnego i dzikiego zarazem. Szła wyprostowana, poważna, zamysłonym wzrokiem śmiało patrząca kędyś w dal — lecz przy każdym żywszym usłyszonym szmerze ludzkich głosów przystawała i przycisnąwszy się do płotu albo ściany spuszczała oczy, nie trwóźnie, posępnie raczej i niechętnie, tak jakby wszelkie spotkanie się z ludźmi przykrym jej być musiało. Jedna tylko biała koza nie sprawiała jej obecnością swą żadnej przykrości. Owszem, wiodła ona za nią od chwili do chwili baczny wejrzeniem, a gdy zwinne stworzenie oddalało się od niej zbyt szybko, przywoływała je ku sobie przyciszonymi, krótkimi wykrzyki. Wzajemnie koza rozumiała ją znać dobrze i wołaniu jej posłuszna wracała ku niej z pytającym jakby beczaniem. U końca ciasnej, biednej uliczki błysnęła świeża, majowa, rosą operlona i słońcem pozłocą zieloność. Była to łączka niewielka, tuż za miasteczkiem leżąca, z jednej strony otoczona gęstym brzoźowym gajem, z drugiej otwierająca się na ogromne rozłogi pól, za którymi w głębokiej dali siniął długi pas wielkich borów.

Na widok łączki dziewczyna nie przyspieszyła jednak kroku, owszem, zwolniła go, a po chwili przywoławszy ku sobie kozę swą i ręką ujawniwszy jeden z małych jej rożków stanęła. Stanęła i patrzyła na ruchliwą scenę, która odbywała się na łączce i od której dolatywał uszu jej gwar zmieszany z dziecięcych śmiechów, krzyków i ze zwierzęcych beczeń. Zrazu scena ta wydawała się tylko tłumnym i chaotycznym migotaniem po zielonym tle stworzeń mlecznej białości i pstrokatych postaci dziecinnych. Po dłuższym dopiero patrzeniu rozeznać można było kilkanaście małych dziewcząt spędzających z pastwiska kilkadziesiąt kóz.

Dziewczęta były swawolne i śpieszyły się do domów. Kozy były uparte i chciały pozostać na łące. Pomiędzy jednymi i drugimi zawiązywały się uporne walki, w których zwierzęta odnosiły nad dziećmi najczęstsze zwycięstwa. Wymykały się one

z rąk przewodniczek swych i w zwinnych podskokach biegly ku porastającym gdzieniegdzie łąkę krzaczastym leszczynom. Dziewczęta goniły je, a dogoniwszy i pochwyciwszy obu rękami długie pasma szorstkiej ich sierści nie wiedziały, co czynić dalej. Jedne przyzywały na pomoc towarzyszki swe, również jak one zajęte i zakłopotane, inne zabiegały drogą nieposłusznym pupilom i gdy już znajdowały się naprzeciw nich, wyciągały przed siebie oba ramiona obrończym gestem, inne jeszcze topiły obie ręce w kędziarach swych włosów i wydawały rozgłośnie krzyki rozpachy albo upadały na ziemię i tarzając się po miękkiej murawie zanosili się swawolnymi śmiechy. Krzyki te, śmiechy i wołania połączone z przeciągłym beczaniem kóz pochwytywały powiewy ciepłych wiatrów lecące nad łąką i niosły je pomiędzy posępne uliczki miasteczka, na szerokie złote błonia, w dalekie głębie gaju. W pozłocym też powietrzu migotały i przelatywały krzyżując się ze sobą nagie, drobne stopy deptające zieloną trawę, małe głowy okryte włosami wszech odcieni, od czerności hebanu do czerwoności miedzi i bladej żółtości lnu.

Wysmukła, poważna dziewczyna przebywająca wraz ze swawolną, lecz posłuszną kozą swą ciasną uliczkę ku łące wiodącą stojąc przypatrywała się ruchliwej i gwarnej scenie wzrokiem obojętnym. Znać było, że nie nęciła ją tam wesołość ani pociągała ciekawość. Jak wprzód szła, tak teraz stała spokojnie i poważnie. Zdawała się czekać czegoś, zniknięcia może z zielonego kawałka gruntu migocących tam głów i brzmień krzyków dziecinnych.

Krzyki te zwały się po chwili w jeden chóralny okrzyk. Zwiastował on radość i tryumf powszechny. Po długich walkach, gonitwach i wysileniach kozy opanowanymi na koniec zostały, ani jedna z nich nie pozostała już przy ponętnych im krzakach leszczyny, lecz wszystkie znalazły się w mocy swych przewodniczek, które teraz już w jedną spójną zebrały się gromadkę. Jedne z nich wiodły uparte i do buntu

zawsze gotowe stworzenia za krótkie ich rożki, ciągnąc je z całej siły za sobą i przechylając głowy ich aż prawie do ziemi, inne obu ramionami objawszy ich szyje biegly wraz z nimi krokiem podskakującym i śpiesznym, inne jeszcze, najśmielsze i najsilniejsze, dosiadły niskich ich grzbietów i unoszone przez osobliwych wierzchowców tych, ściśnionymi pięściami trzymające się najdłuższych pasem ich sierści pełnym kłusem leciały ku miasteczku. Cała kawalkada ta, tłuma i głośna, wcisnęła się w jedną z szerszych ulic miasteczka i zniknęła w kłębach kurzawy.

Zielona łączka była teraz pustą i cichą, lekki wiatr tylko szemrał w gałęziach brzoź i leszczyny, a od zachodzącego słońca spuszczał się na nią przezroczysty obłok różowy.

Śniada dziewczyna uwolniła z objęcia szyję swej kozy, śpieszniejszym niż wprzód postąpiła krokiem i po chwili znalazła się na skraju łączki.

Tu jednak stanęła i wzrok utkwiała w punkt jeden z nagłym jakby osłupieniem radości. Punktem tym był gruby pień brzozowy obalony przez wichry i u samego podnóża gaju leżący, a na którym z dużą księgą na kolanach rozwartą siedział młody mężczyzna.

Oslupienie dziewczyny krótko trwało. Z oczami utkwionymi w schyloną nad księgą twarz młodzieńca, prosta i lekka, przeszła ona całą szerokość łąki, a stanawszy tuż przy pnium, na którym on siedział, pochyliła się, rękę jego w swe ciemne dłonie pochwyciła i do ust swych ją poniosła.

Zatopiony w czytaniu młody człowiek podniósł szybko głowę, zdumionym wzrokiem okrył twarz dziewczyny, cofnął szybko rękę swą z jej uścisku i spłonął cały gorącym rumieńcem.

— Ty mnie nie znasz? — wyrzekła dziewczyna stłumionym nieco, ale nie drżącym bynajmniej głosem.

— Nie — odpowiedział młody człowiek.

— A skąd możesz mię znać? Ale ja znam ciebie. Jesteś

Meirem Ezofowiczem, wnukiem bogatego Saula. Widuję cię często, jak siedzisz na ganku pięknego domu swego albo jak z tą książką przechodzisz koło karaimskiego wzgórza...

Wszystko to wymówiła głosem pewnym, z wyprostowaną swą i poważną postawą. Na twarzy jej nie ukazał się najlżejszy wyraz zmieszania ni nieśmiałości, nie wybił się na nią najślabszy cień rumieńca. Tylko czarne źrenice jej powiększyły się jakby i zapłonęły gorącym blaskiem, a blade, poważne usta przybrały zarys łagodny i miękki.

— A któż ty jesteś? — zapytał z cicha Meir.

— Jestem Gołda, wnuczka Abła karaima, pogardzanego i prześladowanego przez wszystkich twoich...

Teraz dopiero głos jej drgnął i ozwało się w nim parę brzmień posępnych.

— Wszyscy twoi pogardzają i prześladują Abła karaima i wnuczkę jego, Gołdę, a ty ich bronisz. Ja tobie dawno podziękować chciałam!

Meir spuścił powieki. Białe czoło jego okrywała wciąż różowa barwa rumieńca.

— Żyćcie w pokoju, ty i dziad twój, Abel — wymówił z cicha — i niech nad biednym domem waszym rozpostrze się prawica Przedwiecznego, który kocha i broni tych, co cierpią...

— Dziękuję tobie za dobre słowa twoje — cicho już szepnęła dziewczyna; zarazem osunęła się na trawę u nóg młodzieńca i podnosząc nieco splecione ręce szeptała dalej:

— Ty, Meir, dobry jesteś, rozumny i piękny. Imię twoje znaczy „światłość“ i mnie przed oczami robiło się światło, ile razy ja zobaczyłam ciebie. Ja dawno chciałam ciebie znaleźć i porozmawiać z tobą, i powiedzieć, że ja chcę przez całe życie moje do ostatniego dnia o tobie myśleć... Ja tobie chciałam powiedzieć, że choć ty wnuk bogatego kupca, a ja wnuczka biednego karaima, co koszyki plecie, my jednacy w oczach Pana Przedwiecznego i mnie wolno na ciebie oczy podnieść i na twoją światłość patrząc być szczęśliwą!...

I wyglądała w istocie szczęśliwą. Śniade, zapadłe policzki jej teraz dopiero opłynęły łuną płomiennego rumieńca, wargi purpurą zaszyły i drgały, a w czarnych oczach wzniesionych ku twarzy młodzieńca i napełnionych uwielbieniem namiętym stały dwie srebrne łzy.

Meir słuchał ją ze spuszczonego wzrokiem, a gdy umilkła, podniósł powieki, patrzył na nią przez chwilę i szepnął z cicha:

— Jaka ty wdzięczna jesteś, Gołdo, i — piękna!

Po raz pierwszy w ciągu rozmowy swej z Meirem Gołda oczy spuściła i machinalnie zgarniać poczęła ku sobie wysokie trawy o puszystych kiściach rosnące dokoła.

Meir patrzył na nią długo w milczeniu. Przedziwna niewinność serca objawiała się w zawstydzeniu, które mu wciąż rumieńcami okrywało czoło, i w nieśmiałej radości, od której zdwojonym blaskiem świeciły szare źrenice jego klониące się wciąż ku ziemi.

— Usiądź tu przy mnie — rzekł na koniec cichym głosem.

Dziewczyna podniosła się z ziemi i usiadła na wskazanym jej miejscu. Odzyskała już całą śmiałość swą i powagę. Milcząc patrzyła na młodzieńca, który nie patrzył na nią.

Milczeli długo. Milczenie też panowało dokoła, tylko nad głowami ich szemrały z cicha wysmukłe brzozy, a w koło pobliskiej sadzawki porosłej łożą błotne ptactwo ożywało się rzadkim, krótkim krakaniem i gwizdem.

Meir patrząc wciąż na ścielące się u stóp jego gęste trawy przemówił pierwszy:

— Dlaczego tak późno wypędzasz kozę swą na pastwisko? Gołda odpowiedziała:

— Bo nie chcę przychodzić wtedy, kiedy są tu ze swymi kozami inne dziewczęta.

— Czy i one przesładują cię także?

— Śmieją się ze mnie, gdy mnie zobaczą, przezywają

mię różnymi brzydkimi nazwiskami i odpędzają mnie od siebie, żebym blisko nich nie była.

Meir podniósł na dziewczynę wzrok, w którym malowała się litość.

— Czy ty, Gołda, boisz się tych dziewcząt?

Gołda poważnie w znak przeczenia wstrząsnęła głową.

— Ja ze strachem razem wyrosłam — odpowiedziała — on mój brat i z nim oswoiłam się. Ale kiedy do domu powracam, stary zejde pyta się: „Czy ty tam kogo spotkałaś? czy tobie kto co złego nie zrobił?“ Ja przed nim kłamać nie mogę, a jak powiem prawdę, stary zejde smuci się bardzo i płacze...

— Czy zejde cię sam wychodował?

Twierdząco skinęła głową.

— Tate mój umarł i mamę moja umarła, kiedy ja jeszcze od ziemi nie odrosłam tyle nawet, co ten maleńki krzaczek. Zejde innych dzieci nie miał, wziął mnie do siebie i hodował i kołysał mnie, kiedy ja chora byłam, i nosił po chacie w rękach swoich, i bardzo całował. A jak ja wyrastałam, prząść mnie nauczył i czytać w Biblii, i wszystkie piękne historie znać, co je karaimi przynieśli sobie z dalekiego świata... Zejde dobry jest, zejde kochany i taki stary, taki stary... i taki biedny... Włosy jego jak śnieg od starości, a oczy od płaczu jak korale... Ja często u nóg jego leżę i kiedy on koszyki plecie, głowę moją u niego na kolanach trzymam, a on swoją starą ręką, co bardzo trzęsie się, po włosach mię gładzi, wdycha i mówi: „Josejme! josejme! (sierota)“.

Mówiąc to siedziała w pochylonej nieco postawie, z łokciem opartym o kolano, a policzkiem ukrytym w dłoni; kołysała się z lekka i nieruchomym wzrokiem patrzyła w dal.

Meir patrzył teraz w twarz jej jak w tęczę, a gdy wymówiła ostatni wyraz, miękkim, litością nabrzmiałym głosem powtórzył za nią:

— Josejme!

W tejże chwili o kilkadziesiąt kroków za nimi w gęstwinie gaju ozwało się po kilka razy beczenie kozy. Meir obejrzał się.

— Czy twoja koza nie zabłądzi w lesie? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała spokojnie dziewczyna — ona daleko ode mnie nie pójdzie, a jak ją zawołam, wróci do mnie. To moja siostra.

— Strach twój brat, a koza twoja siostra! — z uśmiechem rzekł młody człowiek.

Dziewczyna zwróciła z wolna głowę w stronę gaju i wydała parę krótkich, urwanych okrzyków. Natychmiast w gęstwinie zaszumiał bieg szybki i pomiędzy zielonymi splotami brzozowych gałęzi stanęło mlecznobiałe, o długiej sierści stworzenie. Stanęło i patrzyło na siedzącą obok siebie parę ludzi czarnymi oczami.

— Chodź tu! — zawołała Gołda.

Koza zbliżyła się i stanęła tuż przed nią. Ciemna, pomarańczowa aż prawie ręka Gołdy przesunęła się po wyciągniętej jej szyi, pogłodził ją też uśmiechając się Meir. Koza wydała krótki wykrzyk, poskoczyła i w mgnieniu oka zawiesiła się na gałęzi rozrosłej leszczyny.

— Jaka ona posłuszna! — rzekł Meir.

— Ona mię bardzo kocha — poważnie odpowiedziała Gołda — jak zejde mnie, tak ja ją wyhodowałam. Ona była maleńkim kozłeciem, kiedy zejde przyniósł ją raz do domu i mnie darował, i ja ją potem na rękach moich nosiłam i z rąk moich karmiłam; a kiedy ona była chora, śpiewałam nad nią tak, jak zejde śpiewał kiedyś nade mną.

Mówiąc to uśmiechała się, miała pozór dziecka i nie wyglądała na więcej jak na lat czternaście.

— A chciałabyś ty mieć znowu małe kozłatko? — zapytał Meir.

— Czemu nie? — odpowiedziała — chciałabym bardzo.

Jak zejde kiedy dużo koszyków sprzeda, a ja dużo wełny na przędę... kupim sobie znów na targu takie białe kozłatko...

— A dla kogoś ty wełnę przędziesz?

— Są takie dobre kobiety, co mi ją dają. Hana, żona Witebskiego, i ciotka twoja, Meir, Sara, żona Bera, dają mi prząść wełnę, a potem płacą mi miedzianymi, czasem i srebrnymi pieniędzmi...

— To ty, Gołdo, przychodzisz czasem do naszego domu brać wełnę do przędzenia od Sary, żony Bera?

— Przychodzę!

— A czemu ja ciebie nigdy nie widziałem?

— Bo oni mnie pod wielkim sekretem wołają i robotę dają. Ber i żona jego, Sara, są bardzo litościwi ludzie, ale nie chcą, żeby kto dowiedział się, że oni zejde i mnie znają i nam pomagają. Ja do nich przychodzę wtedy, kiedy nikogo w domu nie ma, chyba jedna Lijka, twoja siostra stryjeczna, Meir, i zawsze tak idę, żeby mię czarny człowiek nie zobaczył...

— Jaki czarny człowiek? kto to ten czarny człowiek? — z zadziwieniem zapytał Meir.

— Rabbi Izaak Todros! — bardzo cichym, tajemniczym szeptem odpowiedziała Gołda.

Na dźwięk wymówionego przez Gołdę imienia twarz Meira, rozpromieniona wprzód, litościwa na wpół, a na wpół zapłoniona wzruszeniem, nerwowo drgnęła. Umilkł na gle i wpatrzył się w daleki punkt przestrzeni oczami, w których zagrały posępne światła. Zamyślił się tak głęboko, aż mu głęboka zmarszczka powstała na białym czole. Zdawało się, iż zapomniał nagle o tym, iż nie był sam jeden.

— Meir! — ozwał się tuż przy ramieniu jego szept łagodny — o czym ty tak zamyślił się i czemu oczy twoje zrobiły się takie smutne? Imię twoje znaczy „światłość“. Czy tobie nie świeci zawsze słońce pociech i radości?

Młody człowiek nie zmieniając kierunku spojrzenia w zadumie wstrząsnął powoli głową.

— Nie! — odszepnął — na moim sercu leży wielki smutek!

Dziewczyna pochyliła się ku niemu blisko.

— Meir! — zawołała — a skąd u ciebie ten smutek na sercu?

Milczał chwilę, potem odpowiedział z wolna:

— Stąd, że u nas czarni ludzie są i że u nas wszędzie tak czarno... tak czarno...

Dziewczyna spuściła czoło na dłoń i jak smutne echo powtórzyła:

— Oj, czarno!

Meir zamyślonymi oczami patrzył wciąż w dal, w stronę, kędy długi szlak lasu rozdzielał złotą równinę z liliowym skłonem nieba.

— Gołda! — ozwał się półgłosem.

— Co, Meir?

— Czy ty nigdy nie chciałaś wiedzieć i widzieć, co tam, za tym lasem gęstym i wysokim, dzieje się daleko... daleko, na szerokim świecie?

Dziewczyna milczała. Z postawy jej pochylonej ku młodzieńcowi i oczu jej szeroko roztwartych, płomiennych poznać można było, że kiedy patrzyła na niego, nic już więcej na całym szerokim świecie widzieć nie chciała.

Ale Meir mówił dalej:

— Ja bym od ptaka skrzydeł sobie pożyczył, aby tam, za ten las, daleko polecieć...

— Czy tobie piękny dom bogatego Saula nie miły? czy tobie niemiłe twarze braci, krewnych i przyjaciół twoich, że ty byś od nich skrzydłami ptaka odlecieć chciał? — z tłumionym uniesieniem żalu czy przestrachu szepnęła dziewczyna.

— Miły mi dom dziada mego Saula — odszepnęły usta

zadumanego młodzieńca — i miłe mi twarze wszystkich braci i krewnych moich... Ale ja bym chciał za ten las polecieć, ażby wszystko widzieć i wszystko wiedzieć i bardzo mądrym stać się, a potem tu powrócić i wszystkim tym, co w ciemnicy siedzą i w kajdanach chodzą, powiedzieć, jak oni mają zrobić, żeby z ciemnicy wyjść i kajdany swoje z siebie otrząsnąć...

— I ja bardzo ciekawy — mówił dalej po chwili milczenia — ja bym chciał wiedzieć, jakim sposobem gwiazdy po niebie chodzą i trawy z ziemi wyrastają... jak wszystkie narody na ziemi żyją i jakie są rozumne i święte ich księgi i ja bym chciał wszystkie rozumne księgi te przeczytać i z nich nauczyć się myśli bożej i doli ludzkiej, ażby dusza moja stała się tak pełną wiedzy, jak pełną wody jest wielka przepaść morza... Ja taki ciekawy... ja tak bym chciał...

Urwał nagle, bo westchnienie wybuchające z głębin piersi ognistej, rozebranej niewysłowioną tęsknotą i nienasyconym pragnieniem głos mu przerwało.

Po chwili milczenia dodał ciszej:

— Ja bym chciał być taki szczęśliwy, jak był rabbi Akiba...

— A kto to taki był rabbi Akiba? — nieśmiało zapytała Gołda.

Zadumane oczy Meira rozświeciły się i błysnęły.

— To był wielki człowiek, Gołdo! Ja jego historię często sobie czytam, i teraz ją czytałem, kiedy ty przyszedłaś do mnie...

— I ja dużo pięknych historii wiem — rzekła Gołda — one w mojej duszy wyrastają jak czerwone i pachnące róże! Daj ty mi, Meir, jeszcze jedną różę taką; niech ona przede mną świeci, kiedy ja na ciebie patrzeć nie będę mogła...

Spojrzenia ich spotkały się. Miękki uśmiech okrażył usta Meira.

— Umiesz po hebrajsku? — zapytał.

Śpiesznie skinęła głową w znak twierdzenia.

— Umieję, zejże nauczył...

Meir odwrócił parę kart wielkiej księgi, która na kolanach jego leżała, i głośno czytać zaczął:

„Kolba Sabua był człowiek bogaty. Pałace u niego były wysokie jak góry, a suknie jego od złota błyszcząły, a w jego ogrodach rosły cedry pachnące i palmy z szerokimi liśćmi i kwitły wonne róże Saronu.

„Ale piękniejszą od pałaców wysokich, od cedrów pachnących i pasowych róż, piękniejszą od wszystkich dziewczyn w Izraelu była córka jego, młoda Rachela.

„Kolba Sabua miał tyle trzód, ile gwiazd jest na niebie, a trzody te pasał młodzieniec ubogi, co wzrost miał wysoki jako cedr młody, a twarz bladą i smutną, jak u człowieka bywa, który duszę swoją z ciemnicy wybawić chce, a nie może.

„Młodzieniec ten nazywał się Józef Akiba i mieszkał na wysokiej górze, po której pasły się trzody pana jego.

„I zdarzyło się raz, że piękna Rachela przyszła do ojca swego, upadła przed nim na ziemię, nogi jego całowała, bardzo płakała i mówiła: „Ja chcę pójść za Akibą i mieszkać w tej niskiej czarnej chatce, co stoi tam na wierzchołku góry i w której on mieszka!“

„Kolba Sabua był człowiekiem dumnym i twardego serca. Wielkim on uniósł się gniewem na córkę swoją, piękną Rachelę, i zakazał jej myśleć o młodym pasterzu.

„Ale piękna Rachela wyszła z wysokiego pałacu nie nie zabrawszy z sobą prócz czarnych oczów swoich, które jak wielkie brylanty błyszcząły łzami, i czarnych swych włosów, co podnosiły się nad jej czołem jak wielka korona. I poszła na wysoką górę, do czarnej chatki weszła i powiedziała: „Akibo! oto żona twoja do domu twego wchodzi!“

„Akiba był w wielkiej radości, wypił z oczu Racheli jej łzy brylantowe, a potem bardzo piękne rzeczy zaczął jej mó-

wić. Mądre słowa jak miód lały się z ust jego, a ona słuchała i szczęśliwą była, i powiedziała: „Akibo! ty będziesz wielką gwiazdą, co nad drogami Izraela zaświeci!“

„Kolba Sabua był człowiek dumny i twardego serca. Nie posłał on córce swej na wysoką górę żadnej żywności ani żadnej sukni, i mówił: „Niechaj głód pozna i zobaczy nędzę“.

„Piękna Rachela poznała głód i zobaczyła nędzę. Był taki dzień, że nie miała ona czego włożyć w usta Akiby i zamyśliła się bardzo nad tym, że mąż jej głodny.

„Akiba mówił: „Nie to, że ja głodny!“ i zaczął jej znówu mądre rzeczy opowiadać, ale ona wstała, z wielkiej góry zbiegła, do miasta weszła i zawołała: „Kto mi da miarkę jagły za tę czarną koronę, co ją na głowie noszę?“ I dali jej miarkę jagły, a czarną koronę, co piękniejsza była jak brylanty i perły, z czoła jej zdjęli.

„Wróciła na górę, do małej chatki weszła i powiedziała: „Akibo! usta twoje mam już czym nakarmić, ale dusza twoja głodna i pokarmu dla niej ja nie dostanę! Idź ty w świat i karm duszę swoją wielką mądrością, co z ust uczonych płynie. Ja tu zostanę, przed progiem domu twego usiadę, prząść wełnę i pasać trzody będę i patrzeć na tę drogę, którą ty kiedyś powrócisz jak słońce, które powraca na niebo, aby ciemności nocy rozpędzić“.

„Akiba poszedł...”

Tu głos czytającego urwał się i oczy jego opuściły karty książki, tuż bowiem przy jego ramieniu ozwał się zdziwiony jakby i pytający szept:

— Akiba poszedł?

Wymówiła to Gołda z szeroko roztwartymi oczami i oddechem zapartym w piersi.

— Akiba poszedł! — powtórzył Meir i znówu czytać zaczął:

„Piękna Rachela przed progiem domu jego usiadła, wełnę

przędła, trzode pasła i na tę drogę patrzała, którą powrócić od miał, jasny cały od wielkiej mądrości.

„Siedem lat przeszło. I był wieczór taki, w którym miesiąc leje na ziemię morze srebrnej światłości, a drzewa i trawy stoją cicho i nie ruszają się, jakby wionął na nie duch Przedwiecznego, co światu niesie pokój i ciszę.

„Tego wieczora zza wysokiej góry wyszedł człowiek wysoki i blady. Nogi jego trzęsły się jako liście, gdy nimi wiatr miota, a ręce podnosiły się do nieba. A kiedy on zobaczył małą, biedną chatkę, łyzy wielkim strumieniem puściły się mu z oczu, bo był to Akiba, mąż pięknej Racheli.

„Akiba stanął przy oknie chatki swojej, które otwarte było, i słuchał, jacy tam w niej ludzie gadali.

„Gadała tam żona jego, Rachel, z bratem swoim, którego ojciec jej przysłał do niej. „Powróć do domu Kolby Sabuy“ mówił jej brat, a ona odpowiedziała: „Czekam tu na Akibę i domu jego strzegę“. Brat mówił: „Akiba nie wróci już nigdy. On porzucił ciebie i wielki wstyd tobie zrobił“. Ale ona odpowiedziała: „Akiba mię nie porzucił. Ja jego sama posłałam do źródła mądrości, ażeby on z niego pił“. „On ze źródła mądrości pije, a ty kąpiesz się we łzach i ciało twoje wysycha od nędzy!“ „Niech oczy moje ze łzami wypłyną i niech ciało moje zje nędza, ja domu męża mego strzec będę. I żeby teraz stanął przede mną ten, dla którego miłość w sercu moim czuję i powiedział: Rachelo! wróciłem do ciebie, abyś nie płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem! — powiedziałabym jemu: Idź i pij więcej!“

„Blady podróżny, co stał pod oknem, które otwarte było, jak posłyszał to, co mówiła Rachel, zbladł jeszcze więcej, zatrzęsł się bardzo, odszedł od małej chatki swojej i wrócił tam, skąd był przyszedł.

„Znowu przeszło lat siedem. I nadszedł dzień taki, w którym słońce leje na ziemię potoki złotych jasności, a drzewa szumią i kwiaty kwitną, i ptaki śpiewają, i ludzie śmieją się,

jakby powiał na nich duch Przedwiecznego, który niesie światu życie i radość.

„Na drodze, co wysoką górą podnosiła się do niskiej chaty pasterza, szumiała wielka gromada ludzi. Pośrodku niej siedł człowiek wysoki; twarz jego jaśniała jako słońce wielką mądrością, a z ust jego padały słowa słodkie jak miód, a wonne jak mirra. Lud kłaniał się przed nim nisko, słowa jego chciwymi uszami chwycił i z wielką dla niego miłością wołał: „O rabbi!“

„Ale przez gromadę ludu przeleciała kobieta i upadłszy na ziemię objęła kolana mistrza. Wrzeczono ona w rękę swym trzymała, łachmany ją okrywały, twarz jej była chuda, bo przez lat czternaście zjadała ją nędza, i oczy głęboko schowane, bo przez lat czternaście wypływały łzami.

„Idź precz! żebraczko!“ — krzyknął lud na kobietę; ale mistrz podniósł ją z ziemi i do piersi swej mocno przycisnął, bo był to Józef Akiba, a kobieta była żoną jego, Rachelą.

„Oto zdrój, co smutne serce me poił nadzieją, kiedy głowa moja w tęsknocie i pracy wielkiej nurzała się w źródle mądrości“.

„Tak mistrz do ludu powiedział i chciał na głowę Racheli włożyć koronę ze złota i pereł. „Ty, Rachelo — rzekł — zdjęłaś kiedyś z głowy twojej piękny swój warkocz, aby głodne usta moje nakarmić, ja teraz czoło twoje przyozdobie bogatym wieńcem!“

„Ale ona zatrzymała ramię jego i podnosząc nań oczy, które znowu piękne stały się jak przed wielu laty, rzekła: „Rabbi, chwała twoja jest moją koroną!“

Skończył czytać młody człowiek i powolne spojrzenie zwrócił na siedzącą obok niego dziewczynę.

Gołda miała twarz całą w płomieniu i w łzach.

— Piękna historia? — zapytał Meir.

— Aj! aj! jaka piękna! — odpowiedziała i z policzkiem opartym na dłoni kołysała przez chwilę wysmukłą swą ki-

bić w rozmarzeniu jakby lub zachwyceniu. Nagle lży oschły na oczach jej, pobladła i wyprostowała się.

— Meir! — zawołała — żebyś ty był Akibą, a ja córką bogatego Kolby Sabuy, ja bym dla ciebie to samo zrobiła, co piękna Rachela!...

Powolnym gestem ujęła w obie ręce pyszny warkocz hebanowej czarności, który niedbale zwisał jej na plecy i okręcając go w koło głowy rzekła:

— I ja mam taką samą, jak Rachela, czarną koronę!

Potem podniosła na Meira źrenice swe głębokie i płomienne i śmiało, poważnie, bez uśmiechu, rumieńca i uniesienia rzekła:

— Ja bym dla ciebie, Meir, i oczy moje z głowy mojej wyjęła! A na co by mi oczy, kiedybym na ciebie patrzeć nie mogła?

Gwałtowny rumieniec wytrysnął na twarz młodzieńca, ale nie był to już wstyd, było to wzruszenie. Dziewczyna ta była tak naiwna, tak dzika i zarazem tak piękna w swym ogromnym, potarganym warkocz nad czołem i z namiętymi słowami na śmiałych, poważnych ustach.

— Gołda! — rzekł Meir — ja przyjdę kiedy do waszego domu i starego dziada twego nawiedzę!

— Przyjdź! — odpowiedziała — z tobą razem przyjdzie do domu naszego wielka światłość!

Słońce zaszło już było prawie za wysoki obłok z purpury i fioletu. Mała sadzawka zza splotów wysokich łóz świeciła z dala liliową szybą. W stronę tę upadło spojrzenie Gołdy i zatrzymało się na wodzie i wzrastającej dokoła niej zieloności.

— Czego ty, Gołdo, tak patrzysz na tę sadzawkę? — zapytał Meir, który wzroku swego od twarzy jej oderwać już nie mógł.

— Ja bym chciała gałęzi tych, co tam rosną, dużo naścinać — odpowiedziała.

— A na co tobie te gałęzie? co ty z nich robić będziesz?

— Ja bym ich do domu zaniósła. Zejde z nich kosze i kołbaki robi, a potem je na targu chłopom sprzedaje i za to chleb, a czasem i ryby trochę kupuje. Teraz już dawno zejdenie ma z czego kosztów robić i bardzo smuci się...

— A dlaczegóż ty ich sobie nie weźmiesz, kiedy one tobie potrzebne?

— Mnie brać ich nie wolno...

— Czemu nie wolno? Wszystkim z całego miasteczka wolno paść tu trzody i ścinać gałęzie. Ta łąka i ten gaj do szymborskiej gminy należą.

— To co, że należą? Mnie nie wolno. My w Talmud nie wierzymy, w sobotę świąteł nie palim... nam nic nie wolno!

Meir podniósł się z siedzenia nagłym ruchem.

— Chodź! — rzekł do Gołdy — naścinaj sobie gałęzi tych, wiele zechcesz; ja będę przy tobie stał... i już ty niczego nie bój się!

Twarc Gołdy zajaśniała radością. Wzięła z rąk Meira składany nóż, który on jej podał, i pobiegła ku sadzawce. Teraz gdy czuła się bezpieczną pod osłoną silnego a drogiego jej ramienia, gdy uśmiechnęła się jej nadzieja sprawienia radości staremu dziadkowi, ruchy jej utraciły powagę, która dawała jej pozór dojrzałej kobiety. Biegła oglądając się wciąż na Meira, który szedł za nią, i wołając kozy swej, która biegła ku niej z przeciwnego krańca łąki.

Stanęli nad wodą. Najgęstsze łązy rosły w wodzie już, o kilka kroków od mokrego brzegu. W mgnieniu oka Gołda zrzuciła ze stóp swych płytkie swe obuwie i zakładając nieco długą swą suknię za przewiązanie fartucha, aby uczynić ją krótszą, wbiegła do wody. Meir został na brzegu i patrzył na dziewczynę, która podnosząc ramiona ciemnymi rękami ścinała szybko giętkie gałęzie. Śmiała się przy tym; usta jej roztwierając się w uśmiechu ukazywały rząd zębów białych jak perły, blaski jaskrawych obłoków oblewały ciemną twarz

jej różową łuną i złożyły owiniętą w koło jej czoła czarną koronę.

Meir nie spuszczał z niej wzroku i uśmiechał się także. W pobliżu biała koza stanęła też w zielonych krzakach i wyciągając szyję patrzała na panią swą stąpającą po liliowej wodzie. Nagle Gołda wydała głośny okrzyk i pochyliła się.

— A co tam? — zapytał Meir.

Z zielonej gęstwiny, w której skryła się całkiem postać dziewczęcia, ozwał się głos wesóły:

— Tu, Meir, piękne kwiaty są!

— A jakie to kwiaty?

Wysmukła kibić wychyliła się na wpół z zieleni, wygięła się ku brzegowi i wyciągając szczupłe ramię podawała stojącemu u brzegu mężczyźnie szerokolistną, żółtą lilię wodną.

Meir pochylił się nieco, aby dosięgnąć podawanego mu kwiatu, lecz nagle ramię Gołdy drgnęło, różowa twarz jej pobladła, oczy jej otworzyły się szeroko z uczuciem grozy.

— Czarny człowiek! — szepnęła, zarazem upuściła do wody lilię i z cichym krzykiem trwogi zanurzyła się całkiem w nadwodnej zieleni.

Meir obejrzał się. O kilkanaście kroków za nimi wychodził z gęstwiny gaju i szybko przesuwał się łąką człowiek dziwnej postaci. Był to człowiek średniego wzrostu, bardzo chudy, z bardzo ciemną twarzą, z czarnymi, siwiejącymi już nieco włosy i z czarną, siwiejącą brodą opadającą mu do pasa. Ubrany był w długą, wąską suknię z grubego, wyszarzanego sukna; szyja jego, naga i żółta, wychylała się zza rozstardej, grubej koszuli. Trzymał się bardzo pochyło i szedł bardzo prędko. Kroki jego nie czyniły żadnego szelestu, bo na nogach miał płytkie, znoszone obuwie. W obu rękach niósł ogromną więź różnobarwnych ziół dzikich, nad głową jego i za nim leciała gromada ptaków, które znały go znać dobrze, bo niekiedy na czarnych włosach jego lub zgarbionych plecach siadać próbowały.

Kiedy człowiek ten nie patrząc na Meira mijał go o kilka kroków, młodzieniec machinalnie pochylił głowę nisko w znak pokory i czci. Wnet przecież podniósł ją. Twarz jego była bladą, brwi ściągnęły się z tłumioną boleścią. Posępnym wzrokiem powiódł za przygarbioną postacią cicho mknącą przez łąkę — i zza zaciśniętych od gniewu czy bólu zębów wymówił:

— Rabbi Izaak Todros!

IV

Rabbi Izaak Todros nosił na powierzchowności swej, a może i w duchowym swym ustroju, wybitne ślady kilkowiekowego przebywania przodków jego w palącym klimacie Hiszpanii.

Tułaczy lud, zdumiewająco wytrwały w zachowywaniu cech wyróżniających go spośród plemion innych, siłą niezwalczonych wpływów przyrody zaczerpnął tu i ówdzie coś z widnokręgów różnych, po których rozsiewała go dola wygnańcza.

Istnieją tu śród ogólnych podobieństw różnice ważne: ludzie względnie niedawno przybyli z południa lub wschodu i ci, nad którymi od wieków rozciąga się niebo blade i wieją mroźne wichry, duchy powolne i namiętne, mistyczne i zatopione w rzeczywistości, włosy czarne jak najczarniejsze pióra kruce i oczy błękitne jak barwa pogodnych obłoków, czoła białe i śniade, organizmy silne, hartowne i ciała chude, suche, nerwowe, drgające namiętnością, napojone marzeniem, strawione fantazją.

Najśniadszą spośród śniadych twarz, najczarniejsze z najczarniejszych włosy i oczy, najnamiętniejszego i najbardziej marzeniem rozebranego ducha spośród wszystkich ognistych, beładnych duchów posiadał Izaak Todros.

Jakie właściwie stanowisko zajmował on w swej gminie i na czym wspierało się ono? Kapłanem nie był; rabini kapłanami nie są, a żaden naród może tak dalekim nie jest

z natury swej, jak izraelski, od teokratycznych rządów i czci. Administratorem gminy swej nie był także, sprawami cywilnymi jej bowiem trudnili się urzędnicy kahału, rabini zaś posiadają w składzie kahału jedyną rolę strażników religii, przepisów jej i obrządków. Posiadał on przecież wyższe nad wymienione powyżej godności. Pochodził ze starożytnego księżęcego rodu, pomiędzy przodkami swymi liczył wielu mędrców dawnych, a niedawnych świątobliwych i czczonych rabinów; był doskonałym pobożnym, więc cadykiem i chachamem, ascetą, cudotwórcą niemal, a także głęboko, niezmierzenie uczonym.

To ostatnie stosowało się do uczoności religijnej tylko, ale była też to w oczach gminy szybowskiej uczoność jedyna. Uczoność ta obejmowała sobą nieporównaną znajomość ksiąg świętych: Tory, czyli Biblii, najmniej, Talmudu więcej, najwięcej Kabały.

Izaak Todros był najbłęglejszym kabalistą czasów najnowszych i stanowiło to kamień węgielny, na którym wspierała się budowa jego wielkości.

Ktoś zaznajomiony choć trochę z rzeczami dotyczącymi wiary izraelskiego plebsu przypuści zapewne, że ludność szybowska była odłamem licznej a posępnej sekty chasydów, która na czele wszystkich nauk duchownych i świeckich stawia Kabałę.

Nie, mieszkańcy Szybowa nie uważali się za odszczepieńców, owszem, szczylicili się tym, iż są prawowiernymi talmudystami i rabbanitami. Ale należeli oni do tych, licznych zresztą w najniższych warstwach społecznych talmudystów, którzy do Tory i Talmudu przyłączyli Kabałę, uznali ją za księgę świętą i rozmiłowali się w niej z namiętnością usuwającą w cień dwie księgi pierwsze.

Zresztą, przeleciał też nad ludnością szybowską i chasydyzm, zetknął się z nią z bliska i pozostawił śród niej liczne ślady. Znaczna część ludności tej była w istocie chasydzką

nie wiedząc o tym sama, a wieść niosła, że dziad Izaaka Tordosa, ów reb Nochim, który to staczał walki o idee z Heraszem Ezofowiczem, był czas jakiś uczniem Beszta, założyciela dziwnej tej sekty, widywał go często i jakkolwiek nie przyłączył się do niej całkiem, wniósł w gminę, której duchowym przewodnikiem był, wiele z zasadniczych jej pierwiastków.

Głównymi pierwiastkami tymi są: nieograniczona cześć dla Kabały, bałwochwalcze niemal wielbienie cadyków i wstręt nabożny, głęboki, niezłomny ku edomitom (obcym narodom) i ich naukom.

Pierwiastki te zwiększały się i rozrastały coraz za sprawą syna Nochimowego, Borucha, a wnuk jego, Izaak, ujął w dłonie dostojeństwo przez przodków dzierżone w czasie ich najszerszego rozkwitu.

Religia więc szybowskich mieszkańców nie była mozaizmem, ani talmudyzmem, ani chasydyzmem, ale chaotycznym pomieszaniem wszystkiego tego, pomieszaniem, które panowało na przestrzeni wielu dziesiątków mil dokoła Szybowa, a najwyższy wyraz swój znajdowało w osobie szybowskiego rabina.

Rabbi Izaak miał ciemne czoło zorane całe głębokimi bruzdami, które powstały na nim wtedy, gdy myślą wytężoną przenikać on usiłował tajemnice nieba i ziemi za pomocą odpowiedniego układania liter składających imiona Boga i aniołów. Miał on też w czarnych jak węgle swych oczach błyski ponure lub zachwycone, lecz zawsze namiętne, które rozpały się przy rozpamiętywaniu niezmiernej grozy i nieporównanych rozkoszy nadprzyrodzonego świata. Plecy jego przygarbione były od pochylania się nad księgami, ręce drżące od nieustannych wzruszeń umysłu bojującego z widmami, ciało wyschłe i policzki głęboko wkleśłe od udręczeń ducha i umartwień ciała.

Celibat, post i bezsenne noce wypisanymi były na ciemnej powierzchowności człowieka tego, zarówno jak mistyczna

ekstaza, tajemna groza i przebaczenia nie znająca nienawiści dla wszystkiego, co żyło, wierzyło, pragnęło inaczej niż on.

Za młodu żonatym był, a raczej ożeniono go wtedy jeszcze, gdy najmniejszy włoszek dojrzałości męskiej nie ukazywał się na policzkach jego. Wkrótce rozwiódł się z żoną, która krzątaniem się swym mąciła mu nabożne skupienia lub uniesienia ducha; troje dzieci jego wzrastało w domu brata jego, a on sam, pustelnik w niskiej swej czarnej chatce, żył cały wyprężonym do ostatnich granic życiem fantazji, namiętnych modłów i przepaściwych mistycznych rozmyślań.

Pod względem cielesnym żył on darami, które przysyłali mu żarliwi czciciele jego. Dary to zresztą powszednie były i drobne. Wielkich, kosztownych podarków rabbi Izaak nie przyjmował, ani nawet zapłaty żadnej nie brał za udzielanie przybywającym doń wiernym rad, leków i przepowiedni.

Ale codziennie przed wschodem słońca przez dziedziniec szkolny przesuwiała się nieśmiała postać jakaś i na ławce drewnianej stojącej u okna chaty stawiała bez szelestu żadnego gliniane naczynia napełnione jadem i kromki chleba lub święteckiego ciasta.

Rabbi w porze tej odmawiał zwykle poranne modlitwy, albowiem była to pora, w której barwę białą od bladobłękitnej rozróżnić już można, w której zatem prawowierny izraelita wszelki poranne szemy i tefile odmawiać powinien.

Potem otwierał okno i spod żółtych powiek długo żrenicą ognistą, płynącą po zaczerwienionych od trudu białkach ocznych patrzył na różowe blaski jutrzeńki. Tam, w stronie tej był Wschód daleki, Jeruzalem, niewidzialne już gruzdy Salomonowej świątyni, Palestyna płacząca po synach swych i więdnąca od smutku palmy Syjonu.

Niekiedy ogień płonący w oczach rabina gasł w łzie, która spływając chłodziła spalone od pożarów wewnętrznych jego policzki... Chłodziły je też czasem wiatry mroźne i wilgotne

mgły, aie Izaak Todros przez mgły i tumany deszczowe lub śnieżne długo zawsze co rano patrzył ku Wschodowi...

Potem pochylał się i brał z ławy przygotowane dlań przez pobożną rękę pożywienie. Nie spożywał go nigdy całkiem, bo chleb i ciasto łamał w drobne okruchy i pełnymi garściami rzucał je ptakom, których gromady wielkie zlatywały wtedy z sąsiednich dachów, z ulic, zewsząd, aby przezroczystą zasłoną ruchliwych skrzydeł przysłonić małe, otwarte okienko. Niektóre z nich porywały okruchy i odnosiły je do gniazd swych z radosnym szczebiotem, inne nasyciwszy się wlatywały w okienko i obsiadały gromadnie czarne i przygarbione ramiona karmiciela swego. Pod niską strzechą chatki gnieźdzące się licznie jaskółki wychylały się też z gniazd i spuszczając ku niemu dzioby swe patrzyły nań śmiało oczami. Wtedy ciemna twarz rabina stawała się trochę mniej ciemną i czasem, rzadko kiedy przecież, uśmiech łagodny igrał po wargach jego zaciśniętych i gęstymi włosami obrośłych.

Ptaki znały go dobrze i z bliska, nie tylko te, które zamieszkiwały miasteczko, ale i te także, których pełen był gęsty gaj brzozowy.

Izaak Todros wychodził często do gaju i zagłębiał się niekiedy aż w sąsiadujące z nim ogromne puszcze sosnowe. Co czynił tam? Karmił ptaki, które spostrzegłszy go zlatywały się wnet ze stron wszystkich i towarzyszyły mu przez cały ciąg jego przechadzki; modlił się wielkim głosem nieraz, podskakując wysoko nad ziemię, podnosząc w górę trzęsące się ręce i odgłosami namiętnych krzyków swych wywołując chóry leśnych ech; szukał na koniec różnych traw i ziół dzikich, które zrywał ogromnymi wiązkami i do małej swej chaty z sobą unosił. Rośliny te posiadały lecznicze własności, których znajomość spadała w rodzinie Todrosów z ojca na syna. Byli oni wszyscy z rodzaju pierwotnych lekarzy tych, których pełnymi były wieki średnie i którzy sztukę leczenia cierpień cielesnych otrzymywali nie od akademii żadnej, ale

z rąk dzikiej natury badanej fantastyczną i ciekawą więcej niż umiejętną myślą. Jeden zresztą z dalekich przodków Izaaka Todrosa słynnym był niegdyś w Hiszpanii lekarzem, wtedy gdy w niedoli izraelskiego ludu zaszedł był krótki przestanek jakiś i gdy wolno im było wraz z innymi narody czerpać wszechstronne życiowe pokarmy ze źródeł wszelkich. Przestanek to był krótki, po którym zniknęli ze świata sławni i istotnie uczeni izraelscy lekarze, ale ten z nich, który nosił imię Todrosa Halewiego, przekazał wiadomości swe synom swoim i powędrowały one potem z pokolenia w pokolenie przeinaczając się w różne sposoby, strojąc się w liczne fantastyczne szaty, układając się w dziwne, cudowne legendy, których bohaterami były skromne rośliny te ze skromnymi barwy, a przejmującą wonią, po których deptały wzgardliwe stopy leśnych przechodniów.

Izaak Todros wyszukiwał pilnie i skrzętnie zbierał drogie te przedmioty starej wiedzy i długich podań swych rodzinnych, unosił je z sobą i wróciwszy do niskiej lepianki swej rozkładał je cienkimi warstwami na brudnej podłodze ciasnej izby, aby rzadkie tu i ubogie promienie słońca padając na nie przenikały je na wskrós dobroczynną swą siłą.

Zawsze też, a w letniej i jesiennej porze najczęściej, atmosfera małej izdebki rabina przejęta była całą silnymi i dusznymi woniami suszących się ziół i kwiatów dzikich. Blade barwy uwiedłych roślin smętnie jaśniały na otaczającym tle ścian szarych od pyłu, przez dziesiątki lat gromadzącego się w grube warstwy i wśród śmiecia zalegającego kąty i przysypującego grubo podłogę wyglądały jak tęskne, z zielonych rajów porwane diamenty.

Izdebka to zresztą była przypominająca surowe cele pustelników i anachoretów. Nic w niej nie było prócz niskiego, twardego łóża, białego stołu umieszczonego przy jednym z okienek, paru stołków drewnianych i kilku mocnych desek wpojonych w ścianę i napełnionych księgami. Śród ksiąg tych

znajdowało się dwanaście tomów ogromnej wielkości odwiecznym drukiem napełnionych i w żółtkły pargamin oprawnych. Był to Talmud. Powyżej leżały: O z a r - h a - k a b o d, dzieło skreślone przez jednego z przodków Izaaka, przez owego Todrosa Halewiego, który pierwszym talmudystą był w Kabałę wierzącym; T o l d o t A d a m, epopeja opiewająca dzieje pierwszego człowieka i wygnańca; S e f e r J e c i r a (Księga Stworzenia), apokaliptyczny obraz powstania świata; K a a r a t K e z e f, w którym Ezobi przestrzega izraelitów przed zgubnymi wpływy wszelkiej świeckiej nauki: S z i u r K o m a, plastyczny opis Boga oświecający czytelników o fizycznej Jego postaci, olbrzymich rozmiarach głowy, nóg, rąk i szczególniej brody Boży posiadającej, wedle twórcy dzieła tego, dziesięć tysięcy pięćset parafrangów długości. Ale na najwyższym miejscu złożona i częstym używaniem zniszczona najbardziej znajdowała się tam Księga Blasku, Z o h a r, najobszerniejsza i najgłębsza zarazem rozprawa o Chochma-Nistarze (Kabale), którą w imieniu żyjącego przed wielu wiekami rabina Szymona ben Jochai wydał w wieku XIII Mojżesz z Leonu.

Takim był księgozbiór Izaaka Todrosa, nad którym spędzał on bezsenne noce czerpiąc zeń wielką uczoność i mądrość swoją, trawiąc nad nim wszystkie siły swego ciała. Z niego to ulatującą wonią upajał on ducha swego mistycznymi wzruszeniami i gorzkim, ostrym jadem bezbrzeżnych wstrętów dla wszystkiego, co obcym było lub niechętnym zawierającemu się w nim światu, pełnemu nadprzyrodzonych blasków i ciemności. Nad nim to przesiadywał on noce, nie tylko powszednie i zwykłe, ale nawet świąteczne. Tylko że w świąteczne noce nie bywał sam jeden, lecz przy nogach jego siadywał uczeń i ulubieniec jego, reb Mosze, mełamed, ażeby ucinać, gdy zajdzie tego potrzeba, czarny knot żółtej łójówki. Pobożnemu bowiem, który w noc świąteczną czyta święte księgi, objaśniać świecy nie wolno i trzeba, ażeby pod-

ówczas znajdowała się obok niego uważna zastępcza ręka. Czytywał więc cadyk w noc świąteczne Sziur Komę i Zohar, a siedzący obok niego mały człowieczek w grubej koszuli podnosił się od chwili do chwili z niskiego siedzenia swego, ożywiał ciemniejący płomyk żółtej świecy i okrągłe oczy swe w twarz mistrza wpijał czekając lada chwilę, że kreślone, ustawiane i przestawiane ręką jego litery imion boskich, Notarikon i Gematria, ułożą słowo, które wielkich cudów dokonywać będzie i odkryje przed ludźmi wszystkie tajemnice nieba i ziemi.

Mełamed zresztą, który także w wieku dojrzałym rozwiódł się z żoną swą, zaślubioną we wczesnej młodości, aby móc pędzić ascetyczne, przez Kabałę wychwalane życie, przepędzał w towarzystwie i na usługach wielkiego rabina cały czas wolny od nauczycielskich zajęć w chederze.

I teraz także Izaak Todros wracając wnet po zachodzie słońca do domu swego z wielką więzią dzikich roślin w dłoniach znalazł wiernego czciciela swego siedzącego w kącie ciemnej sionki. W skurczonej postawie siedząc opierał on twarz na obu dłoniach i pograżał się w rozmyślaniach głębokich.

— Mosze! — ozwał się rabin szybko i cicho przesuwając się przez sionkę.

— Co rozkażesz, nassi? — pokornym głosem zapytał Mosze.

— Idź, Mosze, zaraz do starego Saula i powiedz jemu, że rabin Izaak Todros jutro domostwo jego odwiedzi!

Skurczona i szarzejąca w ciemnym kącie postać porwała się jak sprężyną z ziemi poruszona i bosymi stopami pomknęła szybko przez plac ku wysokiemu domostwu Saula. Tu wpadłszy na ganek i przebiegłszy długi korytarz mełamed otworzył na wpół drzwi i wchylając głowę do obszernej izby zawołał donośnym i tryumfalnym głosem:

— Rebe Saul! Ciebie wielkie szczęście i wielki honor spo-

tyka! Rabbi Izaak Todros, doskonały pobożny i pierwszy mędrzec świata, jutro dom twój nawiedzi!

Z głębi obszernej bawialnej izby bogatego kupca suchy od starości, lecz silny głos odpowiedział:

— Ja, Saul Ezofowicz, dzieci, wnuki i prawnuki moje czekać będziemy jutro nawiedzin rabbi Izaaka z wielką radością i z wielkim pragnieniem w sercu. Niech sto lat żyje!

— Niech sto lat żyje! — powtórzyła wychylająca się przez drzwi twarz ciemna z okrągłymi oczami i zniknęła.

Drzwi zamknęły się. Stary Saul siedział na kanapie i czytał Zohar, którego jednak głębokich objawień pomimo największych wysiłen objąć nie mógł umysł jego, do świeckich interesów przywykły. Zbruzdzone czoło jego chmurnym nagle stało się i niepokój zamigotał mu w oczach. Zwrócił się ku najstarszemu z synów swych, Rafałowi, który, przy stole pobliskim siedząc spisywał w rachunkowej książce cyfry kosztów i zysków miesiąca, i zapytał:

— Czego on tu przyjdzie?

Rafał wzruszył ramionami w znak niewiadomości.

— Czy on do nas przyczepkę jaką ma? — zapytał znowu starzec.

Rafał podnosząc twarz znad rachunkowej książki odpowiedział:

— Ma.

Saul drgnął.

— Nu! — zawołał — a co to za przyczepka może być?

Czy kto z naszej familii zgrzeszył?

Rafał rzucił krótko:

— Meir!

Twarze ojca i syna stały się smutnymi i niespokojnymi. Izaak Todros nawiedzał zwyczajnie członków gminy swej bardzo rzadko i wtedy tylko, gdy szło o ważne jakieś religijne sprawy lub przekroczenia. A i te jeszcze nawiedziny rzadkie spotykały najbogatszych tylko, najdostojniejszych i najwpły-

wowszych członków gminy. Biedny, szary lud oblegał sam lepiankę rabina i na każde skinienie jego przylatywał z niewysłowioną radością lub trwogą.

Rabin Izaak Todros ascetą był i mamoną gardził. Zaszczytów jednak wszelkich i oznak czci, którymi go otaczano, nie odrzucał i wtajemniczeni w głębsze myśli jego i uczucia wiedzieli o tym, iż lubił je nawet bardzo, a nawet dopomniałby się o nie stanowczo, gdyby ktokolwiek pomyślał kiedy o odmówieniu mu ich lub umniejszeniu. Dlatego cały lud ubogi i wszyscy, którzy mu się szczególnie przypodobać pragnęli, dawali mu tytuł książęcy mówiąc do niego nassi, dlatego też wszelkie przejście jego przez miasteczko, będące zawsze dla ludności ewenementem o tyle ciekawym, o ile uroczystym, otaczane było pewnym, dość poważnym ceremoniałem.

Parę godzin jeszcze brakowało do południa, gdy Saul Ezofowicz stojąc u okna bawialnej izby zaniepokojonym nieco wzrokiem i spod zjeżonych brwi spoglądał na orszak zwolna przez plac sunący. Spoglądali też nań członkowie rodziny jego, synowie, synowe, córka, zięć i najstarsze z wnuków, świętecznie przybrani, z uroczystymi twarzami, zebrani tu dla powitania w progach domu swego najwyższą dostojność gminy.

Przez plac, od szkolnego dziedzińca ku domostwu Ezofowiczów, sunęła gromadka ludzi czarno ubranych. Pośrodku z postacią jak zwykle podaną naprzód, w wyszarzanym odzieniu swym i z grubą koszulą odkrywającą całkiem długą, żółtą szyję, szedł Izaak Todros zwykłym swym, prędkim, cichym krokiem. Z dwóch stron jego postępowali dwaj urzędnicy kahału: mały i giętki rebe Jankiel, ze swą białą, piegami okrytą twarzą i rudą jak ogień brodą, i Dawid Kalman, jeden z dostojników miasteczka, morejne, bogaty handlarz bydłem, wysoki, wyprostowany, poważny, biały, z rękami w kieszeniach atłasowego chałatu, z uśmiechem słodkiej błogości

na pulchnych wargach. Za trzema ludźmi tymi i po obu ich stronach cisnęło się jeszcze kilkanaście głów, mniej lub więcej nisko lub wysoko trzymających się, i twarzy, mniej lub więcej uśmiechniętych i kornych. Całe towarzystwo to wyprzedzał reb Mosze w sposób taki, że twarzą zwrócony był ku twarzy rabina, a plecami ku celowi wycieczki. Nie szedł więc, ale cofał się, przy czym podskakiwał, w ręce klaskał, ku ziemi nisko się pochylał, o nierówności gruntu zaczynał nagie swe stopy, potykał się, skakał znowu, twarz ku obłokom podnosił i wydawał urywane krzyki radości. W pewnej na koniec odległości postępowała za orszakem grupa złożona z kilkudziesięciu dzieci różnego wieku, które przypatrywały się orszakowi z zaciekawieniem nadzwyczajnym, a widząc taniec i skoki mełamedy poczęły go naśladować skacząc także, gestykulując, padając na ziemię, klaszcząc w ręce i napędzając powietrze wrzaskiem nieopisanym.

Po chwili otwarły się z łoskotem drzwi bawialnej izby Ezofowiczów i wpadł przez nie mełamed, zaczerwieniony, zziązany, potem obłany i nadzwyczajną radością rozpromieniony. Cieszył się szczerze, rozgłośnie, namiętnie. Z czego? Biedny mełamed!

— Rebe Saul! — zawołał ochrypłym od krzyczenia głosem — spotykaj wielkie szczęście i wielki honor, które do ciebie przychodzą!

Z twarzy Saula odgadnąć można było, że tajemny niepokój walczył w nim z istotnie uczuwaną radością. Ale co się tyczy rodziny jego, której członkowie poprzyciskali się do ścian i sprzętów, ta cieszyła się już widocznie i bardzo, promieniała chlubą i uczuwaną błogością, z wyjątkiem Bera, niemego, leniwego, apatycznego, jak zwykle bywał, gdy nie szło mu o interesy handlowe i pieniężne. Stary Saul stanął przed samym progiem bawialnej swej izby, na ganku zaś rebe Jankiel i morejne Kalman ujęli rabina pod obie ręce, podnieśli prawie nad ziemię suchą jego postać i przeniósłszy ją przez

korytarz i próg naprzeciw Saula postavili. Po czym uklonili się nisko, opuścili dom i na ganku usiedli oczekując chwili, w której wracającemu orszakowi towarzyszyć mieli.

Saul tymczasem pochylił przed gościem swym siwą, poważną swą głowę. Naśladowały go wszystkie osoby otaczające dokoła ściany izby.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — wymówił.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia... — powtarzać zaczął za Saulem chór głosów męskich i żeńskich. Ale w tejże chwili Izaak Todros podniósł nieco w górę wskazujący palec, strzelił dokoła pałającą swą żrenicą i syknął:

— Szaaa!

W izbie zrobiła się cisza grobowa.

Palec gościa zatoczył szerokie koło wskazując tym cały szereg postaci stojących pod ścianami.

— Weg! (precz) — zawołał podniesionym głosem.

W izbie zaszeleściły suknie i szybkie stąpania, zamigotały zmartwione i przelęknięte twarze; tłocząc się wcisnęli się wszyscy obecni w drzwi prowadzące do wnętrza mieszkania i zniknęli.

W pustej zupełnie izbie pozostali dwaj tylko ludzie: srebrnowłosey, barczysty patriarcha i suchy, ognistooki mędrzec.

Kiedy mędrzec krótkim rozkazem i nakazującym gestem odpędzał od obliczności swej rodzinę jego, synów siwiejących, córki poważne i urodziwe dziewice, siwe brwi Saula drgnęły i zjeżyły się znowu na chwilę. Zawrzała znać w nim duma rodowa i ojcowska.

— Rabbi! — rzekł przyciszonym nieco głosem, i z mniej niskim niż wprzód uklonem — racz zająć pod dachem moim miejsce, które ci się najwygodniejszym wydaje.

Nie udzielił gościowi książęcego tytułu. Nie nazwał go nassi!

Rabbi Izaak chmurnie nań spojrział, przesunął się przez izbę i usiadł na kanapie z wysoką, żółtą poręczą.

Nie był w tej chwili przygarbionym. Owszem, usiadł prosto i sztywnie, ze wzrokiem wlepionym nieruchomo w twarz starca, który zajął miejsce naprzeciw.

— Ja ich wypędził! — rzekł wskazując na drzwi, przez które wypłynęła z izby gromadka rodzinna. — Na co ty ich tu zebrał? Ja chcę z tobą tylko pogadać!

Saul milczał.

— Ja tobie nowinę przynoszę — wyrzucił znowu rabin prędko i chmurnie. — Wnuk twój, Meir, nieczystą ma duszę. On kofrim! (niedowiarek).

Saul milczał jeszcze, tylko zmarszczone jego powieki drgały nerwowo nad spłowiałą od lat żrenicą.

— On kofrim! — głośniejszym głosem powtórzył rabin — on brzydkie słowa na religię naszą wymawia, mędrców nie szanuje, sabaty narusza i z odszczepieńcami przyjaźnie trzyma!

— Rabbi! — zaczął Saul.

— Ty słuchaj, kiedy ja mówię! — wpadł mu w mowę rabin.

Zacisnęły się wargi starca, tak że zniknęły całkiem wśród mlecznego zarostu.

— Ja przyszedł tobie powiedzieć — zaczął znowu Todros — że ty wnuka swego źle trzymasz, że to twoja wina jest, kiedy on taki. Czemu ty jego nie pozwalał mełamedowi ćwiczyć i bić, kiedy on do chederu chodził, Gemary uczyć się nie chciał, a z gadania mełameda śmiał się czasem i innych do śmiechu kusił? Czemu ty jego posyłał do edomity, co tam pomiędzy ogrodami mieszka, żeby on jego uczył czytania i pisania w języku gojów i innych jeszcze edomickich obrzydliwości? Czemu ty jego nie skarcił swoją ojcowską ręką wtedy, kiedy on sabat naruszył i przy twoim stole mełamedowi sprzeciwiał się? Czemu ty duszę jego grzeszną twoją

miłością psujesz, do świętych nauk go nie skłaniasz i na wszystkie jego obrzydliwości patrzysz tak, jakbyś ślepym był?

Zmęczył się rabbi długim mówieniem i sapiąc odpoczywał.

Wtedy stary Saul przyciszonym i drżącym nieco głosem mówić zaczął:

— Rabbi! niech serce twoje rozgniewane na mnie nie będzie. Ja inaczej robić nie mógł, jak robił. Dziecko te to syn syna mego, najmłodszego spomiędzy wszystkich dzieci moich, którego mi Pan w starości już mojej dał, i który bardzo prędko z oczów moich zniknął. Po śmierci ojca jego i matki jego, ja te dziecko do domu swego wziął i chciałem, żeby ono nigdy nie przypominało sobie, że jest sierotą. Ja wdowcem już wtedy byłem i sam jego na ręku swoim hodo- wałem. I hodowała go także stara prababka jego, która by duszę swoją przed Panem położyła, żeby tylko dla duszy jego szczęście kupić. On w koronie jej głowy pierwszym brylantem jest, a teraz usta jej nie otwierają się już z wielkiej starości dla nikogo, tylko dla niego. Oto, rabbi, wszystkie przyczyny są, dla których ja jemu pozwalałem więcej, jak innym dzieciom moim i słabszą ręką jego trzymałem, dla których bolała mnie bardzo dusza, kiedy mełamed w chederze łajał jego i bił, tak jak inne dzieci. Ja wtedy zgrzeszył, do chederu jak szalony wpadł, mełamedowi brzydkich słów nagadał i chłopca z sobą zabrał. Ja zgrzeszył, rabbi, bo mełamed jest mądry i święty człowiek, ale niechaj grzech ten zniknie z oczu twoich, rabbi, kiedy to pomyślisz sobie o tym, że ja na te sińce, co na ciele swoim nosił syn syna mego, patrzeć nie mogłem i milczeć! Kiedy sińce te nosili na sobie dzieci syna mego Rafała i syna mego Abrama, ja milczałem, bo ojcowie ich żyli, dziękować Bogu, i sami za dziećmi swymi patrzali; ale jak ja zobaczył ich na plecach i na ramionach sieroty — rabbi! — ja zapłakał, krzyknął wielkim głosem i zgrzeszył!

— Nie jeden to grzech twój! — wyrzekł rabbi, który mowy Saula wysłuchał z nieruchomą surowością i powagą sędziego. — A po co ty jego do edomity na naukę posyłał?

— Rabbi! — odparł Saul — a jakżeby on potem dał sobie rady na świecie, gdyby nie rozumiał mowy, którą wszyscy ludzie w tym kraju gadają, i nazwiska swego podpisać nie umiał na kontrakcie ani na wekslu żadnym? Synowie moi, rabbi, i starsze wnuki moje wielkie interesy prowadzą, i on prowadzić je będzie, jak tylko ożeni się... Całe dziedzictwo ojca jego do niego należy. On będzie bogaty i z wielkimi purycami trzeba jemu będzie rozmawiać. A jakżeby on z nimi rozmawiał, żebym ja jego do edomity na naukę nie posyłał?

— Niech przepadnie Edom z plugawą nauką swoją i niech nie przebaczy mu Pan! — mruknął rabin, po chwili zaś dodał: — A dlaczego ty syna syna swego uczonym nie zrobił, tylko na kupca go kierował?

— Rabbi! — odparł Saul — familia Ezofowiczów jest familią kupiecką. My kupcy z ojca na syna i taki już u nas obyczaj.

Mówiąc to podniósł nieco głowę kornie dotąd pochyloną. Przy wspomnieniu o rodzie swym uczuł się dumnym i śmielszym. Ale nic dorównać nie może wzgardzie i szyderstwu, jakimi syknęły usta rabina, gdy wymówił on za Saulem:

— Familia Ezofowiczów!

— Familia Ezofowiczów — powtórzył głośniejszym głosem — była zawsze ziarnkiem pieprzu na podniebieniu Izraela...

Saul podniósł nagle głowę.

— Rabbi! — zawołał — w niej były brylanty, na które patrząc edomici sami w poszanowaniu mieć zaczęli cały Izrael...

Drgnęła i zakipiała pomiędzy dwoma ludźmi tymi stara nienawiść wzajemna Ezofowiczów i Todrosów.

— W waszej familii — mówił rabin — jest jedna brzydka dusza, która chodzi od jednego do drugiego Ezofowicza i oczyścić się nie może. Bo tak napisane jest: Wszystkie dusze, które z sefirotów wypłynęły, jak krople wody wypływają z pochylonej butelki, odbywają ibur-gilgul, podróż po ciałach, z jednego do drugiego przechodząc, aż oczyszczą się ze wszystkich grzechów i nazad do sefirotów powrócą. Kiedy człowiek pobożny i świętobliwy jest, dusza jego powraca do sefirotów, a kiedy ona tam powróci, to na jej miejsce inna dusza idzie na świat i ciało sobie bierze. I póty bieda, smutek, boleści i grzechy mieszkają na ziemi będą, póki wszystkie dusze od sefirotów oderwane ibur-gilgul nie odbędą i przez ciało nie przejdą. A jak one mogą wszystkie przez ciała przejść, kiedy na ziemi będzie wiele obrzydliwych, nieczystych i nauki świętej nie szanujących? Ci obrzydliwi trzymają sobie ciągle ciała z jednego do drugiego przechodząc, a tam wysoko inne dusze czekają, żeby oni ciała od siebie uwolnili i dla nich je zostawili. One muszą czekać, bo tyle ciał razem na świecie być nie może, ile jest dusz między sefirotami. I sam Mesjasz czeka, bo on wprzód na świat nie przyjdzie, nim ostatnia dusza w ciało nie wejdzie i ibur-gilgul nie zacznie. Obrzydliwi zajmując ciągle ciała jedno po drugim, nie dopuszczając do nich dusz oczekujących odsuwają w daleką przyszłość jobel-ha-gadol — dzień Mesjaszowy — wielkie święto radości! W waszej familii jest taka obrzydliwa dusza. Ona wstąpiła naprzód w ciało Michała Seniora, potem była w ciele Hersza, a teraz ona we wnuku twoim, Meirze, siedzi! Ja duszę tę, pyszną i buntowniczą, poznałem w oczach i na twarzy wnuka twego i dlatego moje serce odwróciło się od niego!

W czasie gdy Todros wykladał siedzącemu naprzeciw starcowi doktrynę wędrówki dusz i jej następstw, w starcu tym zaszła uderzająca zmiana. Wprzód był on już ośmielił się znacznie, a nawet podnosił głowę z niejaką dumą i godnością.

Teraz pochylił się znowu nisko, smutek i trwoga zagrały wśród zmarszczek twarzy jego.

— Rabbi! — ozwał się z pokorą — błogosławionym bądź za to, że odkrywasz przed oczami moimi świętą mądrość twoją! Słowa twoje są prawdziwe, a oczy twoje umieją poznawać dusze, co w ciałach ludzkich mieszkają. Ja tobie, rabbi, taką rzecz opowiem. Kiedy maleńkiego Meira przywiozł do mnie syn mój, Rafał, ja wziął dziecko z rąk jego i bardzo je całował, bo mnie wydało się, że on do Beniamina mego, a swego ojca bardzo podobny; ale stara prababka jego odebrała go ode mnie, postawiła go przed sobą na ziemi i bardzo jemu przypatrywać się zaczęła, a potem wielkim głosem krzyknęła: „On nie do Beniamina, ale do mego Hersza podobny!“ Łzy ciekły z jej starych oczów, usta jej powtarzały: „Hersz, Hersz, mój Hersz!“, a dziecko ona do piersi swej przyciskała i powiedziała: „To moje kleniskind najulubieńsze! to oko w mojej głowie i brylant w tej koronie, co mi ją wnuki i prawnuki moje robią, bo on do Hersza mego podobny!“ I ona za nim przepada i teraz jego jednego tylko zna i do siebie woła, bo on do męża jej, Hersza, bardzo podobny!

— Dusza Michała weszła w ciało Hersza, a z ciała Hersza przeszła do wnuka twego, Meira — powtórzył rabin i dodał: — Pyszna to, buntownicza dusza! nie ma w niej pokory i spokoju!

Złagodzonemu zdawał się być Todros pokorą Saula i uznaniem, jakie okazał on słowom jego.

— Dlaczego ty go nie żenisz, kiedy jemu duże już włosy wyrosły na brodzie i twarzy? — zapytał.

— Rabbi! ja go chciał żenić z córką pobożnego Jankla, ale dziecko u nóg moich leżało i prosiło, żebym ja jego nie przymuszał...

— Dlaczego ty stopy swojej nie postawił wtedy na plecach jego i nie zrobił tak, żeby on był tobie posłuszny?

Saul spuścił powieki i milczał. Czuł się winnym. Miłość dla wnuka-sieroty wprowadzała go wciąż na drogi grzechu.

Todros mówić znowu zaczął:

— Ożeń ty go jak najprędzej, bo napisane jest, że kiedy u młodego człowieka włosy rosną na brodzie i twarzy, a on żony jeszcze nie ma, to dusza jego w nieczystość wpadnie... Dusza wnuka twego wpadła już w nieczystość... ja wczoraj widziałem go sam na sam z dziewczyną...

Saul niespokojnie podniósł na mówiącego oczy.

— Ja jego widziałem — ciągnął rabin — jak on na łące z karaimką rozmawiał...

— Z karaimką! — powtórzył Saul głosem zdumienia i przerażenia pełnym.

— On na brzegu sadzawki stał i z jej ręki brał jakieś kwiaty, a na ich twarzach ja czytał, że dusze ich obejmował nieczysty ogień...

— Z karaimką! — powtórzył raz jeszcze Saul, jakby uszom swoim wierzyć nie chciał.

— Z kacerką! — wyrzekł rabin.

— Z żebraczką! — wymówił Saul i energicznie podniósł głowę.

— Rabbi! — zaczął — już ja teraz będę z nim inaczej! Ja nie chcę, żeby na starość wstyd mi oczy wyjadał, dlatego że wnuk mój z żebraczkami nieczyste przyjaźnie trzyma. Ja jego ożenię!

— Ty go skarć! — zawołał rabin. — Ja dlatego tu przyszedł, żeby tobie powiedzieć, abyś ty nogę swoją na plecach jego postawił i pychę jego zgiął w łęk. Ty go nie żałuj! bo pobłażanie twoje dla niego będzie wielkim grzechem, którego nie przebaczy tobie Pan. Jeżeli ty sam jego nie skarcisz, ja oprę rękę moją na jego głowie, a wtedy będzie wam wszystkim wielki wstyd, a jemu takie nieszczęście, że on w proch rozsypie się jak nędzny robak!

Na słowa te wymówione groźnym głosem Saul drgnął. Przeróżne uczucia walczyły wciąż w piersi starca tego: tajemny wstręt do Todrosa i głęboka cześć dla uczoności jego, duma i obawa, rozgniewanie srogie względem wnuka i miłość dla niego. Groźba rabina dotknęła ostatniej struny tej.

— Rabbi! — zawołał — przebacz ty mi! to jeszcze dziecko! Jak on ożeni się i interesy prowadzić zacznie, on zrobi się inny! Jak on urodził się, ojciec jego napisał do mnie: „Tate! jakie imię ty chcesz, aby wnuk twój nosił?“ A ja odpisałem: „Niech imię jego będzie Meir, czyli światłość, aby on przede mną i przed Izraelem całym wielką światłością świecił!“

Nie mógł mówić dłużej, bo dwie łzy zapłynęły mu źrenicę i staczając się po obwisłych, pomarszczonych policzkach głos mu zatamowały.

Rabin wstał z kanapy, podniósł wskazujący palec w górę i wymówił:

— Ty tylko pamiętaj o rozkazaniach moich! Ja tobie każę, abyś ty stopę swoją na plecach jego postawił, a ty rozkazania mego słuchaj, bo napisane jest, że „uczeni są fundamentem świata!“

Rzekłszy to posunął się ku drzwiom, u których oczekujący nań rebe Jankiel i Kalman morejne pochwycili go znowu pod oba ramiona, przenieśli przez korytarz i progi i u stóp ganku na ziemi postawili.

I znowu sunęła przez plac w stronę szkolnego podwórza kierując się czarna gromada ludzi, znowu mełamed cofając się przed rabinem skakał, tańczył, w ręce klaskał i krzyczał, i znowu gromada dzieci postępując za orszakiem w pewnym oddaleniu naśladowała nauczyciela swego, jak on skacząc, krzyząc, w ręce klaszcząc, niekiedy też padając i rozdzielając powietrze płaczliwymi wrzaski.

A w bawialnej izbie Ezofowiczów stary Saul siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy w drzwiach przeciwnych

stała stara Frejda. Promienie słoneczne wpadające przez okno rozpały tęczowe blaski w złocie i brylantach, którymi była okryta, a ona tocząc dokoła izby przymrużoną swą, złotawą źrenicą wymówiła zwykłym swym szeptem głosu pozbawionym:

— Wo ist Meir?

V

Meir nieobecny był w domu w czasie odwiedzin rabina. Wcześniej bardzo dom opuściwszy skierował się on ku najbardziej oddalonemu od środkowego placu uliczkom miasteczka. Tu znalazł się wśród domostw malutkich, nadzwyczaj ubogich, z których żadne nie miało więcej jak po dwa drobne okienka, przed których progami stały szerokie, cuchnące kałuże, które owiewało dokoła duszące, ciężkie powietrze. Z czarnych kominów domków tych wydobywały się cienkie bardzo tam strawy; przegniłe i upadające płoty otaczały malutkie podwórka zasypane śmieciem; tu i ówdzie widniały zza nich wąskie zagonki ziemi porośnięte z rzadka mizernym warzywem. Przed niskimi drzwiami kobiety chude, z ciemnymi, zbolalymi twarzami, w szafirowych kaftanach i zrudziałych perukach, prały w baliach szarą, grubą bieliznę; zgarbione i zgrzybiałe niewiasty siedząc na wąskich ławkach robiły pończochy z błękitnej lub czarnej wełny; dziewczęta młode, ale opalone, w brudnej odzieży i z roztarganymi włosami, doily chude kozy.

Była to dzielnica miasteczka zamieszkiwana przez najniższą warstwę ludności szybowskiej, przybytek ubóstwa, nędzy nawet, brudu i chorób.

Przy środkowym placu stojące domostwa Ezofowiczów, Kalmanów, Witebskich i Kamionkerów pałacami rozkoszy wydawać się mogły wobec siedlisk tych ludzkich, których

sam zewnętrzny widok przywodził na myśl wyobrażenie ziemskiego czyśćca.

Nie dziw. Tam, przy placu, mieszkali kupcy i uczeni, arystokracja zatem wszelkiej izraelskiej gminy, tu gnieździła się rzemieślnicza i wyrobnicza ludność, gmin zarabiający na życie pracą rąk, nie głowy, a spośród którego nikt prawie wywieść się nie mógł z żadnej starożytnej rodziny ani pochłubić się posiadaniem w swym rodzie — bogacza lub uczonego.

Jakkolwiek wczesny to był jeszcze poranek, wszędzie tu już rozpoczętą była praca codzienna. Zza mętnych szybek drobnych okienek widać było podnoszące się wciąż i opadające, rękawami koszul okryte ramiona krawców i szewców. Za cienkimi ścianami dzwoniły narzędzia blacharzy i stukały młoty kowalów, z chaty fabrykanta świec łożowych wydobywały się nieznośne, tłuszczem przejęte wyziewy. Niektórzy z mieszkańców korzystając z kilku promieni wschodzącego słońca, które zaglądały na ich uliczkę, pootwierali okienka swe, a przechodzień mógł ujrzeć przez nie izby malutkie, z czarnymi ścianami, natłoczone ludnością, która ruszając się na podobieństwo mrówek dotykała niemal głowami czarnych belek sufitów. Wychodził też przez okienka ten gwar złożony z modlących się głosów męskich, z wrzaskliwych klótni kobiecych i wrzaskliwszych jeszcze dziecinnych płaczów. Wszakże malutkie tylko dzieci rozdierały krzykami swymi duszne powietrze czarnych i natłoczonych izdebek, starsze zaś wielką gromadą wyległy na ulicę, odbywały wśród niej krzykliwe gonitwy lub z zatopionymi w gęstych kędziorach rękami tarzały się po piaszczystym jej gruncie. Podrastający chłopcy, nie w krótkich spencerkach już pozhawionych rękawów, jak dzieci młodsze, ale w szarej, długiej odzieży, stali przed progami chat, o ściany ich wsparci, bladzi, mizerni, oświiali, z pootwieranymi szeroko ustami, jakby dochodzące ku nim rzadkie promienie słoneczne i powiewy świeże wciągać pragnęli do wyziębłych i chorych swych piersi.

Ku jednemu z wyrostków takich u ścian domów stojących zbliżył się Meir.

— Nu! Lejbele — rzekł — ja przyszedł, żeby ciebie zobaczyć! Czy ty zawsze taki chory jesteś i tak, jak sowa, na świat oczy wytrzeszczasz?

Widać było, że Lejbele był chory i wzrokiem osowiałym na świat patrzył, bo z rękami wsuniętymi w rękawy ubogiej odzieży i do piersi przyciśnionymi drżał on z zimna, choć ranek był ciepły, a na przemówienie Meira nie odpowiedział ani słowa, tylko usta szerzej rozwinął i oczy swe o wielkich, czarnych, martwych źrenicach bezmyślnie w twarz mówiącego wlepił.

Meir położył dłoń na jego głowie.

— Czy byłeś wczoraj w chederze? — zapytał.

Chłopiec bardziej jeszcze trząść się zaczął, ale ochryłym głosem odpowiedział:

— Aha!

Oznaczało to twierdzenie.

— I znowu cię tam bili?

Łzy napełniły martwe oczy dziecka, wciąż ku twarzy wysokiego młodzieńca wzniesione.

— Bili! — wymówił.

Pierś jego zaskładała pod cisnącymi ją i w rękawy schowanymi rękami.

— A śniadanie ty jadłeś?

Dziecko przecząco wstrząsnęło głową.

Meir zdjął z pobliskiego ubogiego stragana wielką chałę (bulkę), za którą rzucił straganiarce miedziany pieniądz, i dał ją dziecku. Lejbele pochwycił chałę w obie dłonie i echiwie pożerać zaczął, lecz w tejże chwili wyskoczył z chatki wysoki, chudy, giętki człowiek, z gęstym czarnym zarostem, z bladą, stroskaną twarzą, i rzucił się ku Meirowi. Pochwycił naprzód rękę jego i do ust ją poniósł, a potem wyrzuty czynić mu zaczął.

— Morejne! — zawołał — na co ty jemu chałę dałeś? ty odwrócić od niego powinienesz twarz swoją! To takie głupie, paskudne dziecko! uczyć się nie chce i mnie wstyd robi! Mełamed — niech sto lat żyje — męczy się bardzo, żeby jemu głowę oświecić, ale to taka głowa, co nic nie rozumie! Mełamed jego bije i ja jego biję, żeby nauka do głowy jemu la-
zła — a co to jemu pomaga? Nic nie pomaga! On a l e j d y k
g e j e r (próżniak) jest, osioł, paskudztwo!

Meir patrzył na chłopca pożerającego wciąż bułkę.

— Szmulu! — rzekł — on nie jest próżniak ani osioł, ale on chory!

Szmul wzgardliwie rzucił ręką.

— Jaki on chory? — krzyknął — on chorować zaczął wtedy, jak jego do nauki popędzili! Wprzód był on zdrow, wesoły i rozumny! Ach! jakie to było piękne i rozumne dziecko! Czy ja mógł spodziewać się takiego nieszczęścia, co z nim teraz zrobiło się!

Meir wciąż gładził dłonią roztargane włosy bladego dziecka z idiotycznym wzrokiem.

Wysoki, cienki Szmul pochylił się znowu i pocałował go w rękę.

— Morejne! — rzekł — ty bardzo dobry jesteś, kiedy litujesz się nad tym głupim dzieckiem!

— Na co ty mię, Szmulu, morejne nazywasz? — zaczął Meir.

Przerwał mu Szmul pośpiesznie:

— Ojcowie ojców twoich byli morejnami, zejde twój i stryjowie twoi morejnami są i ty, Meir, prędko morejnym będziesz!

Meir ze szczególnym jakimś uśmiechem głową wstrząsnął.

— Ja, Szmulu, nigdy morejnym nie będę! — rzekł. — Mnie tego honoru nie robią i ja... jego nie chcę!

Zastanowił się Szmul i pomyślał. Potem nachylił się do ucha młodzieńca i cicho szepnął:

— Ja słyszał! ty, Meir, z wielkim rabinem naszym i kahalnymi zgody nie trzymasz!

Meir spojrzał dokoła, jakby całą tę nędzę, której obrazy go otaczały, wzrokiem objąć pragnął.

— Jacy wy biedni! — wymówił nie dając Szmulowi bezpośredniej odpowiedzi.

Słowa te dotknęły znać bardzo drażliwej struny serca i życia Szmula, bo aż zatrzęsły się mu ręce i zaiskrzyły oczy.

— Aj! jacy my biedni! — zaczął — ale najbiedniejszy z wszystkich, co na tej uliczce mieszkają, jest chajet (krawiec) Szmul! Starą ślepą matkę, i żonę, i ośmioro dzieci utrzymać trzeba. A z czego ja ich utrzymywać będę? U mnie majątku żadnego nie ma prócz dwóch tych rąk, które dzień i noc szyją, jeżeli tylko jest co szyć...

Mówiąc to wyciągał i pokazywał Meirowi dwie ręce swoje, istne ręce nędzarza; ciemne, brudne, chude, igłą wskrós nakłute, bliznami od nożyc pokryte, a drżące teraz od żalu...

— Morejne! — mówił coraz ciszej i coraz bliżej pochylając się nad uchem słuchacza swego — nam ciężko żyć, bardzo ciężko... wszystko u nas drogo kosztuje, a co nam płacić trzeba, gwałt! Urzędnicy cesarscy podatki od nas biorą, od koźszernego mięsa pudełkowe my płacim, i od świec tych, co je w szabasy palim, płacim, i bractwu pogrzebowemu płacim, i na urzędników kahalnych płacim, i na co my nie płacim? Aj waj! Z tych domków naszych biednych rzeki pieniędzy płyną... A skąd my je bierzem? Z potu naszego my bierzem je, z krwi naszej i z wnętrzości naszych dzieci, co z głodu wysychają! Ty mnie pytałeś się niedawno, morejne, dlaczego u mnie w chacie tak brudno i tyle śmiecia. A jak w niej nie ma być brudno, kiedy nas jedenaścioro w jednej małej izbie mieszka, a w sionce stoją dwie kozy, co nas mlekiem swoim żywią? Ty mię pytałeś się, morejne, dlaczego moja żona taka chuda i stara, choć lat jej jeszcze niewiele, i dlaczego moje dzieci tak ciągle chorują. Morejne! koźserne

mięso u nas bardzo drogie, i my jego nigdy nie jemy... chleb jemy z cebulą i kozie mleko pijem... Na szabas wtedy tylko u nas ryba była, kiedy ty, morejne, zaszedł do nas i srebrny pieniądz nam dał! My biedni... bardzo biedni na całą tę uliczkę, ale najbiedniejszy ze wszystkich jest chajet Szmul ze swoją matką ślepą, ze swoją żoną bardzo chudą i ze swymi ośmioma dziećmi...

Żałośnie wstrząsnął głową chajet Szmul i patrzył w twarz Meira swymi czarnymi oczami, w których malowało się osłupiałe jakby nad własną nędzą zdziwienie. Meir z dłonią złożoną wciąż na głowie bladego dziecka dogryzającego ogromnej bułki słuchał z uwagą mowy nędzarza. Usta jego ułożyły się w zarys litości, ale ściągnięte brwi i spuszczone powieki nadawały twarzy jego wyraz gniewnej zadumy.

— Szmulu — rzekł z cicha — a dlaczego ty tak często roboty nie masz?

Szmul zmieszał się widocznie i podniósłszy rękę ku głowie przekrzywił jarmułkę przykrywającą czarne, splątane jego włosy.

— Ja tobie powiem — ciągnął z cicha Meir — tobie roboty nie dają dlatego, że ty od tych materii, z których suknie każą ci szyć, duże kawałki odkrajasz i sobie ich bierzesz...

Szmul obu już rękami chwycił za jarmułkę.

— Oj! biedna moja głowa! — jęknął. — Morejne! co ty na mnie powiedziałeś! usta twoje bardzo brzydką rzecz na mnie powiedziały!

— Rafał, stryj mój, Ber i żony ich przestali tobie dawać robotę, bo ty im materii dużo odcinał i sobie brał — ze smutkiem bardziej niż z surowością rzekł Meir.

Szmul podskoczył, schylił się ku ziemi, potem znów podskoczył i zawołał:

— Nu, prawda! Morejne! ja otworzę serce moje przed tobą! ja kawałki materii odcinał i sobie brał... A dlaczego ja to robił? Bo moje dzieci były gołe! ja je nimi okrywałem! i jak moja

ślepa matka chora leżała, ja je sprzedam i mięsa kawałek dla niej kupię... Morejne! niech twoje oko ze złością na mnie nie patrzy! Żebym ja był taki bogaty, jak reb Jankiel i morejne Kalman, żebym ja tyle pieniędzy miał, ile oni ich biorą dla siebie z pracy naszych rąk i z potu naszego czoła, ja bym — nie kradł!

— A na co reb Jankiel i morejne Kalman biorą dla siebie wasze pieniądze? — z zamyśleniem zaczął Meir i chciał dalej mówić, ale Szmul wyprostował się i przerwał mu nagle:

— Nu, oni mają prawo! oni są nad nami starsi! Co oni robią, to święte! Kto ich słucha, ten jakby samego Pana Boga słuchał!

Smutnie jakoś uśmiechnął się Meir i sięgnął ręką do kieszeni. Szmul ścisnął ruch ten jego wzrokiem, który roziskrzył się nagle. Błyszczała w nim chciwość.

Meir położył na otwartym oknie nędznej chatki parę srebrnych monet; Szmul rzucił się ku niemu i rękę jego całował.

— Ty dobry jesteś, morejne! ty zawsze wszystkim biednym ludziom pomagasz! Ty i nad moim głupim dzieckiem litość masz!

Ochłonawszy nieco z uniesienia wdzięczności wyprostował się i począł Meirowi na ucho szeptać:

— Morejne! ty dobry jesteś i wielkiego bogacza wnuk, a ja biedny, głupi chajet! ale ty jesteś jak miód na moich ustach i ja przed tobą całe serce moje otworzyć muszę. Ty źle robisz, że z wielkim rabinem naszym i kahalnymi zgody nie trzymasz! Nasz rabin to taki wielki rabin, że drugiego takiego na całym świecie nie ma! Jemu Pan Bóg wielkie rzeczy objawił, on samą kabałę Maszjat¹ rozumie. Za nim wszystkie ptaki latają, jak on na nich zawoła, i wszystkie choroby on

¹ Najwyższa część Kabały ucząca za pomocą kombinowania liter i wyrazów cuda czynić i tajemnice odgadywać.

umie leczyć, i wszystkie serca ludzkie przed nim otwierają się! Każde tchnienie ust jego święte jest, a jak on modli się, to dusza jego z samym Panem Bogiem całuje się! A ty, morejne, odwrócił od siebie serce jego.

Z powagą wielką mówił to nędzarz Szmul i pokłuty igłą, ciemny swój palec w górę wznosił uroczystym gestem.

— A kahalni — ciągnął dalej — to bardzo pobożni ludzie są i wielcy bogacze. Ich także szanować trzeba i słuchać i choćby oni co złego robili, oczy zamykać. Oni mogą ciebie przed Panem Bogiem oskarżyć i przed ludźmi. Pan Bóg rozgniewa się, jak ich skargę posłyszysz, i karę na ciebie spuści, a ludzie powiedzą, że ty bardzo zuchwały jesteś, i odwróci od ciebie twarz swoje!

Trudno by odgadnąć, jakie wrażenie wywierały na Meirze pokorne i zarazem poważne przestrogi Szmul. Trzymał on wciąż dłoń swą na głowie małego Lejbele i wpatrywał się w twarz jego o pięknych rysach i ogromnych, czarnych źrenicach, tak jakby w dziecku tym bladym, chorowitym, zidiotyzowanym i drżącym widział upostaciowanie całej tej licznej części izraelskiego ludu, która przegryzana nędzą i chorobami wierzyła jednak i wielbiła ślepo, kornie, lekliwie i niezmordowanie.

Skinął potem głową zwolna, przyjaźnie i odszedł. Szmul biegł za nim kilkanaście kroków jeszcze.

— Morejne! — jęczał — nie gniewaj się ty na mnie, że ja przed tobą serce moje otworzyłem! Bądź kluger! (mądrym). Niech na ciebie uczeni i bogacze skarg do Pana Boga nie wnoszą! bo lepiej takiemu człowiekowi, co pod ziemią leży, niż takiemu, na którego głowie oprą oni swoje rozgniewane ręce!

Wrócił potem i do lepianki swej wszedł i nie zauważył, że Lejbelę nie stał już przy ścianie domu. Gdy tylko Meir odszedł, blade dziecko od ściany odeszło i za nim poszło. Z rękami wsuniętymi wciąż w rękawy nędznej odzieży,

z otwartymi usty, dziecko nędzarza Szmula postępowało krok w krok za idącym w zamyśleniu, pięknym, wysokim młodzieńcem przez całą długość ulicy. U końca jej dopiero zatrzymało się, jakby lękając się iść dalej, i gardłowym, ochrypłym głosem wymówiło:

— Morejne!

Meir obejrzał się. Przyjazny uśmiech oświecił mu twarz, gdy zobaczył dziecko, które aż tu za nim przyszło.

Czarne, martwe źrenice dziecięce podnosiły się ku jego twarzy, z szarego rękawa wysunęła się ku niemu ręka mała i chuda.

— Chały! — wymówił Lejbele.

Meir obejrzał się za straganem. Stało tam wzdłuż uliczki pełno ubożuchnych straganików, przy których kobiety osłaniające łachmanami wychudłe swe ciała sprzedawały bułki twarde jak kamienie, drobne główki cebuli, czarne i wstrętliwe wyroby jakieś z miodu i maku.

Z białej dłoni Meira do chudych i czarnych rąk dziecięcych przeszła znowu wielka, wyplatana chała. Lejbele pochwycił ją, poniósł do ust obu rękami i odwróciwszy się wracał do domu środkiem ulicy, idąc powoli, prosto i poważnie.

Po chwili Meir znalazł się na środkowym placu miasteczka. Zdawać się mu mogło, że z otchłani wyszedł na światło dzienne. Słoneczny blask zalewał okrągłą przestrzeń, wysuszał znajdujące się tu i ówdzie kałuże błota i rozpalał złote iskry w oknach domów otaczających rynek. Na dziedzińcu pobożnego reb Jankła wznoszono budynek jakiś nowy i obszerny; rudy gospodarz nadzorował sam robotników lubując się widocznie tym pomnażaniem się dobra swego; stuk siekier i zgrzytanie pił napełniały życiem otoczenie niskiego domu, przed sklepioną sienią którego stało parę powozów przejeżdżających gości. Dalej nieco, na ganku domu swego, stał lśniący od atłasów morejne Kalman; jedną ręką podnosił do uśmiech-

nionych warg cygaro, a drugą głaskał złociste włosy dwuletniego dziecka, które siedząc na ławie gankowej trzymało w ręku ogromny kawał chleba obficie posmarowanego miodem i obmazywało nim sobie pulchną, śmiejącą się do wspaniałego ojca twarzyczkę.

Na dziedzińcu Ezofowiczów słonecznie też było, gwarnie i wesoło. Pośrodku dwaj barczyści tracze piłowali drzewo przygotowane na zimę, wśród miękkich odpadków drzewnych bawiło się kilkoro dzieci czysto odzianych i stroiło sobie głowy wieńcami z piłowin; u studni dziewczka służąca, hoża i wesoła, czerpała wodę głośno przymawiając się z traczami; przez otwarte okna domostwa widać było poważne głowy Rafała i Abrama, którzy z wielkim zajęciem rozprawiali o interesach, Sarę stojącą przy szeroko rozpalonym ognisku kuchennym i ładną Liję, która przed małym lusterkiem zaplatała swe ogromne warkocze.

Gdy Meir wchodził w bramę, tracze przerwali robotę swą, uśmiechnęli się ku niemu i przyjaźnie skinęli głowami. Pochodzili oni z tej samej uliczki, ubogiej, brudnej, którą opuścił on przed chwilą, lecz znali go widać dobrze.

— Szolem alejchem! (pokój tobie) — zawołali.

— Alejchem szolem! — wesoło odpowiedział im Meir.

— Nie pomożesz nam dziś w robocie naszej? — zapytał żartobliwie jeden z robotników.

— Czemu nie? — odpowiedział Meir i zbliżył się do pracujących.

Widać było, że praca fizyczna ulubionym była i częstym zajęciem Meira i że robotnicy dziada jego przyzwyczajeni byli do tego, iż dzieli on ją z nimi. Jeden z nich ustępował już mu miejsca swego przy kłodzie drzewa, kiedy przez otwarte okno wychyliła się Lijka i kończąc zaplatanie czarnego warkocza zawołała:

— Meir! Meir! gdzie ty tak długo był? Zejde dawno już wołał ciebie!

Kwadrans zaledwie minął od wizyty rabina, Saul pochyłał jeszcze głowę na dłonie w gniewnej i smutnej na poły zadumie, a o kilka kroków od niego stara Frejda siedziała u okna otwartego na plac, oblana cała złotem słońca i migotliwymi iskrami diamentów.

Ciekawym wielce był proces duchowy, który odbywał się w starej, lecz krzepkiej jeszcze piersi Saula. W głębi duszy nie lubił on Izaaka Todrosa. Nie rozumiejąc dobrze głębszego znaczenia działań i stanowiska przodka swego, Michała, ani ojca, Hersza, wiedział przecież o tym, że posiadali oni szerokie wpływy pomiędzy „swymi“ i ogólny szacunek możliwych, choć „cudzych“ ludzi, dumny więc był obu rodowymi wspomnieniami tymi, a niewyraźna też świadomość o krzywdach, które wyrządzili tym gwiazdom rodu jego przodkowie Izaaka Todrosa, budziła w nim dla tego ostatniego głuchą i nieokreśloną dobrze niechęć. Obok tego, bogaty sam i bogactwem swym chlubiący się wielce, uczuwał on dla ubóstwa i, jak wyrażał się w głębi myśli swej, dla niechlujstwa Todrosów tajemną wzgardę. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu czci, którą uczuwał dla świętej, mądrej i głębokiej nauki, której głównym przedstawicielem był wielki rabin. Podstawą czci tej była groza. Wiedzieli ludzie dobrze o tym, iż bogaty i zręczny kupiec przez całe długie życie swe handlując, gorliwie i namiętnie ubiegając się za zyskiem nie jednego dopuścił się postępuku, który rozmiął się z niejednym przykazaniem synajskim. Ludzie wiedzieli o tym, ale wobec bogactwa, siwej głowy i wielkiej liczby wnuków i prawnuków jego — zapominali. Saul sam nie zapominał. Uczuwał często we wnętrzu swym niespokojne jakieś poruszenia się sumienia i uspokoić je pragnął żarliwą pobożnością i czczeniem się w księgi święte. Do ksiąg tych jednak nie przywykł był umysł jego przez długie lata zaprzątany czym innym. Czytał je teraz Saul, ale nic a nic splątanych i tajnych sensów ich nie rozumiał, a im więcej nie rozumiał, tym wię-

cej je czcił i tym większe wywierały na nim wrażenie grozy i pokory. Teraz groza ta i pokora stanęły naprzeciw miłości istotnej, tkliwej nawet, którą uczuwał on dla wnuka-sieroty, i toczyły z nią walkę.

„Co jemu z tego przyjdzie? czy on z tego korzyść jaką będzie miał?“ — myślał stary Saul i gniewnym spojrzeniem spotkał wchodzącego wnuka.

Meir wszedł do bawialnej izby nieśmiałym nieco krokiem. Wiedział o odwiedzinach rabina, domyślał się ich celu, lękał się gniewu, a bardziej jeszcze smutku starego dziada.

— Nu — ozwał się starzec — chodź tu bliżej! ja tobie piękne rzeczy powiem, z których ty wielką radość będziesz miał!

A kiedy Meir stanął o parę kroków przed nim, wlepił weń wzrok spod brwi zjeżonych i rzekł:

— Ja ciebie dziś zaręcę i ty za dwa miesiące musisz być żonaty!

Meir zbladł, ale milczał.

— Ja ciebie z córką Jankla Kamionkera zaręcę!

Po słowach tych dość długie panowało milczenie. Pierwszy przerwał je Meir.

— Zejde! — rzekł cichym, lecz stanowczym głosem — ja córki Kamionkera za żonę sobie nie wezmę!

— Dlaczego? — tłumiąc gniew zapytał Saul.

— Dlatego, zejde — ośmielając się wciąż odrzekł młody człowiek — że Kamionker jest zły i niesprawiedliwy człowiek. I ja z nim w pokrewieństwa żadne wchodzić nie chcę!

Saul wybuchnął. Łajał wnuka za zuchwalstwo sądów jego i wychwalał pobożność reb Jankiela.

— Zejde! — przerwał Meir — on biednych ludzi krzywdzi!

— A co tobie do tego? — krzyknął dziad.

Tym razem oczy młodzieńca błysnęły gorąco.

— Zejde! — zawołał — on do swoich kieszeni bierze dużo

potu i pracy tych nieszczęśliwych, co tam na końcu miasteczka mieszkają, i oni przez niego złodziejami stają się! A jak oni nie mają być złodziejami, kiedy u nich dzieci gołe, a reb Jankiel za to nowe domy sobie buduje! I on w karczmach tych i browarach, które od puryców w dzierżawie trzyma, brzydkie rzeczy robi! Chłopów szynkarze jego poją i oszukują, a wódki pędzi on więcej, jak pozwolono... Zejde! ty nie patrzaj na to, jak on modli się, ale na to, jak on robi, bo napisane jest: „Niepotrzebne mi modlitwy ani ofiary wasze! Kto uciska biednego, ten krzywdzi Stwórcę!“

Saul bardzo był rozgniewanym, ale cytata wnuka złagodziła go nieco, bo pragnął on gorąco widzieć go uczonym i biegłym w znajomości ksiąg świętych.

— Nu — mruknął gniewnie, ale bez uniesienia — to co, że rebe Jankiel chłopów poi i wódki pędzi więcej, jak pozwolonym jest! Ty nie wiesz jeszcze, co to takiego interesy i jak one się robią. Jak ty ożenisz się z córką reb Jankla i on cię do interesów swoich przypuści, będziesz tak samo pędził i sprzedawał wódkę!

— Zejde! — szybko odparł Meir — ja wódki ani pędzić, ani sprzedawać nie będę! U mnie do tego ochoty nie ma żadnej!

— A do czego u ciebie ochota jest? ty do niczego ochoty nie masz!...

Nie dokończył jeszcze wyrazów tych stary Saul, gdy Meir pochylił się ku ziemi, ramionami kolana jego objął i usta swe do nich przyciskając mówić zaczął:

— Zejde! puść mię stąd! pozwól mi w świat szeroki! Ja pójdę uczyć się! ja uczyć się chcę, tu oczom moim ciemno! Ja ciebie już o to dawno, dwa lata temu, prosił, ale ty na mnie zagniewałeś się i kazałeś zostać! Ja zostałem, zejde, bo ja ciebie szanuję i rozkazania twoje są dla mnie święte. Ale teraz, zejde, puść ty mię stąd!... Jeżeli pójdę w świat z pozwoleniem i błogosławieństwem twoim, uczony zrobię się, na-

zad tu powrócę i wtedy naprzeciw wielkiego rabina stanę i będę wiedział, jak mu pokazać, że on mały jest... Teraz...

Nie pozwolił mu Saul mówić dalej.

— Szaaa! — zawołał.

Przejęła go trwoga sama wzmianka o tym, iż wnuk jego stanąć może kiedy do walki z wielkim rabinem.

Ale Meir wyprostował się i z czołem w ogniu, a łzami na rękach mówił dalej:

— Zejde! przypomnij ty sobie historię rabbi Eliezera. Kiedy on młody był, ojciec go w świat puszczać nie chciał, on ziemię orał i patrzył na ciemne lasy, co przed nim świat zasłaniały, a serce jego ciekawość i tęsknota gryzły tak, jak teraz moje serce gryzą... I nie wytrzymał on tej zgryzoty i uciekł... Uciekł on do Jerozolimy, poszedł do wielkiego mędrca, co wtedy na cały świat słynął, i powiedział mu: „Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim mistrzem!“ Stało się, jak powiedział. A kiedy w kilka lat później ojciec jego, który nazywał się Hirkanos, do Jerozolimy przyjechał, zobaczył on tam pięknego młodzieńca, co na wielkim rynku z wysokości do ludu bardzo mądrze mówił, a lud słuchał jego i dusza roztopiała mu się jak miód z wielkiej słodyczy i wszystkie głowy chyliły się nisko przed młodzieńcem i wołały: „Oto nasz mistrz!“ Hirkanos dziwował się bardzo mądrym słowom tego, co stał na wysokości, i wielkiej miłości, którą dla niego cały lud miał. I spytał się on człowieka, przy którym stał: „Jak nazywa się młodzieniec ten, co stoi na wysokości, i gdzie mieszka jego ojciec, bo chcę pójść i pokłonić się temu, którego wnętrzności syna takiego wydały?“ A człowiek, którego on tak zapytał się, odpowiedział: „Młodzieńcowi temu na imię Eliezer, gwiazda nad głową Izraela, a ojciec jego nazywa się Hirkanos“. Jak Hirkanos to usłyszał, krzyknął wielkim głosem, do młodzieńca pobiegł i ramiona swoje przed nim otworzył. I była wtedy wielka radość w ser-

cach ojca i syna, a lud cały pokłonił się Hirkanosowi za to, że wnętrzości jego takiego syna z siebie wydały...

Saul słuchał opowiadania tego bardzo uważnie, z twarzą na poły chmurną jeszcze, na poły rozjaśnioną. Drogimi mu były ojczyste podania i lubił słyszeć je w ustach najulubieńszego z wnuków. Jednak nie zawahał się ani przez chwilę z odpowiedzią. Przymrużył nieco oczy, zakłóysał głową i zaczął:

— Żeby w Jerozolimie nauczał teraz wielki jaki mędrzec izraelski, ja bym sam, bez twego proszenia, posłał cię do niego na naukę. Ale na Jerozolimie spoczęła mściwa prawica Pana... ona już nie nasza... będzie ona kiedyś znów nasza... jak przyjdzie wielki dzień Mesjaszowy, ale teraz tam umierać tylko izraelicie słodko i dobrze, a uczyć się nie ma gdzie i u kogo. A w cudzy świat po cudze nauki ja ciebie nie posłę... One izraelicie niepotrzebne... Ty od edomity nauczyłeś się już tyle, ile ci trzeba, abyś w cudzym świecie mógł interesy prowadzić... A i za to ja miałem już od wielkiego rabina wymówkę... A dla mnie jego wymówki to wielki wstyd i wielka zgryzota... bo choć to mądry i wielki rabin, ale moja dusza cierpi, kiedy on do mego domu przychodzi łajać mię, jak me-lamed małe dzieci w chederze łaje...

Zasępił się stary mówiąc to i ponuro w ziemię patrzył. Meir stał przed nim jak skamieniały i tylko we wzroku jego szklisto w przestrzeń wpatrzonym malowała się bezdnia smutnych i buntowniczych uczuć.

— Zejde! — ozwał się na koniec wpół prosząco, wpół porywczo — to ty mi rzemieślnikiem pozwól być! Ja będę z biednymi ludźmi na jednej ulicy mieszkał, razem z nimi rękami mymi pracowałem i dusze ich od grzechu strzegłem. A kiedy oni spytają się mię o co, odpowiem im zawsze: tak albo nie! Kiedy im chleba zabraknie, rozdzielę pomiędzy nich wszystkich ten chleb, który będzie w moim domu!

Znowu czoło jego zapalało i lzy błysnęły na rzęsach. Ale

Saul podniósł na niego wzrok osłupiały od zdziwienia i po chwili dopiero odpowiedział:

— Jak ty będziesz miał dwa albo trzy lata więcej, wtedy poznasz, jaki ty głupi byłeś, kiedy do mnie takie rzeczy gadałeś. W rodzinii Ezofowiczów nie było nigdy rzemieślnika żadnego i, dziękować Bogu, nigdy nie będzie. My kupcy z ojca na syna i pieniędzy u nas dość, a z ojca na syna coraz więcej. I ty kupcem będziesz, bo Ezofowicz każdy kupcem musi być...

Ostatnie wyrazy wymówił stanowczym głosem, po chwili, łagodniej nieco, ciągnął dalej:

— Ja tobie łaskę chcę zrobić... Kiedy ty nie chcesz żenić się z córką reb Jankla, już ja ci pozwolę nie żenić się z nią... Ale ja ciebie zaręcę z córką Elego Witebskiego, wielkiego kupca. Tobie smutno za nauką, nu! to ja tobie dam żonę edukowaną... Ją rodzice na pensji w Wilnie trzymają... ona po francusku gadać umie i na fortepianie grać... Nu, kiedy ty taki kapryśny jesteś, to ta dziewczyna będzie dla ciebie jak raz... Ona ma szesnaście lat, ojciec da za nią wielki posag i zaraz ciebie do swoich interesów przypuści...

Z wyrazu twarzy Meira poznać można było, że wrzał wewnątrz.

— Ja córki Witebskiego nie znam! moje oczy nigdy jej nie widziały — wyrzekł ponuro.

— A na co tobie ją znać? — krzyknął Saul. — Ja ją tobie daję! Ona za miesiąc wróci z Wilna do rodziców i ty z nią za dwa miesiące ożenisz się! Ot, co ja tobie mówię, a ty milcz i rozkazań moich słuchaj. Ja tobie do tego czasu za wiele pozwalałem, ale teraz już będę z tobą inaczej... Izaak Todros powiedział, żebym ja stopę swoją na twoich plecach postawił...

Rumieńce wytrysnęły na bladą twarz Meira. Z oczu jego posypały się iskry.

— ~~Niech~~ Niech ~~rabbi~~ Izaak sam stawia stopę swoją na plecach

tych, co jak psy liżą jego nogi! — zawołał. — Ja izraelita jak i on... ja niczyj niewolnik... ja...

Skonały słowa na drżących ustach jego, bo stary Saul stanął przed nim wyprostowany, potężny, rozplómienny gniewem i rękę swą na niego podnosił. Lecz w tejże chwili pomiędzy ręką tą starca, suchą, lecz silną jeszcze, a twarzą młodzieńca, wzburzoną i płomienną, zawiśła dłoń mała, od starości wyschła, pomarszczona i drżąc rozdzieliła je z sobą. Była to dłoń Frejdy, która obecna całej rozmowie dziada i wnuka zdawała się drzemać na słońcu i nie nie słyszeć, ale kiedy rozległ się w izbie namiętny wykrzyk Meira, a Saul powstał rozgniewany i groźny, ona powstała także, wyprostowana i milcząca postąpiła parę kroków i biedną, starą dłonią swą niby tarczą zasłoniła prawnuka... Ręka Saula opadła w dół i zmiękłym już nieco głosem zawoławszy tylko ku Meirowi: — Weg! — opuścił się on na ławę i ciężko oddychał.

Prababka usiadła znowu przy otwartym oknie w słońcu cała, Meir opuścił izbę.

Wyszedł z głową schyloną i chmurnym czołem. Uczuł w tej chwili całą niemoc swą wobec wszystkiego, co wznosiło się nad nim wiekiem, znaczeniem, powagą; uczuł ciężące na sobie kajdany patriarchalnego ustroju rodziny. I tylko przy wspomnieniu o tej małej, wyschłej, drżącej dłoni kobiecej, która zasłoniła go przed grubiańskim aktem przemocy, uśmiech rzewnej tklivości przewinął się mu po ustach. Był to także uśmiech nadziei.

— Żebym ja to pisanie mógł dostać! — rzekł do siebie dłoń przesuwając po czole.

Myślał o pisaniu Michała Seniora i o tym, że jedna tylko stara prababka wiedziała, kędy szukać go trzeba, i o tym także, iż gdyby je miał, wiedziałby może, co mówić, jak czynić... Saul tymczasem siedział długo na ławie sapiąc ze zmęczenia i ze zmartwienia wdychając. Parę razy spojrzał na matkę i uśmiechnął się. Dziwnym zdawało mu się może to

nagle wstawienie się za prawnikiem wiecznie drzemiącej i milczącej stuletniej rodzicielki jego, a może i wdzięcznym jej był w głębi serca za to, iż nie pozwoliła ona, aby w uniesieniu gwałtownym skrzywdził on wnuka-sierotę.

— Rafał! — zawołał po chwili donośnym głosem.

Do izby wszedł najstarszy z synów jego, poważny, siwiejący, czarnooki mężczyzna. Był on po Saulu najstarszym w rodzinie; wnuki już dorosłe miał, szeroko rozgałęzione interesy handlowe po świecie prowadził, ale wołanie ojca usłyszawszy porzucił wnet rachunkowe księgi swe, przerwał żywą rozmowę o interesach, którą prowadził z bratem Abramem, i stanął przed ojcem.

— Czy Eli Witebski jest w domu? — zapytał Saul.

— On wczoraj z dalekiej drogi powrócił i teraz w domu swoim odpoczywa — odrzekł syn.

— Niech ktokolwiek zaraz pójdzie do niego i powie, że ja chcę, aby on przyszedł tu i ze mną o ważnych rzeczach pogadał.

— Ja pójdę sam — rzekł Rafał — ja wiem, o jakich rzeczach ty, tate, chcesz z Witebskim gadać. Te rzeczy dobre są i trzeba je co najprędzej do skutku doprowadzić. Z Meirem źle będzie, jeżeli on prędko nie ożeni się i interesów prowadzić nie zacznie.

Saula oczy z niepokojem utonęły w twarzy syna.

— Rafał! czy ty myślisz, że jak ożeni się, to będzie zaraz inny?

Rafał twierdząco skinął głową.

— Tate! — rzekł — przypomnij sobie Bera. On był na takiej drodze, na jakiej teraz Meir jest, ale jak ożenił się z naszą Sarą, a ty, tate, do interesów swoich jego przyjąłeś i jak dzieci jego zaczęły rodzić się jedno po drugim, jemu wszystkie głupstwa z głowy powylatywały.

— Idź! zawołaj do mnie Witebskiego — zakończył rozmowę Saul.

tych, co jak psy liżą jego nogi! — zawołał. — Ja izraelita jak i on... ja niczyj niewolnik... ja...

Skonały słowa na drżących ustach jego, bo stary Saul stanął przed nim wyprostowany, potężny, rozplomieniony gniewem i rękę swą na niego podnosił. Lecz w tejże chwili pomiedzy ręką tą starca, suchą, lecz silną jeszcze, a twarzą młodzieńca, wzburzoną i płomienną, zawisła dłoń mała, od starości wyschła, pomarszczona i drżąc rozdzieliła je z sobą. Była to dłoń Frejdy, która obecna całej rozmowie dziada i wnuka zdawała się drzemać na słońcu i nic nie słyszeć, ale kiedy rozległ się w izbie namiętny wykrzyk Meira, a Saul powstał rozgniewany i groźny, ona powstała także, wyprostowana i milcząca postąpiła parę kroków i biedną, starą dłonią swą niby tarczą zasłoniła prawnuka... Ręka Saula opadła w dół i zmiękłym już nieco głosem zawoławszy tylko ku Meirowi: — Weg! — opuścił się on na ławę i ciężko oddychał.

Prababka usiadła znowu przy otwartym oknie w słońcu cała, Meir opuścił izbę.

Wyszedł z głową schyloną i chmurnym czołem. Uczuł w tej chwili całą niemoc swą wobec wszystkiego, co wznosiło się nad nim wiekiem, znaczeniem, powagą; uczuł ciężące na sobie kajdany patriarchalnego ustroju rodziny. I tylko przy wspomnieniu o tej małej, wyschłej, drżącej dłoni kobiecej, która zasłoniła go przed grubiańskim aktem przemocy, uśmiech rzewnej tkliwości przewinał się mu po ustach. Był to także uśmiech nadziei.

— Żebym ja to pisanie mógł dostać! — rzekł do siebie dłoń przesuwając po czole.

Myślał o pisaniu Michała Seniora i o tym, że jedna tylko stara prababka wiedziała, kędy szukać go trzeba, i o tym także, iż gdyby je miał, wiedziałby może, co mówić, jak czynić... Saul tymczasem siedział długo na ławie sapiąc ze zmęczenia i ze zmartwienia wzdychając. Parę razy spojrzał na matkę i uśmiechnął się. Dziwnym zdawało mu się może to

nagle wstawienie się za prawnikiem wiecznie drzemającej i milczącej stuletniej rodzicielki jego, a może i wdzięcznym jej był w głębi serca za to, iż nie pozwoliła ona, aby w uniesieniu gwałtownym skrzywdził on wnuka-sierotę.

— Rafał! — zawołał po chwili donośnym głosem.

Do izby wszedł najstarszy z synów jego, poważny, siwiejący, czarnooki mężczyzna. Był on po Saulu najstarszym w rodzinie; wnuki już dorosłe miał, szeroko rozgałęzione interesy handlowe po świecie prowadził, ale wołanie ojca usłyszawszy porzucił wnet rachunkowe księgi swe, przerwał żywą rozmowę o interesach, którą prowadził z bratem Abramem, i stanął przed ojcem.

— Czy Eli Witebski jest w domu? — zapytał Saul.

— On wczoraj z dalekiej drogi powrócił i teraz w domu swoim odpoczywa — odrzekł syn.

— Niech ktokolwiek zaraz pójdzie do niego i powie, że ja chcę, aby on przyszedł tu i ze mną o ważnych rzeczach pogadał.

— Ja pójdę sam — rzekł Rafał — ja wiem, o jakich rzeczach ty, tate, chcesz z Witebskim gadać. Te rzeczy dobre są i trzeba je co najprędzej do skutku doprowadzić. Z Meirem źle będzie, jeżeli on prędko nie ożeni się i interesów prowadzić nie zacznie.

Saula oczy z niepokojem utonęły w twarzy syna.

— Rafał! czy ty myślisz, że jak ożeni się, to będzie zaraz inny?

Rafał twierdząco skinął głową.

— Tate! — rzekł — przypomnij sobie Bera. On był na takiej drodze, na jakiej teraz Meir jest, ale jak ożenił się z naszą Sarą, a ty, tate, do interesów swoich jego przyjąłeś i jak dzieci jego zaczęły rodzić się jedno po drugim, jemu wszystkie głupstwa z głowy powylatywały.

— Idź! zawołaj do mnie Witebskiego — zakończył rozmowę Saul.

Rafał wyszedł po chwili z domu i zmierzał ku domostwu, które przy zbiegu dwóch najpokaźniejszych ulic stojąc okna miało duże i wysoki ganek. Na ganku siedziała kobieta, otyła nieco, w jedwabnej sukni i mantyli spiętej złotą broszą, ze złotymi, długimi kolcami w uszach i starannie uczesaną peruką na głowie. Lat mogła mieć około czterdziestu, wyglądała świeżo i rumiano, na ustach miała uśmiech zadowolenia i dumy, a w rękę trzymała robótkę jakąś z cienkiej bawełny. Kiedy Rafał wchodził na wschody wysokiego ganku, kobieta powstała i z najwytworniejszym dygiem, jaki kiedykolwiek dokonany mógł być w Szybowie, na powitanie ku przybywającemu wyciągnęła rękę. Żadna kobieta w Szybowie oprócz pani Hany Witebskiej nie witała się w ten sposób z żadnym mężczyzną. Owe angielskie shake-hand rozpowszechnione po całym ucywilizowanym świecie nie bardzo znać przypadało do smaku poważnemu Rafałowi, bo z trochę niechęci dotknął on końcami swych palców pulchnej dłoni pani Hany i po krótkim wzajemnym pozdrowieniu zapytał ją o jej męża.

— On w domu! — rzekła kobieta uśmiechając się wciąż z chronicznym jakby zadowoleniem i również chroniczną dumą. — A jakże! on wczoraj z wielkiej drogi wrócił i teraz w domu swoim odpoczywa.

— Ja przyszedłem, aby z nim pogadać — rzekł Rafał.

— Proszę! proszę! — zawołała kobieta z pośpieszną uprzejmością otwierając drzwi prowadzące do sieni domu. — Mój mąż będzie bardzo kontent z takiego gościa! Proszę! proszę!

Rafał na światowe grzeczności pani Hany odpowiedział w sposób bardzo umiarkowany szybkim skinieniem głowy i wszedł w głąb domu. Pani Hana usiadła znowu na ławce gankowej, wzdąrdliwie nieco przymrużyła oczy i szepnęła do siebie:

— Nu! jacy tu ludzie w tym Szybowie! Oni z kobietami gadać nie chcą i tacy grubi są, jak niedźwiedzie!

Westchnęła, pokiwała głową i dodała:

— Czy ja do takich ludzi przyzwyczajona! U nas, w Wilnie, ludzie grzeczni i edukowani, nie tak, jak tu! pfe!

Splunęła lekko, westchnęła raz jeszcze i znowu robiąc machinalnie robótkę swą z uśmiechem dumy i zadowolenia patrzyła na miasteczko i ruszających się po nim ludzi. Niebawem w drzwiach domu ukazali się dwaj mężczyźni; rozmawiając przeszli szybko przez ganek, na panią Hanę ani spojrzeli i ku domowi Ezofowiczów skierowali się.

Eli Witebski, idący teraz przez plac obok Rafała, bynajmniej do towarzysza swego podobnym nie był. Kupiec, tak jak i tamten, przedstawiał on przecież powierzchownością swą odrębny całkiem rodzaj kupca-izraelity. Światowcem był widocznie i elegantem. Ubranie jego, niezupełnie wprawdzie krótkie, najmniej przecież o pół łokcia krótszym było od sięgającego stóp ubrania Rafała i innym nieco krojem sporządzone. Na atlasowej kamizelce jego połyskiwał gruby łańcuch złoty, a na rękę — pierścień z wielkim brylantem. Twarz miał on pogodną i łagodną, oczy bystre i przenikliwe, małą złotawą bródkę, ku której często podnosiła się ręka jego, brylantem ozdobiona, gestem powolnym i rozważnym.

Szedł on obok Rafała z pośpiechem i ochotą widoczną. Nie było zresztą w Szybowie całym ani jednego, by najbogatszego, kupca i gospodarza domu, który by w podobny sposób nie śpieszył na wezwanie Saula Ezofowicza. Od dziesięciu już lat bowiem Saul na własną rękę interesy prowadzić przestał i nigdzie z domu swego prócz do domu modlitwy nie wychodził. Przychodzili za to do niego wszyscy, którzy czerpać chcieli ze skarbnicy wielkiego doświadczenia i najmniejszej biegłości w interesach handlowych starego kupca. Zdarzało się często, iż siadywał on w bawialnej izbie na kanapie owej z żółtą, wysoką poręczą, przed nim, na stole, spoczywała rozwarta księga nabożna, której czytanie przzerwano mu, a w koło niego siedzieli mężowie dojrzały, uchodzący

w gminie całej za bogaczy i uczonych, a do niego przybyli po radę, pomoc, a niekiedy nawet rozsądzanie i godzenie spraw spornych. Stary Saul radził, pomocy, o ile mógł bez krzywdy dzieci swych, udzielał, rozstrzygał, godził i wielką z tego dumę na pomarszczonym czole swym miał. A kiedy potem sam dla własnych spraw swoich potrzebował z dostojnikami gminy rozmawiać, wzywał ich przez synów lub wnuków swoich, a oni chętnie i uprzejmie doń pośpieszali.

Pośpieszał więc na wezwanie starego patriarchy gminy elegancki i bogaty Eli Witebski. Do bawialnej izby Ezołowiczów uśmiechniony i rozpromieniony wszedł i gospodarza powitał starym izraelskim:

— Szolem alejchem! (pokój tobie).

Nie witał on już w ten przestarzały sposób nikogo poza Szybowem, owszem, do spotykanych na świecie ludzi bardzo poprawnie mawiać umiał: „Gut morgen“ albo: „Dzień dobry!“ Lecz obyczajem jego niezłomnym było stosować się we wszystkim do przekonania i upodobań tych wszystkich, z którymi do czynienia miał.

Rafał chciał odejść, ale gestem rozkazującym zatrzymał go ojciec. Zamknęli wszystkie drzwi izby i we trzech rozmawiali długo i z cicha. Jakkolwiek jednak rozmawiając znizali głosy, ciekawa i swawolna Lijka, córka Rafała, przytknąwszy zgrabny nosek swój do drzwi zamkniętych, a czarne oko do dziurki od klucza usłyszała wyraźnie powtarzane często imiona Meira i Mery, córki Witebskich, naprzód, a potem swoje i jakiegoś Leopolda, kuzyna pani Hany, na wielkim świecie przebywającego. Odeskoczyła ode drzwi sploniona cała, zawstydzieniem na wpół, a na wpół tajemną radością zdjęta, i wciąż już tylko wyglądała przez okno, ażeby ujrzeć co prędzej wracającego do domu stryjecznego brata.

Słońce zachodziło już, kiedy Witebski opuścił dom Ezołowiczów, rozpromieniony, uśmiechniony, rad wielce widocz-

nie z załatwionego interesu, czy może z dwóch razem interesów załatwionych.

W tejże prawie chwili Meir wracał do domu. Lijka wybiegła na spotkanie brata i w bramie dziedzińca otoczywszy ramieniem szyję jego do ucha mu szeptała:

— Czy ty wiesz, Meir! dziś wielkie rzeczy u nas działy się. Zejde nasz i tate mój długo rozmawiali z Elim Witebskim i o nas umówili się. Witebski przyrzekł dla ciebie córkę swoją, Merę, a mnie zejde i tate przyrzekli dla siostrzeńca pani Hany, co na wielkim świecie żyje i bardzo edukowany jest...

Szeptała to płonąca cała i nie śmiać ze wstydu podnieść oczu na brata. Nagle uczuła, że wysunął się on szybkim ruchem z jej objęcia. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła Meira odchodzącego znowu od wrót domowych.

— Meir! — zawołała za nim dziewczyna. — Gdzie ty idziesz? Czy ty wieczry jeść z nami nie będziesz?

Odchodzący nie odpowiedział nic na dźwięczny dziewiczy głos, który przyzywał go ku rodzinnemu stołowi. Głęboka zmarszczka przerzynała mu gniewne czoło. Zrozumiał w tej chwili całą nicość wykrzyku wydanego wobec dziada przed kilku godzinami: „Ja niczyj niewolnik!“ Rozporządzono się bez najłżejszego w tym udziału woli jego rodzinnej jego przyszością, a on wiedział, że jak rozkażą starsi, tak stać się będzie musiało...

Nie! Wzdrygał się on cały na myśl, aby stać się tak mogło. Dlaczego? Wszak nie znał młodej Mery, która kędyś na świecie uczyła się nauk tych, których on sam tak bardzo był żądny! Lecz idąc wciąż przez miasteczko i puste grunta rozdzielące je z karaickim wzgórzem, idąc powoli, z rękami założonymi w tył i pochyloną głową, myślał on wciąż uparcie, machinalnie prawie, nieprzerwanie: „Ja niczyj niewolnik!“ Wrzała w nim i kipiała duma i żądza swobody, nie wiedzieć skąd w nim powstała, z tych tajemniczych zapewne tchnień

przyrody, które na wszelkich gruntach sięgają duchy szlachetne i mocne, wolności, sprawiedliwości i wiedzy spragnione...

U stóp karaickiego wzgórza, w chatce tulącej się do piaszczystej jego ściany błyszczało małe, żółte światelko. Nad nią, w gałęziach wierzby rosochatej, połyskiwały drobne gwiazdy, a dalej, na polach szerokich, stały się szare cienie wieczoru.

We wnętrzu chatki pod ścianą niską siedział na snopie zmiętej słomy starzec zgarbiony, bezkształtną odzieżą okryty i drżącymi rękami przebierał giętkie pręty łożyny. Postać jego szarzała zaledwie wśród mrocznego kąta, a rysy pochylonej twarzy były niewidzialnymi.

Blżej żółtego płomyka świecy na stolku drewnianym siedziała wysmukła dziewczyna z chudą twarzą i wyprostowaną postacią. W spuszczonej ręce jej okręcało się z cichym fruwaniem wrzeciono, a nad głową podnosiła się deska prząsownicy z przymocowanym do niej grubym zwojem wełny.

Spod ściany, przy której szarzała zgarbiona postać starca, wydobywał się głos trzęsący się i chrypiący:

— „Pośrodku pustyni takiej wielkiej, że jej końca nigdzie widać nie było, podnosiły się dwie góry takie wysokie, że głowy ich chowały się w chumrach. Góry te nazywały się Horeb i Synaj“.

Chrypiący, trzęsący się głos starca umilkł, a dziewczyna, która przedtem wciąż słuchała z poważnym wzrokiem i milczącymi ustami, wymówiła:

— Zejde! mów dalej!

Lecz w tejże chwili ozwał się tuż za otwartym oknem przyciszony głos męski:

— Gołda!

Prządkę nie przelekło ani zdziwiło to nagłe wymówienie imienia jej przez głos obcy. Można by rzec, iż co chwilę spodziewała się ona usłyszeć głos ten obok siebie, tak poważnie

i bez najlżejszego drgnienia powstała i ku oknu podeszła. Tylko oczy jej zapłonęły gorąco zza czarnych rzęs, a głos narzmiął był niewypowiedzianą słodyczą, gdy stanawszy u okna rzekła z cicha:

— Meir!

Za oknem na szarym tle wieczoru rysowała się wyraźnie blada twarz młodzieńcza.

— Meir! — powtórzyła dziewczyna — ja wiedziałam, że ty obietnicy swej dotrzymasz i przyjdiesz!

— Ja przyszedłem do ciebie, Gołdo — mówił za oknem przyciszony głos męski — bo mnie dziś bardzo ciemno przed oczami, i ja chciałem popatrzeć na ciebie, żeby świat zrobił mi się jaśniejszym...

— A dlaczego tobie dziś tak ciemno zrobiło się przed oczami? — zapytała dziewczyna.

— Ja mam wielką zgryzotę. Rabin Izaak oskarżył mnie przed zejdem i zejde chce mię ożenić...

Umilkł i spuścił oczy. Dziewczyna ani drgnęła. Najlżejsze poruszenie postaci ni twarzy nie zdradziło wzruszenia jej, tylko śniada i ogorzała twarz jej stała się na mgnienie oka białą jak opłatek.

— Z kim zejde chce cię ożenić? — zapytała, a w głosie jej ozwały się brzmienia ponure.

— Z Merą, córką kupca Witebskiego.

Wstrząsnęła głową.

— Nie znam jej — rzekła.

A potem zapytała nagle:

— Czy ty z nią ożenisz się, Meir?

Młody człowiek nie odpowiedział, a jednak Gołda nie pytała dłużej. Śniade czoło jej opłynęło rumieńcem, a wyraz szczęścia niewysłowionego napełnił oczy, bo wzrok Meira tkwił w jej twarzy, łagodny, litościwy jakiś, głęboki i zarazem ognisty.

Milczeli oboje, a w ciszy przerywanej tylko cichym szem-

raniem gałęzi wiszących nad dachem chrypiał i dygotał znowu głos siedzącego pod ścianą starca:

— „Kiedy Mojżesz zstępował z góry Synaj, umilkły grzmoty, zgasły błyskawice, wichry pokładły się na ziemię, a Izrael cały powstał jako jeden człowiek i wielkim głosem krzyknął: „Mojżesz, powtórz nam słowa Przedwiecznego!“

Meir wsłuchiwał się w stary głos opowiadający prastare dzieje Izraela z natężoną uwagą. Gołda spojrzała na dziadka.

— On tak zawsze różne historie opowiada — rzekła — a ja przędę albo przy nogach jego leżę i słucham...

— Meir — dodała z powagą w wejrzeniu i głosie — wejdź ty do domu naszego i pozdrów mego dziada...

Po chwili skrzypnęły drzwi od małej sionki. Stary Abel podniósł głowę znad prętów łożowych, które przebierały wciąż i splatały drżące, lecz czynne dłonie jego i widząc rysującą się w zmroku dorodną postać młodzieńczą zapytał:

— A kto tam przyszedł?

— Zejde! — rzekła Gołda — Meir Ezofowicz, wnuk bogatego Saula, przyszedł do domu naszego, aby cię pozdrowić...

Na dźwięk nazwiska wymówionego przez Gołdę szara postać skurczona przy ścianie przypodniosła się nagle i wspierając się rękami o więź zmiętej słomy wyciągnęła żółtą, z łachmanów dobywającą się szyję. Wtedy wychyliła się też pod światło żółtego płomyka głowa, z której zwisały aż na ramiona długie, bujne pasma włosów srebrzystej białości i twarz mała, skurczona, niewidzialna prawie spod ogromnego zarostu, który ją okrywał. Gołda mówiła prawdę, że włosy jej dziada stały się od starości jako śnieg, a jak korale były od łez jego oczy. Teraz spod koralowych tych, nabrzmiałych powiek źrenice zgasłe patrzyły z osłupieniem strachu naprzód, a potem z nagłą błyskawicą oburzenia czy nienawiści.

— Ezofowicz! — wymówił starzec głosem nie tak już drżącym i ochrypłym jak pierwej. — A po co ty tu przyszedł i próg domu mego przestąpił, kiedy ty rabbanita jesteś...

wrogiem... prześladowcą... a pradziad twój wyklął przodków moich i świątynię ich w proch obrócił?... Ty idź stąd! niech stare oczy moje nie trują się patrząc na ciebie!

Mówiąc ostatnie wyrazy trzęsącą się rękę wyciągał ku drzwiom, którymi wszedł młodzieniec, oczy jego rozpałały się coraz ogniej pod czerwoną powieką, a powiew wiatru wlatujący przez okno rozwiewał srebrzyste włosy długiej jego brody.

Ale Meir z wolna postąpił naprzód i chyląc nisko głowę przed rozgniewanym starcem wymówił:

— Pokój tobie!

Na dźwięk głosu tego o łagodnym, głębokim brzmieniu i wymówionych przezeń wyrazów, które błogosławieństwo i prośbę o zgodę zawierały w sobie, starzec umilkł, opuścił się ciężko na niskie swe siedzenie i po długiej chwili dopiero żałośliwym już tylko, jęczącym głosem mówić zaczął:

— Po co ty do mnie przyszedłeś? Rabbanita jesteś i prawnikiem potężnego Seniora. Ciebie wyklną twoi, gdy zobaczą, że ty mój próg przestąpiłeś, bo ja ostatnim karaitą jestem, co tu pozostał, ażeby gruzów świątyni naszej i popiołów naszych ojców strzec! Ja nędzarz! ja żebrak! ja wyklęty przez twoich! ja ostatni karaita!

Meir słuchał żałośliwych słów starca w milczeniu pełnym szacunku.

— Rebe! — ozwał się po chwili — ja przed tobą nisko głowę moją pochylam, bo trzeba, żeby sprawiedliwość na świecie stała się, i żeby prawnuk tego, co wyklinał, pokłonił się prawnukowi wyklętych...

Abel karaim słuchał wyrazów tych z uwagą wielką i nadstawionym uchem. Potem milczał jeszcze długo, jakby znaczenie ich w zmęczonej myśli swej rozważał, aż na koniec zrozumiał je całkiem i szepnął:

— Pokój tobie!

Gołda stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi

i w Meira wpatrywała się, jak w obraz święty wpatrują się pobożni. Usłyszawszy wyraz pokoju wychodzący z ust dziada, przysunęła Meirowi jeden z dwóch stołków znajdujących się w chacie, wzięła z kąta izdebki mały, lśniący dzbaneczek i wyszła do sieni.

Meir usiadł opodal nieco od starca, który pogrążył się znowu w swej robocie i zrazu szeptać coś zaczął. Po chwili szepot ten stawał się coraz głośniejszym, aż przemienił się w chrypiące i drżące opowiadanie. Opowiadania takie były znać ciągłym zwyczajem Abła. Miał on ich pełną pamięć i pierś i nimi sobie nędzne życie swe rozpromieniał.

Pierwszych wyrazów, szeptem przez Abła wymówionych, Meir nie dosłyszał, i wtedy dopiero pochwycił wątek słów jego, gdy starzec głośniej zaczął:

— „Nad brzegami Babilonu siedzieli oni płaczący, a wiatr jęczał w lutniach ich, które oni sobie z ojczyzny przynieśli i w smutku zawiesili na drzewach.

„I przyszedli do nich panowie ich i mówili: „Weźcie do rąk waszych te lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!“ A oni odpowiedzieli: „Jakoż grać i śpiewać będziemy na ziemi wygnania, kiedy język nasz usechł od wielkiej goryczy, a serca nasze wołać umieją tylko: „Palestyna! Palestyna!“ Ale rzekli do nich panowie ich: „Zdejmcie z drzew lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!“

„Wtedy prorocy Izraela obejrzelisię na siebie i zapytali: „Kto z nas pewny, że męki wytrzyma, a grać i śpiewać nie będzie na ziemi wygnania?“

„A kiedy nazajutrz przyszedli do nich panowie ich i powiedzieli: „Zdejmcie z drzew lutnie, grajcie i śpiewajcie!“ — prorocy Izraela popodnosili swoje ręce krwawe i zawołali: „Jakże zdjąć je możemy, kiedy ręce nasze przecięte są na dwoje i palców u nich nie ma!“

„Rzeki Babilonu głośno szumiały od wielkiego dziwu, a wiatr płakał w lutniach na drzewach wiszących, bo prorocy

Izraela rozcięli sobie ręce na dwoje, ażeby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu na ziemi wygnania!“

Kiedy Abel wymawiał ostatnie wyrazy starej legendy, do izby weszła Gołda. Niosła ona w jednej ręce na splecionej ze słomy podstawie dwa kubki gliniane, w drugiej — dzbanek lśniący napełniony mlekiem. W drzwiach, które rozwartymi za nią zostały, stanęła koza odbijając białością na czarnym tle sionki. Dziewczyna, w długiej, spłowiałej spódnicy, z czarnym warokczem rzuconym na plecy szarej koszuli, wylała w kubki pieniące się mleko i podawała je dziadowi i gościowi. Chodziła po izbie cicha i lekka, z uśmiechem tylko na poważnych ustach. Potem usiadła i prząść znowu zaczęła. Izbę zaległa cisza zupełna, stary Abel rozpoczynał jeszcze dawną historię jakąś cichym szeptem, ale wkrótce zamknęły się usta jego, ręce opadły na snop łożowych prętów, a głowa nieruchomo spoczęła przy ścianie. Koza zniknęła z progu, słychać było jeszcze przez chwilę szamotanie się jej w ciemnej sionce, lecz po chwili i to umilkło. Młodzi ludzie zostali sami jedni wobec uśpionego starca i gwiazd, które zaglądały przez niskie okienko. Ona przędła ze wzrokiem utkwionym w twarz młodzieńca siedzącego z daleka, on spuścił powieki i myślał.

— Gołda! — ozwał się po długiej chwili — prorocy Izraela, którzy sobie ręce rozcięli na dwoje, aby niewolnikami swoich panów nie być, wielkimi byli ludźmi...

— Oni nie chcieli robić nic przeciw sercu swemu! — poważnie odpowiedziała dziewczyna.

Milczeli znowu. Wrzeczono szemrało w ręku Gołdy, ale coraz ciszej jakoś i wolniej. Przez źle spojone stare deski ścian wnikały powiewy wiatru i chwiały żółtym płomykiem świecy.

— Gołda! — ozwał się Meir — czy tobie nie straszno w tej samotnej chacie, kiedy jesień i zima długie, czarne ciemności na świat spuszczaają, a wichry wielkie przez te stare ściany do izby wlatują i jęczą?

— Nie — odpowiedziała dziewczyna — mnie nie straszno, bo Przedwieczny strzeże biednych chat, co w ciemnościach stoją, a kiedy wiatry wlatują tu i jęczą, ja słucham historii tych, które opowiada zejde, i jęczenia tego nie słyszę!

Wzrok Meira, miękki i pełen litości, spoczywał na twarzy poważnego dziecka. Gołda patrzyła na niego nieruchomymi oczami, które błyszczały z dala jak czarne, ogniste gwiazdy.

— Gołda! — rzekł znowu Meir — czy ty pamiętasz historię o rabbi Akibie?

— Ja jej do końca życia mego nie zapomnę... — odpowiedziała.

— Gołda!... czy ty byś mogła, jak piękna Rachela, czekać czternaście lat...

— Ja bym do końca życia mego czekała...

Wymówiła to spokojnym głosem i poważnymi usty, ale wrzeczono wypadło z jej ręki, która opadła w dół jak bezwładna.

— Meir — rzekła tak cicho, że słowa jej przygłuszały nieledwie ciche szepty wieczornego wiatru — daj ty mnie obietnicę jedną! Kiedy tobie niedobrze będzie w domu dziada twego, Saula, i kiedy ty smutek na sercu swoim poczujesz, przychodź ty wtedy do domu naszego. Niech ja o każdym smutku twoim wiem i niech zejde mój pociesza ciebie tymi pięknymi historiami, które on opowiadać umie!

Meir nie odpowiadał długo. Byłże to blask żółtego płomyka, który mu padał na twarz? Czoło i oczy jego były całe w ogniu.

— Gołdo! — rzekł silnym głosem — ja jak prorocy Izraela ręce swoje na dwoje raczej rozetnę, niż cokolwiek kiedy przeciw sercu memu zrobię!

Rzekłszy to wstał i skinął głową ku dziewczynie.

— Pokój tobie! — rzekł.

— Pokój tobie! — odpowiedziała cicho i głową zwolna ku niemu skinęła.

Wyszedł z chaty, a po chwili dziewczyna powstała ze stolka, zdmuchnęła żółty płomyk dogorywającej świecy i owinąwszy się szarą jakąś płachtą u nóg uśpionego na słomie starca spoczęła. Spoczęła, lecz długo jeszcze patrzyła szeroko roztwartymi oczami na gwiazdy, które migotały za oknem.

VI

Eli Witebski posiadał w umyśle swym i charakterze niepospolite dyplomatyczne zdolności. Nie urodził się on i nie wzrósł w Szybowie jak wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miejsca tego, ale od trzech lat zaledwie sprowadziły go tu interesy i różne rodzinne okoliczności.

Był więc wśród miejscowej ludności znającej się wzajem od dziadów, pradziadów cudzoziemcem nieledwie, a w dodatku, życie całe spędziwszy w dużym gubernialnym mieście przywiózł ze sobą wiele nowości, które zadziwiać i razić mogły ultrakonserwatywnych mieszkańców zapadłego kąta. Nowościami tymi były: strój odmienny znacznie co do kroju i długości, noszenie pierścienia z brylantem na palcu, nienoszenie jarmułki na głowie, krótkie przystrzyganie złotawej bródki, zupełny brak w mieszkaniu ksiąg talmudycznych i kabalistycznych, przede wszystkim zaś posiadanie żony takiej, jaką była pani Hana, córki uczącej się gdzieś na pensji i oprócz tej ostatniej dwojga tylko dzieci. Nowości te, ważne niezmiernie, nie widziane, niesłychane, powinny były ściągnąć na eleganckiego kupca ogólną niechęć publiczności szybowskiej. Nie ściągnęły jednak. Zrazu wprowadziły ci i owi poszeptowali pomiędzy sobą, że jest on misnadzinem, postępowcem, i w rzeczach wiary indyferentem. Podejrzenia te jednak rozproszyły się szybko, a siłą, która je zażegnała, była nadzwyczajna łagodność, uprzejmość i giętkość Elego. Grzeczny zawsze, uśmiechniony, pogodny, nie sprzeczał się nigdy z nikim, ustępował każdemu, potwierdzał wszystko, spierają-

cych się ludzi unikał, aby nie być zmuszonym do wzięcia strony jednego z nich, a obrażenia na siebie drugiego, jeżeli zaś w żaden sposób uniknąć nie mógł, to tak ładnie, płynnie, słodko i przekonująco przemawiać umiał, iż zwaśnione strony elokwencją jego zachwycone miękły, godziły się, a dla niego wdzięczność i uwielbienie w sercach unosiły mówiąc z zachwytem: „A kługer mentsz!“ Co do właściwych obyczajów i religijnych przepisów, Witebski okazywał się ortodoksem doskonałym. Świecił sabaty i zachowywał koszy z punktualnością najdrobiazgowszą; wielkiemu rabinowi, ilekroć go spotkał, kłaniał się bardzo nisko i umiał nawet to, czego nikt w gminie całej nigdy nie potrafił — rozchmurzać posępne czoło i rozjaśniać zadumane oczy mędrca wesołymi przypowieściami jakimiś, branyimi nie wiedzieć skąd, ale układanymi zawsze w ten sposób, iż posiadały coś z mistycznego lub patriotycznego zapachu i trafiały tym do smaku najsurowszym nawet słuchaczom. Niewiele czasu spędzał on w domu jeżdżąc wciąż po świecie za interesami, którymi zajmował się gorliwie, ale ilekroć znajdował się w Szybowie, widywano go nieodmiennie w bet-ha-midrachu słuchającego ze czcią przynależną mądrych nauczai rabina Todrosa i uśmiechającego się z lubością, gdy kilkunastu lub kilkudziesięciu starych i młodych mędrców gminy zawzięcie toczyło ze sobą pilpul, czyli rozprawy i spory nad różnymi komentarzami i komentarzami komentarzów, których pełnymi są dwa tysiące pięćset drukowanych arkuszy Halachy, Hagady i Gemary. W domie modlitwy bywał też zawsze, ilekroć bywali tam wszyscy, a jeżeli nie mógł zaliczyć się do rzędu najgoręcej modlących się, więc najgłośniejszych krzyczących i najgwałtowniej kołyszących się nabożnych, to jednak postawa jego i wyraz twarzy bywały nieodmiennie i doskonale przystojne.

Nie należy przecież mniemać, aby postępując w ten sposób Witebski był obłudnikiem. Bynajmniej; lubił on szczerze zgodę i spokój, nie chciał więc ich zamącać sobie ni in-

nym. Powodziło mu się w życiu, szczęśliwym i zadowolonym czuł się, lubił więc ludzi wszystkich i najzupełniej, najszczerzej było mu to obojętnym, czy człowiek, z którym do czynienia miał, talmudystą był, kabalistą, chasydem, prawowiernym, odszczepieńcem lub nawet edomitą, byleby tylko nie szkodził mu osobiście. O edomitach zresztą dowiedział się po raz pierwszy wtedy dopiero, gdy do Szybowa przyjechał; w kółku bowiem, w którym obracał się dotąd, nazywano chrześcijan *g o j a m i*, ale to rzadko kiedy i tylko pod wpływem wyjątkowych uczuć gniewu lub obrazy, najczęściej zaś po prostu chrześcijanami. Gdy jednak przyjechał do Szybowa i usłyszał o edomitach, pomyślał w duchu: „Niech sobie będą i edomici!“ Odtąd też nie dawał innej nazwy chrześcijanom, gdy rozmawiał o nich z którymś z szybowskich mieszkańców. Ale nie było w tym nazywaniu ani najmniejszej odrobiny nienawiści albo choćby niechęci. Edomici nic mu dotąd osobiście złego nie wyrządzili, za cóż by więc miał ich nie lubić? Poza Szybowem przyjaźnił się z nimi, i wielu z nich nawet lubił, ale w Szybowie — jak wszyscy, tak i on!

Religijną edukację otrzymał on był w dzieciństwie, ale potem rozwiało się jakoś wszystko i rozproszyło z pamięci jego wśród świeckich całkiem zatrudnień i starań. W Jehowę wierzył i czcił go głęboko, o Mojżeszku wiedział, coś także o starożytniej niewoli babilońskiej i nowożytnych dziejach żydowskiego narodu, ale co się tyczy głębszych rzeczy tejże natury, nie znał się na nich wcale. W gruncie niewiele go też obchodziło, co i jak powiedział lub nakazał tanaita albo rabin jaki. Nie przeczył jednak niczemu ani słowem, ani postępkami, ani nawet myślą. Robił wszystko, co wszystkim przykazanym było, mówiąc sobie: „Co to szkodzi! Może to tak sobie ludzkie wymyślenie jest, a może i rozkazanie samego Boga. A jeżeli to rozkazanie Boga, na co ja mam przeciw sobie Jego obracać?...“

Dyplomatyżując w ten sposób z ludźmi i Bogiem nie obawiał się niczego i dobrze mu było na świecie.

Byłoby mu na świecie zupełnie a zupełnie dobrze, gdyby nie przywiózł był ze sobą największej i najbardziej dla mieszkańców Szybowa zdumiewającej nowości, żony swej Hany. O ile on żyjąc w małej miejscinie pragnął i usiłował okazywać się takim, jakimi byli wszyscy, o tyle najpilniejszym staraniem pani Hany było czynić inaczej niż wszyscy. Gdy przebywali wśród szerszego świata, panowała pomiędzy nimi harmonia niebieska, oparta zresztą na rzeczywistym przywiązaniu i jednostajności gustów. Tu jednak pani Hana stała się dla męża swego przedmiotem ciągłego kłopotu i niejakiej obawy.

Pani Hana rozkochana była w cywilizacji, która przedstawiała się jej w postaci ładnych sukien, własnych włosów na głowie, pięknie umeblowanych pokojów, bardzo grzecznego obchodzenia się z ludźmi, francuskiego języka i muzyki. Za muzyką przepadała. Mieszkając w dużym mieście chodziła zawsze słuchać jej do publicznego ogrodu, gdzie przechadzając się z przyjaciółkami swymi w szeleszczącej jedwabiem sukni i kwiecistym kapeluszu i przypatrując się pięknym panom rozmawiającym grzecznie z pięknymi paniami czuła się doskonale szczęśliwą, a bardziej jeszcze z towarzyskiego położenia swego w świecie dumną. Pewne szczególnie produkty cywilizacji wprawiały ją w prawdziwy zachwyt. Raz ujrawszy kędyś w publicznym ogrodzie jakimś fontannę przypatrywała się jej przez parę godzin z rozkoszą niewysłowioną, a wróciwszy do miasta swego, które nie posiadało jeszcze fontanny żadnej, przez rok cały opowiadała przyjaciółkom swym o widzianym nadzwyczaj pięknym zjawisku. Zwierciadła posiadały też szczególną jej predylekcję i ilekroć znalazła się naprzeciw jakiejś tafli zwierciadlanej większych nieco rozmiarów, nie mogła oczu oderwać od niej, a zwłaszcza od ukazującego się w niej obrazu własnej osoby, którą znajdowała wcale piękną, wówczas zwłaszcza, gdy miała w uszach złote kolce, a na gło-

wie ładny czepeczek z kwiatami. Co do filozofii religijnej i w ogólności życiowej, na tej pani Hana mniej jeszcze знаła się od męża swego. W Pana Boga wierzyła, a nawet w głębi serca srodze się Go bała, i w szatanów wierzyła bojąc się ich jeszcze srożej niż Pana Boga; wierzyła także w to, iż ktokolwiek cienia swego w noc świąteczną nie zobaczy, ten w ciągu roku umrze, i w to jeszcze, iż kto świecę postawioną na saba-towym stole z miejsca poruszy, temu wielkie nieszczęście może stać się. W zamian przecież w wiele innych rzeczy zupełnie tamtym podobnych nie wierzyła nazywając je wzgardliwie zabobonami, będąc zaś gospodynią skrzętną i zapobiegliwą znajdowała w duszy, iż lepiej by było daleko, aby żydzi jedli takie samo mięso, jak chrześcijanie, bo przychodziłoby im ono daleko taniej, i aby w gospodarstwie niepotrzebnym było takie wielkie mnóstwo naczyń kuchennych, które istnieć muszą w każdym domu prawowiernym dla utrzymania jadła w stanie doskonałego koszeru. Co się zaś tyczy tkanin zawierających w sobie mieszaninę lnu i wełny, tych pani Hana, zamykając oczy i uszy na zakazy wszelkie, stanowczo używała, bo były one ładne i tanie.

Przybywszy do Szybowa pani Hana przerażoną formalnie została widokiem miejsca, do którego mąż ją przywiozł. Ani śladu cywilizacji! Publicznego ogrodu żadnego, muzyki grającej na otwartym powietrzu żadnej, fontanny ani śladu, pięknych pań i panów grzecznie rozmawiających ze sobą ani cienia, francuskiego języka ani echa! Gwałtu! Pani Hana położyła się do łóżka i zakopana w piernatach dwa dni i dwie noce płakała i lamentowała wołając, że ona tu nie wytrzyma, że umrze i dzieci swoje sierotami zostawi! Nie umarła przecież, z łóżka wstała, bo trzeba było sprzęty przywiezione rozpakować, gospodarstwo urządzić i dzieci ładnie poubierać, aby wychodząc pierwszy raz na ulicę zadziwiły pięknością swą i strojem całe to, jak wyrażała się pani Hana ze wzgardliwym gestem, „pospółstwo“. Wystrojone zostały, wybiegły i istotnie za-

dziwiły wszystkich. Była to pierwsza pociecha, której nieszczęsna wygnanka cywilizacji na wygnaniu swym doświadczyła. Przyszły potem różne inne pociechy tej podobne. Pani Hana zadziwiała, imponowała, czym mogła: strojem, meblami, manierą, wysłowieniem, a ilekroć zdarzyć się to mogło, czuła się niewypowiedzianie szczęśliwą. W gruncie była może szczęśliwszą jeszcze niż w opuszczonym przez się wielkim mieście. Tam patrzyła tylko na świat cywilizowany i pyszniła się tym, że jest drobną jego częścią, tu była samą cywilizacją, całą sumą cywilizacji, jaka istniała w Szybowie.

Zadziwianie to i imponowanie, które stanowiło teraz po gospodarstwie i dzieciach pierwsze zajęcie umysłu pani Hany i główne źródło jej szczęścia, nabawiało Elego niepokojem i obawą. Zasłyszal on ozywające się zrazu szemrania, iż m i s n a g d z i n e m był, dowiedział się, że publiczność oburzoną jest srodze na żonę jego, iż nosi ona tkaniny mieszane z lnu i wełny, w sobotę w domu swym samowar nastawiać każe i głośno z tym się odzywa, iż Szybów jest „nie na ziemi, ale pod ziemią“. Dowiedział się o tym, struchlał, i połowicy swej walki wytaczać zaczął: o tkaniny z lnu i wełny, o samowar w sobotę i o położenie nadziemne czy podziemne miasta Szybowa. Połowica walczyła długo, ale dyplomatyczny mąż zwyciężył w końcu co do tkanin i samowarów. Co do położenia Szybowa, nie zwyciężył, bo pani Hana, gdyby nawet najmocniej postanawiała z należytym uszanowaniem zostawać względem miejsca pobytu swego, nie potrafiłaby tego dokonać. Jeżeli usta jej milczały, mówiły za to oczy wzgardliwie przymrużające się, usta dumnie uśmiechnięte, strój zawsze wyszukany i maniera tak pełna wykwintnej grzeczności, iż grzeczniejszej nad nią trudno by chyba znaleźć na świecie.

W gruncie rzeczy pani Hana doskonale była szczęśliwą ze swym łagodnym, acz w niektórych razach stanowczym mężem, z ładnymi i zawsze ustrojonymi dziećmi i z wiekiustym w duszy poczuciem wyższości własnej nad wszystkim, co ją

otaczało. I jedną tylko miała istotną zgryzotę, a była to myśl, że nigdy już nie będzie mogła zaimponować mieszkankom Szybowa własnymi włosami, raz dlatego, że na odchowywanie ich było już za późno, następnie, że Eli na podobne publiczne zgorszenie i niebezpieczne narażanie się nie dozwoliłby nigdy. Nosiła więc bardzo piękną czarną perukę na strapionej swej głowie i pocieszała się myślą, iż chwila powrotu z Wilna córki jej Mery ostateczny już i największy sprowadzi jej tryumf. Eli niepokoił się tym mocno, że z pojawieniem się w miasteczku Mery okaże się ojcem nie takim, jak wszyscy szybowscy ojcowie, pani Hana zaś nie posiadała się z radości, iż okaże się matką inną niż wszystkie szybowskie matki.

Stało się na koniec. W miesiąc niespełna po rozmowie Elego z Saulem w bawialnym pokoju Witebskich znajdowało się pięć osób: trzy kobiety i dwóch mężczyzn.

A był to pokój bawialny nie lada! Przyozdabiała go kanapa sprężynowa zielonym rypsem wybita (jedyne tego rodzaju egzemplarz w całym Szybowie), kilka podobnych kanapie krzeseł i fotelów, spore zwierciadło na ścianie, dywanik na podłodze i fortepian. Był to wprawdzie fortepian nie pierwszej młodości. Owszem, politura w wielu miejscach starta, wąskość klawiatury i żółtość klawiszy zdradzały głęboką nawet jego starożytność. Zawsze jednak był to fortepian jedyny w całym Szybowie, a przywieziony tu przed rokiem, w przewidywaniu powrotu Mery i dla niej wyłącznie, wywołał był w miasteczku małą rewolucję, a serce pani Hany napełniał wciąż wielką dumą. Nie brakowało też w saloniku tym firanek u okien i kilku glinianych naczyń, w których rosły bardzo brzydkie, co prawda, i źle utrzymywane kaktusy i pelargonie. Zdarzyło się przecież raz, przed rokiem, że jeden z kaktusów wypadkiem jakimś rozkwitł. Pani Hana postawiła go na oknie od ulicy, a wszystkie dzieci z całego miasteczka zbiegały się pod dom jej i przypatrywały się godzinami całymi wielkiemu, czerwonemu kwiatowi.

Owóż, na sprężynowej zielonej kanapie siedziała pani Hana i siostra jej, kupcowa z Wilna, w której domu mieszkała Mera uczęszczając stamtąd przez trzy lata na pensję, a która teraz osobiście odwiozła do rodziców siostrzenicę swą przywożąc zarazem syna swego, Leopolda. Postać miała ona okazałą, tak jak i pani Hana, aksamitną mantylę, własne włosy na głowie i wiele złota wszędzie. Z dwóch stron stołu przed kanapą stojącego siedzieli gospodarz domu i młody siostrzeniec pani Hany, Leopold. Mera, ładna dziewczyna z płowymi włosami i białą twarzą, krążyła dokoła fortepianu pragnąc widocznie uderzyć co prędzej w klawisze, aby odgłosem hucznej muzyki swej napełnić całe miasteczko, ale nie śmiać uczynić tego, bo był to dzień sobotni.

W dzień sabatu na instrumencie żadnym grać nie wolno. Wiedziała o tym Mera, ale nie robiłaby sobie nic z tego, gdyby nie wzrok ojca, który wciąż zwracał się ku niej i strzegł ją tym od popełnienia grzechu. Tytoniu palić w dzień sabatu nie wolno także. Jednak młody Leopold, ładny, wysmukły chłopak lat dwudziestu, siedząc na fotelu w arcy niedbalej postawie palił papierosa, z którego, na domiar biedy, cienkie nici dymu przez otwarte okno ulatywały w świat. Eli wstał i okno zamknął. Na kształtnych ustach Leopolda ukazał się wzgardliwy uśmieszek, Mera nieznacznie ramionami wzruszyła, a pani Hana spłonęła całą wstydem czy gniewem.

Na stole, na posrebrzanej tacy, stały różne częstunki: konfitury w miodzie smażone, pierniki z miodu i maku, słodkie wino itd. Pani Hana uprzejmie raczyła gości swych przysmakami tymi, które uzupełniały obiad złożony z ryby gotowanej wczoraj i wczoraj upieczonemu kugla. Ale kupcowa z Wilna zajęta była czym innym wcale niż zjadaniem przysmaków. Z wielkim zajęciem i zachwyceniem przyglądała się ona pięknym złotym broszom, kolcom i bransoletom, które błyszczały przed nią na tle aksamitem wybitych pudełek, a z których

niektóre przyozdobione były nawet rubinami, perłami i brylantami.

Były to zaręczynowe podarunki, które Saul w imieniu Meira przysłał Merze nazajutrz zaraz po jej przybyciu do Szybowa. Od dwóch dni patrzyły już na nie matka i ciotka narzeczonej, a napatrzeć się jeszcze nie mogły. Matka Leopolda czuła się jednak zmartwioną nieco tym, że syn jej przywiózł przyrzeczonej sobie Lii podarunki nierównie skromniejsze niż te, które od Meira otrzymała Mera.

— Nu! szczęśliwa dziewczyna! — mówiła kołysząc głową — jej Pan Bóg prawdziwe szczęście dał! takie podarunki! tacy bogaci ludzie! Co to! a dlaczego on tu nie przychodzi? — zwróciła się z zapytaniem do siostry.

— Iii! — z pogardliwym gestem odrzekła pani Hana — to prości ludzie! U nich taki zwyczaj, że narzeczeni nie bywają u swoich narzeczonych!

— On młody! — wtrącił Eli — wstydzi się!...

Mera usiadła w tej chwili przy stole i oparłszy głowę na rękę smutnie jakoś zamyśliła się. Leopold w zamian zaśmiał się głośno.

— Już ja pewno nie poślę zaręczynowych podarunków — rzekł — dopóki dziewczyny tej nie zobaczę!

— Nu! ty ją zobaczysz! — uspokajająco odrzekła matka — my do nich dziś z wizytą wszyscy pójdziemy!

— A co to za dziewczyna? — zapytała znowu siostry.

— Iii! — odparła jak pierwszej pani Hana — prosta dziewczyna!

— Ojciec jej, Rafał, daje za nią sześć tysięcy rubli! — wstrząsnął Eli.

Leopold ściągnął brwi chmurnie.

— A co mnie z tego? — rzekł — czy ja mogę z sześciu tysięcy utrzymać się?

— Handel zaczniesz! — zauważył kupiec.

Ale matka ładnego chłopca z gniewem nieledwie zwróciła się ku szwagrowi:

— Handel! — zawołała — on nie do handlu wychowany! Czy my na to dawaliśmy jemu wielką edukację, żeby on handlował? On pięć klas skończył i urzędnikiem jest! Teraz on bierze małą pensję, to prawda! ale co to można wiedzieć, co z człowiekiem stanie się! On może gubernatorem będzie! Co to można wiedzieć?

Leopold podniósł brwi w sposób oznaczający, iż czuł się w istocie stworzonym do przepowiadanych mu przez matkę zaszczytów i że przeciw ukazywanej mu perspektywie gubernatorstwa nie a nie nie miał.

Eli uśmiechnął się nieznacznie, ale nie zaprzeczył niczemu. „A co to szkodzi — myślał — że oni głupstwa gadają? niech sobie gadają!“

W tejże chwili ładniutka Mera podniosła utrefioną główkę i do ciotecznego brata przemówiła:

— Cousin! comme c'est ennuyant ici!

— Oui, cousine! cette vilaine petite ville est une place très ennuyante! — odparł wydymając usta młody człowiek.

Siedzące na kanapie matki nic a nic nie rozumiały, ale spojrzały wzajem na siebie, zarumieniły się z radości, a pani Hana wyciągając przez stół pulchną swą rękę pogłaskała nią włosy córki.

— Fiszele! — rzekła z nieopisanym uśmiechem błogości i miłości na ustach.

Na Elim francuskie mówienie córki sprawiło także niejakie wrażenie. Twarz jego, stroskana nieco w dniu tym, stała się znowu pogodną jak zwykle. Wstał i zawołał wesoło:

— Nu, chodźmy! już czas!

Po kilku minutach całe towarzystwo zstępowało z ganku na ulicę. Eli miał znowu minę zafrasowaną. Nic na świecie heretyczniejszym być nie mogło jak ubranie młodego jego krewnego. Składało się ono z krótkiego modnego tużurka, po-

łyskującego obuwia i bardzo szeroko roztwartej kamizelki, która ukazywała całe piersi okryte śnieżnej białości koszulą. W dodatku, młodzieniec ten miał na głowie malutką, zgrabną czapeczkę z urzędniczą srebrną gwiazdką i — przed wyjściem z domu zapalił znowu papierosa.

Elemu z trudnością przychodziło sprzeciwiać się komukolwiek w czymkolwiek, tym bardziej więc gościowi swemu i ulubieńcowi dwóch wspaniałych kobiet, które swoją drogą szanował też wielce. Wyszedłszy jednak na ganek i spostrzegłszy tłumy ludu, które w dzień sobotni jak mrowie wychodziły na słońce, nie mógł powstrzymać się od przestrogi.

— Słuchaj, Leopold! — rzekł z cicha i łagodnie — rzuć ty tego papierosa! To głupi lud! na co jego przeciw sobie obracać!... A może — dodał natychmiast — i sam Pan Bóg zabronił palić w sabat! co to można wiedzieć?

Leopold zaśmiał się głośno.

— Już ja nie boję się niczego! — rzekł i zbiegłszy z ganku podał ramię Merze.

Leopold tedy i Mera szli przodem trzymając się pod ręce. Za nimi postępowały dwie wspaniałe matki w bombiastych sukniach, aksamitnych mantylach i kapeluszach z ogromnymi kwiatami. Eli zamykał orszak idąc z wolna, z twarzą widocznie stroskaną i z rękami w tył założonymi.

Jeżeli zwrócenie na siebie uwagi liczного tłumu poczytany być może za tryumf, pochod rodziny Witebskich przez plac miasteczka był tryumfalnym pochodem. W mgnieniu oka zbiegła się za nimi ogromna gromada dzieci różnej płci i wieku i z cichymi zrazu okrzykami, potem z wrzaskiem nieopisanym biec za nimi zaczęła. Wkrótce do dzieci przyłączyli się podrastający, a nawet całkiem dorośli ludzie; dostojniejsze rodziny wysypały się na ganki domostw otaczających rynek, we wrotach szkolnego dziedzińca stał mełamed w zwykłym pierwotnym ubraniu swym i nie chcąc jakby wierzyć wła-

snym szeroko rozwartym oczom, patrzył na sunące rynkiem dziwowisko.

Największą jednak uwagę zwracała na siebie młoda para idąca przodem: Leopold w swym eleganckim tużurku i z papierosem przy ustach i Mera w zbyt bombiastej nieco, barwnej sukni zwieszona na ramieniu kuzyna i krygująca się nieco, aby tym lepiej okazać swą wielkoświatową manierę.

Eli szedł jak po żarzących się węglach, pani Hana stała jak po wawrzynach. Kupcowa z Wilna rozglądała się po ciemnym tłumie z przymrużonymi oczami i podniesioną głową.

— Zi! Zi! a szejne puryc! a szejne panienkies! — krzyczały dzieci biegnąc, skacząc, palce wyciągając i chmury pyłu nogami podnosząc.

— Kto oni są? czy to izraelici? — zapytywali dorośli i palcami wskazywali na krótkie ubranie i papieros Leopolda.

— Misnagdzin! — nagle ktoś krzyknął w tłumie i mały kamuszek, nie wiedzieć przez kogo rzucony, przeleciał obok głowy Leopolda. Młody człowiek zbladł i odrzucił papieros, przedmiot ogólnego zgorszenia. Eli zmarszczył czoło. Ale pani Hana wyżej jeszcze podniosła głowę i dość głośno rzekła do siostry:

— Nu! trzeba im to przebaczyć! to taki ciemny lud!

Leopold przecież nie przebaczył ciśnionego nań kamuszka; widać to było po zalęknionych oczach jego a zaciśniętych ustach, z jakimi wszedł do bawialnej izby Ezofowiczów.

Tam na honorowym miejscu, więc na kanapie z żółtą poręczą, siedział stary Saul w otoczeniu synów swych, synowych i kilkorga starszych wnuków. Przy jednym z okien w wygodnym fotelu siedziała ubrylantowana jak zwykle i jak zwykle drzemiąca prababka, przy drugim stał Meir.

Kiedy rodzina Witebskich weszła do obszernej bawialnej izby, Meir przelotnie tylko spojrzął na Merę, jakby osoba jej nie obchodziła go wcale, ale ciekawy, bystry, gorący wzrok

utkwiał w Leopolda. Zdawałoby się, iż pragnął co najprędzej zbliżyć się ku człowiekowi temu przybywającemu z szerokiach światów i przeniknąć go na wskrós.

Przez czas jakiś jednak trwały gwarne powitania i wstępne rozmowy. Saul nie opuścił honorowego miejsca swego na kanapie, córka jego, Sara, żona Bera, robiła honory domu częstując gości przysmakami i podziwiając głośno piękność kapeluszków i sukien przybyłych pań.

Mera usiadła z gracją na brzeżku prostego stołka i bawiona przez nieśmiałą, zawstydzoną, a razem rozradowaną Liję, rzucała z ukosa wejrzenia na stojącego u okna młodzieńca, o którym domyśliła się, że był jej narzeczonym. Ani razu przecież nie spotkała się z jego wzrokiem. Meir zdawał się nie wiedzieć wcale o jej istnieniu, patrzył wciąż na Leopolda.

Pani Hana opowiadając z ożywieniem wielkim i dumą niemniejszą otaczającym ją kobietom o pięknej fontannie, którą widziała kiedyś na wielkim świecie, i o muzyce grającej co niedzieli w publicznym ogrodzie wileńskim rozglądała się po bawialnej izbie Ezofowiczów. Naprawdę, izba ta, obszerna i schludna, ze swym długim stołem rodzinnym pośrodku, z prostymi drewnianymi stołkami i figurującą wśród nich odwieczną, żółtą kanapą, posiadała charakter zamożności, oszczędnej a porządnej, i była niezrównanie piękniejsza od pstrego saloniku pani Hany. Znajdowały się w niej też dwie szafy: jedna oszklona i pełna starych ksiąg, które, wedle tradycji rodzinnej, należały niegdyś do Michała Seniora, druga napełniona naczyniami stołowymi, a u szczytu której stał połyskujący jak złoto ogromny samowar. Kiedy oczy pani Hany upadły na ostatni ten przedmiot, spłonęła ona lekkim rumieńcem zawstyżenia. Samowar w bawialnym pokoju rodziny jej przyszłego zięcia! Było to wręcz sprzeczne ze wszystkimi przepisami cywilizacji, o których wiedziała! Wnet potem jednak z wysoce nieprzystojnego przedmiotu tego wzrok jej przesunął się na barczystą i drzemiącą w fotelu postać prababki.

W tej chwili promień zachodzącego słońca padał na nieruchomą postać tę i roziskrzył klejnoty, którymi była okryta. Jak gwiazda płomienna jaśniało nad pomarszczonym czołem spięcie barwistego zawoju, kolce u uszów rzucały tysiące iskier, a perły okrywające pierś przybrały bladoróżową barwę.

Pani Hana lekko trąciła siostrę ramieniem.

— Zi! — szepnęła wskazując jej głową prababkę — jakie brylanty!

Kupcowa z Wilna aż przymrużyła oczy z zachwyty.

— Aj! aj! — zawołała — toż to skarby! A na co takie starej kobiecie takie bogate rzeczy na sobie nosić? co jej z tego?

Usłyszał wykrzyk ten stary Saul i z grzeczną powagą pochylając się ku gościom wyrzekł:

— Ona sobie na to zasłużyła, żeby u nas takie poważanie mieć i żebyśmy ją wszystkimi drogościami okrywali, jakie cała nasza familia posiada. Ona była koroną swego męża i my wszyscy, jak gałęzie od drzewa, od niej początek bierzem!

Przymrużył nieco oczy, zakolysał głową i mówił dalej:

— Ona bardzo stara jest teraz, ale kiedyś była młodą i bardzo piękną. A gdzie piękność jej podziela się? Ją starły te lata, te miesiące i te dni, co przeleciały nad nią jak te ptaki, które jeden za drugim lecąc obrywają z krzaka po ja-godzie, aż wszystkie oberwą. Ona teraz ma wiele zmarszczek na swojej twarzy, to prawda! Ale skąd wzięły się te zmarszczki? Ja to wiem, bo kiedy ja na nie patrzę, to w każdej z nich widzę jakiś obraz. Kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona na powiekach i przy oczach swoich ma, to ja przypominam sobie, jak byłem mały i chorowałem bardzo, a ona nad kołyską moją siedziała, śpiewała mi do snu, a z jej oczu lały się łzy. A kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona ich tak wiele na policzkach swoich ma, mnie przypominają się wszystkie kłopoty i zgryzoty, które ona przenosiła, jak wdową została,

drugi raz za mąż nie chciała iść, a handel sama prowadziła i powiększała majątek swoich dzieci. A jak patrzę na tę zmarszczkę, co ona ją pośrodku czoła swego nosi, mnie zdaje się, że ja widzę ten moment, jak dusza ojca mego, Hersza, rozwiódła się z ciałem i jak moja matka padła na ziemię jak nieżywa i długo tak leżała nie płacząc, nie krzycząc, nie jęcząc, tylko wzdychając bardzo cicho: „Hersz! Hersz! mój Hersz!“ Był to największy smutek, co spotkał ją w jej życiu, i od tego powstała pośrodku jej czoła największa zmarszczka...

Tak prawili stary Saul ze wskazującym palcem uroczyście wzniesionym w górę i z zamyślonym uśmiechem na żółtych wargach. Słuchające go kobiety wstrząsały głowami współsmutnie, współprztywierdzając i spoglądając na siebie mówiły z cicha:

— Herst! herst!

Pani Hana zaś była tak rozrzuwnioną i zachwyconą, że aż łzy ukazały się na jej rzęsach. Otarła je batystową chustką, którą trzymała wciąż w ręku, a potem rękę tę wyciągnęła ku Saulowi.

— Danke! danke! — mówiła z uśmiechem wdzięczności na ustach.

— Danke! — powtórzyła za nią większość obecnych, a kupcowa z Wilna, Witebski i parę innych obcych rodzinie osób rzekli półgłosem:

— A kluger mensz! erlycher mensz!...

Miłość i cześć synowska okazana przez Saula, a także obrazowe opowiadanie jego o macierzyńskich zmarszczkach mile wzruszyły tu wszystkie serca i wyobraźnie.

Młody Leopold tylko, który dotąd albo siedział mileczący i chmurny, albo półgłosem do Mery po francusku przemawiał, powstał z miejsca swego i zbliżył się ku oknu, przy którym stał Meir. W koło kanapy rozpoczęła się znowu ożywiona rozmowa zagajona wyrażonym przez panią Hanę ubolewaniem, że była to sobota i że fortepianu tu nie było, że zatem córka

jej nie może zagrać takich pięknych melodii, że od nich rozpiera się jej serce, a przed oczami staje ogród botaniczny wileński, grająca w nim orkiestra i rozmaite inne rzeczy należące do utraconego przez nią raju cywilizacji.

Dwaj młodzi ludzie pozostali w odosobnieniu zupełnym, rozmowy ich usłyszeć nikt nie mógł. Zdawało się, że Leopold nie miał zrazu zamiaru przemówienia do Meira. Oddalił się on od towarzystwa w innym wcale celu, w celu, który zdradzała wydobyta z kieszeni kamizelki srebrna cygarnica. Ale Meir, gdy tylko zobaczył go zmierzającego ku sobie, postąpił parę kroków naprzód. Twarz jego zajaśniała radością.

— Jestem Meir, wnuk Saula — rzekł podając gościowi rękę — chcę bardzo ciebie poznać, ażeby wiele rzeczy tobie powiedzieć i od ciebie posłyszeć...

Leopold uklonił się wykwintnie, lecz ceremonialnie i za ledwie dotknął otwartej, ciepłej dłoni rówieśnika. Smutek mignął w rozjaśnionych radością oczach Meira.

— Ty nie bardzo chcesz mię poznać — rzekł — i ja temu nie dziwię się. Ty jesteś edukowanym, nauki wszystkie posiadasz, a ja prosty Żyd, który Biblię i Talmud zna dobrze, ale więcej nic. Jednak ty mię posłuchaj! Ja wiele różnych myśli w mojej głowie noszę, ale tylko one jeszcze w nieporządku są. Może ty mi powiesz co takiego, co mię mądrym zrobi!

Leopold słuchał mowy tej, drżącej naprzód łagodną pokorą, a potem zapalem młodzieńczym, z ciekawością, w której był też odcień szyderstwa.

— I owszem! — rzekł — jeżeli pan chce dowiedzieć się czego ode mnie, to ja panu powiem! Czemu nie? ja wiele mogę powiedzieć!

— Leopold! ty nie nazywaj mnie panem. Mnie to przykro, bo ja ciebie bardzo kocham...

Leopolda zdziwiło widocznie naiwne to oświadczenie.

— Mnie to bardzo miło — wymówił — ale my pierwszy raz widzimy się z sobą!

— To nie! — zawołał Meir — ale ja dawno już chciałem zobaczyć takiego izraelitę, jak ty jesteś... i powiedzieć jemu, jak rabbi Eliezer powiedział jerozolimskiemu mędrcom: „Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim nauczycielem!”

Tym razem zdziwienie wyraźnie już bardzo odmalowało się na twarzy młodego światowca i wyraźniejszym stał się towarzyszący mu odcień szyderstwa. Widać było, że nie a nie nie rozumiał sensu mowy młodzieńca i że wydawał się on mu wpółdzikim człowiekiem.

Meir w zapale swym nie spostrzegł wywieranego przez się wrażenia.

— Leopold! — zaczął — wiele ty lat uczyłeś się w cudzej szkole?

— W jakiej cudzej szkole? — zapytał Leopold.

— Nu, w tej szkole, w której różnych nieżydowskich nauk ludzie uczą się?

Leopold zrozumiał. Przymrużył oczy, wyjął usta i odpowiedział:

— No! ja do gimnazjum przez pięć lat chodził!

— Pięć lat! — zawołał Meir. — To ty bardzo uczonym jesteś, kiedy tak długo do tej szkoły chodziłeś!

— No — z pobłażliwym uśmiechem odparł gość — są na świecie ludzie i uczeńsi jeszcze ode mnie!

Meir przybliżał się coraz do towarzysza i oczy jego coraz goręcej błyszczały.

— A czego tam uczą w tej szkole? — zapytał.

— Różnych rzeczy!

— A jakie to są te różne rzeczy?

Leopold z ironicznym nieco uśmiechem na ustach z wolna recytować zaczął:

— No! różnych rzeczy tam uczą! Języka łacińskiego, greckiego, francuskiego, matematyki, zoologii, fizyki, historii...

Przerwał mu żywo Meir:

— I ty wszystkie te nauki znasz?

— A jakże! — odpowiedział gość.

— A co ty teraz z tego robisz?

Pytanie to, wymówione z ciekawością nadzwyczajną, wpadło w osłupienie ładnego chłopca.

— Jakto: co robię? — zapytał.

— Nu, ja chcę wiedzieć, jakimi myślami nauki te napęły twoją głowę i co ty z myślami swymi na świecie robisz?

— No! jakto: co ja robię? Ja urzędnikiem jestem, w kancelarii samego gubernatora ważne bardzo papiery przepisuję. Meir pomyślał chwilę.

— To nie, że ty w kancelarii papiery przepisujesz, ja nie o tym chciałem wiedzieć. Ty to dla zarobku robisz. Każdy człowiek zarabiać musi. Ale ja chciałem wiedzieć: co ty sobie myślisz, jak czasem sam jeden zostaniesz się, i co tobie te myśli twoje robić na świecie każą?

Leopold szeroko otwierał oczy.

— No! — zawołał zniecierpliwiony — o czym ja mam myśleć? Ot, jak powrócę z biura, to siedzę sobie w domu, papierośka palę i myślę, że jak ożenię się i posag wezmę, a ojciec mi odda to, co mi od niego należy się, kamienicę sobie kupię, na dole w kamienicy piękne sklepy urządzę, pierwsze piętro bogatym jakim ludziom warendę puszczać, a sam na drugim mieszkać będę. Teraz nawet sprzedają tam jedną kamienicę bardzo piękną, i ja bym ją chciał sobie kupić. Ona ze dwa tysiące rubli na rok dochodu da i oficyny są przy niej dobre...

Tym razem przyszła na Meira kolej dziwienia się.

— I ty, Leopold, o niczym więcej nie myślisz tylko o tej kamienicy? — zapytał.

— No, a o czym ja mam myśleć? U mnie, dziękować Bogu, kłopotów żadnych na głowie nie ma. Mieszkanie i stół u rodziców mam, a na ubranie się wystarcza mi ta pensja, co ją w kancelarii biorę.

Meir utkwiał wzrok w ziemi. Na czole jego zarysowała się zmarszczka, jak zwykle u niego bywało, gdy uczuwał się czymś przykro dotkniętym.

— Słuchaj, Leopold — rzekł po chwili głębokiego namysłu — czy tam u was, w wielkim mieście, nie ma wcale biednych i ciemnych Żydów?

Leopold zaśmiał się.

— A gdzie ich nie ma? Jest ich i tam bardzo dużo!

— A co ty sobie myślisz, kiedy na nich patrzysz? — gwałtownie zapytał Meir.

— Co ja mam myśleć? Myślę, że oni bardzo głupi i brudni są!

— I ty patrząc na nich o niczym więcej nie myślisz? — powtórzył Meir, ale szeptem już prawie. Ciężar jakiś bolący spadał mu znać na serce.

Leopold otworzył cygarnicę i wydobywać z niej zaczął papierosa. Meir w zamyśleniu swym nie zwrócił na to uwagi.

— Leopold! — zaczął po chwili z rozbudzoną na nowo energią — ty tej kamienicy w wielkim mieście nie kupuj!

— A dlaczego ja jej kupować nie mam?

— Ja tobie powiem dlaczego. Tobie siostrę moją stryjeczną, Lijkę, przyrzekli. To dobra i rozumna dziewczyna. Ona edukacji żadnej nie ma, ale chciała zawsze ją mieć i bardzo ucieszyła się, jak jej powiedzieli, że ona edukowanego męża będzie miała. Ty z nią ożenisz się, a jak ożenisz się, to poproś wielkich urzędników, żeby tobie w Szybowie pozwolili szkołę dla Żydów urządzić, taką szkołę, w której by nie tylko Tory i Talmudu, ale i innych cudzych nauk uczyli... Ty sam nad tą szkołą całą zarząd będziesz trzymał, a mnie nauczysz, jak ja tobie pomagać mam...

Leopold śmiał się, ale Meir cały rozpromieniony radością, jaką sprawiał mu pomysł własny, nie spostrzegając tego. Pochylił się bardziej jeszcze ku towarzyszowi i na ucho mu prawie szeptał:

1
— Ja tobie powiem, Leopold! U nas w Szybowie wielka ciemnota panuje i jest wielu bardzo biednych ludzi, co w wielkiej nędzy żyją. Ale są tutaj i tacy ludzie, oni wszyscy młodzi, którym bardzo smutno, że oni innego świata i innych nauk nie znają. Oni bardzo chcieliby je poznać, ale nie ma nikogo, kto by pomógł duszom ich z ciemnicy powychodzić. I jest tu jeden wielki rabin, Izaak Todros, bardzo srogi, którego wszyscy lękają się, i są tu kahalni urzędnicy, którzy biedny naród bardzo uciskają... Żebyś ty tu przyjechał i innych edukowanych ludzi ze sobą przywiózł, i razem z nimi dopomógł nam wszystkim wyjść z ciemnoty, biedy i smutku!

Mówił to wszystko z nadzwyczajnym zapalem, z tryumfującym czołem i gorącą prośbą w głosie. Lecz nic dorównać by nie mogło zdziwieniu i zarazem szyderstwu, z jakim mowy jego słuchał młody Leopold. Wydobywał on teraz ze srebrnego pudełeczka zapalnik i twarz pochylił nieco, aby nie ukazać wstrząsających nią uśmiechów.

— Nu — rzekł Meir — co ty sobie myślisz o tym, co ja powiedziałem? czy to dobry projekt?

Leopold dotknął ściany końcem zapalnika i odpowiedział:

— Ja myślę sobie, że jak ja o twoim projekcie powiem mojej rodzinie i moim kolegom w biurze, to oni z niego bardzo będą śmiać się...

Iskrzące się przedtem oczy Meira zgasły nagle.

— Z czego tu śmiać się? — szepnął.

W tejże chwili Leopold zapalił trzymany w ręku papieros. Błękitny, wonny dymek rozszedł się po izbie i zaleciał ku miejscu, w którym liczne towarzystwo obsiadywało stół przed żółtą kanapą. Rafał i Abram popodnosili głowy ze zdziwieniem i obejrzelili się. Spojrzał też w stronę okna stary Saul i przypodniósł się nieco z kanapy.

— Bardzo przepraszam — rzekł grzecznie, ale stanowczo — ja nie pozwalam, żeby w moim domu ludzie robili to, czego nie pozwala święty nasz zakon!

Rzekłszy to usiadł znowu patrząc jednak na Leopolda spod siwych brwi, które zjeżyły się nieco.

Leopold zarumienił się do szkarłatu, rzucił papieros na ziemię i z tłumionym gniewem zgasił go nogą.

— No! jaka tu u was grzeczność! — rzekł do Meira.

— A na co ty, Leopold, w sabat papierosy palisz?

— A ty nie palisz? — z ironią i niedowierzaniem patrząc w oczy towarzyszowi zapytał gość.

— Nie palę — stanowczo odparł Meir.

— To ty chcesz dusze ludzkie z ciemnicy wyprowadzać, a wierzysz, że nie palić tytoniu w sabat to święty zakon?

— Nie, ja w to dawno przestałem wierzyć! — równie stanowczo jak pierwszej odparł Meir.

— To ty chcesz buntować ludzi przeciw wielkiego rabina i kahalnych, a sam ustępujesz?...

Oczy Meira zaświeciły znowu, ale tym razem gniewnie jak koś i jakby szydersko.

— Żeby szło o to — zaczął — aby jaką duszę ludzką od ciemnoty albo jakie ciało ludzkie od nędzy wybawić, ja bym nie ustępował, bo to ważne rzeczy są... ale kiedy idzie o to, czy ustom moim przyjemność zrobić — ja ustępuję, bo to głupstwo jest... a choć ja nie wierzę, aby zakon ten świętym był i od samego Pana Boga pochodził, ale starsi w to wierzą, a mnie się zdaje, że kto starszym sprzeciwia się dla głupstwa — ten wielką niegrzeczność robi!

Leopold wysłuchawszy przemówienia tego odwrócił się od Meira i poszedł ku siedzącej wciąż na brzeżku krzesła Merze. Meir wiódł jeszcze za nim przez chwilę wzrokiem, w którym malowały się uczucia zawodu i gniewu, potem odszedł od okna i szybko izbę opuścił.

Nagle to oddalenie się młodego człowieka wywarło silne wrażenie na kobiecej części towarzystwa. Mężczyźni zaledwie zwrócili na nie uwagę, tak im się to naturalnym, a po części i chwalebny, wydawało, że narzeczony przez skromność i za-

wstydenie unikał widoku wybranej dla siebie przez starszych oblubienicy. Ale kupcowa z Wilna i pani Hana zasępiły się widocznie, a Mera pociągnęła matkę za suknię i szepnęła:

— Maman! idźmy już do domu!

Meir tymczasem szybko zmierzał ku mieszkaniu przyjaciela swego, Eliezera, lecz zajął tylko przez otwarte okno niskiej budowy i poszedł dalej, bo izdebka kantora była pustą. Wiedział znać, gdzie szukać towarzyszy swych. Zdązał prosto ku znajdującej się za miasteczkiem łące.

Jak przed kilku tygodniami łąka ta, prawdziwa tu oaza ciszy i świeżości, kąpała się cała w różowych blaskach zachodu. Porastające ją bujne trawy nie posiadały już wprawdzie wiosennej szmaragdowej barwy, bo zwarzyły je nieco letnie upały. W zamian rozkwitały pośród nich puszyste kępy albo wysmukłe kielichy dzikich kwiatów napełniających powietrze mocnymi woniami.

U stóp gaju, pod gęsto rosnącymi brzoźami, siedziała i wół leżała na trawie gromadka ludzi złożona z dorosłych już, lecz jeszcze bardzo młodych mężczyzn. Jedni z nich, pochyleni ku sobie, rozmawiali półgłosem, inni machinalnie rwali wzrastające dokoła nich rośliny i układali z nich barwiste wieże, inni jeszcze, z twarzami zwróconymi ku błękitnym obłokom, po których mknęły złotawe chmury, nucili z cicha.

Opodal nieco, przy sadzawce, której brzegi zwieńczone były teraz gęstymi kępami niezapominajek, a powierzchnię pokrywały długie liście i szerokie kwiaty wodnych roślin, siedziała w nieruchomej postawie wysmukła dziewczyna z ciemną, chudą twarzą, z ogromnymi, czarnymi oczami i koralowym naszyjnikiem opadającym na grubą koszulę. Obok niej, wśród kalinowych krzaków obciążonych gronami pąsowych jagód, pasła się biała koza skubiąc tu i ówdzie trawę i liście.

Meir szybko zdązał ku gromadce młodych ludzi czerniejącej u stóp gaju. Widać było, że oni także oczekiwali przyby-

cia jego z niejaką niecierpliwością, bo ci z nich, którzy leżeli na trawie, spostrzegłszy go przypodnieśli się i usiedli z wlepionymi w twarz jego oczami.

Wszedł pomiędzy towarzyszy swych nie witając ich ani jednym słowem, nie patrząc prawie na nich i usiadł na obalonym burzą grubym pniu brzozowym. Smutnym wydawał się, ale bardziej jeszcze gniewnym. Młodzi ludzie milczeli i patrzali na niego z niejakim zdziwieniem. Eliezer, który leżał na trawie z ramieniem wspartym o kłodę, na której usiadł Meir, pierwszy zapytał:

— Nu, a co? widziałeś jego?

— Widziałeś jego? — powtórzyło teraz chórem kilka głosów. — Jaki on jest? czy on bardzo uczony i rozumny?

Meir podniósł twarz i z uniesieniem zawołał:

— On uczony jest, ale — bardzo głupi! X

Wykrzyk ten obudził pośród młodych ludzi najwyższe zdziwienie. Po dość długim dopiero milczeniu Ariel, syn wspańskiego morejnego Kalmana, wymówił z namysłem:

— A jak to może być, żeby człowiek uczonym był i razem głupim?

— A skąd ja mogę wiedzieć, jakim sposobem to może być? — odpowiedział Meir i oczy jego roztworzyły się szeroko, jakby spoglądał on w niezgłębioną dlań jakąś, a straszną przepaściłość.

Wnet potem zawiązała się rozmowa złożona z nadzwyczajnie szybko następujących po sobie pytań i odpowiedzi.

— Co on tobie mówił?

— On mnie same tylko głupie i złe rzeczy mówił!

— Dlaczego ty nie pytałeś się go o rzeczy rozumne?

— Ja pytałem się, ale on nie rozumiał nawet, czego ja od niego chcę!

— A czy on tobie nie powiedział, o czym on myśli?

— On powiedział, że myśli o tym, żeby kupić sobie piękną kamienicę, co jemu dwa tysiące rubli dochodu dawać będzie!

— O kamienicy on może sobie myśleć, ale o czym on więcej myśli?

— On powiedział, że o niczym więcej nie myśli!

— A co on tam na świecie robi?

— On w kancelarii papiery przepisuje, a jak powróci z kancelarii, papierosy pali i o kamienicy myśli.

— A co on o tych Żydach myśli, którzy edukacji takiej, jak on, nie odebrali i w wielkiej ciemności albo w wielkiej nędzy żyją?

— On o nich myśli, że to głupi i brudny naród jest!

— A co on tobie mówił, jak ty jemu opowiedziałeś o nas wszystkich, co chcemy dusze nasze z ciemnicy wybawić, a nie możemy?

— On mówił, że jak o tym swojej familii i swoim kolegom opowie, oni będą bardzo śmiać się!

— A z czego tu śmiać się? — zapytali chórem młodzi ludzie.

Potem nastąpiło długie milczenie, aż ze wszystkich razem piersi wybuchnął nagły i namiętny wykrzyk:

— A szlechter mész! (o! zły człowiek).

Po chwili stryjeczny brat Meira, Chaim, syn Abrama, wymówił:

— Meir! to ta edukacja i nauka, której my bardzo chcemy, złą chyba jest, kiedy ona ludzi złymi i głupimi robi?

A dwaj czy trzej inni młodzieńcy jednogłośnie zawołali:

— Meir! wytłumacz ty nam to!

Meir spojrzał po twarzach towarzyszy mętnym wzrokiem i opuszczając bladą twarz na obie dłonie odpowiedział:

— Ja już nie wiem!

W krótkiej odpowiedzi tej ozwało się głębokie, stłumione łkanie. Ale w tej chwili podniosła się w górę biała ręka kantora i odciągnęła od zmartwionej twarzy przyjaciela ukrywając ją dłonie jego.

— Niech serca wasze w wielki smutek nie zapadają! —

wymówił Eliezer — ja zaraz poproszę mistrza naszego, ażeby on na pytania wasze ustami mymi odpowiedział.

X Mówiąc to podniósł z ziemi wielką księgę starannie w zaroślach gaju ukrytą i z tryumfującym uśmiechem na łagodnych ustach ukazał towarzyszom pierwszą jej kartę. Na karcie tej wielkimi literami wydrukowane było imię i nazwisko Mojżesza Majmonidesa.

Młodzi ludzie przedstawiający teraz ściśle zbliżoną ku sobie gromadkę wyprostowali postawy swe, a na twarzach ich rozlał się wyraz uroczystej uwagi. Mędrzec izraelski przemówić do nich miał ustami ukochanego ich piewcy! Mistrz to był stary, zapomniany przez jednych, przez innych wyklęty, lecz dla nich święty i drogi, bo dotąd jedyny. Odkąd duch mistrza tego, w postaci kilku ksiąg grubych przywiezionych tu przez wracającego z dalekich światów Eliezera, wionął nad ich głowami, uczyli oni nie znany im dawniej wir myśli i bunt uczuć, smucić się, tęsknić i pragnąć zaczęli. A jednak za smutek i tęsknotę wdzięczni mu byli, a w strapieniach i wątpliwościach swych biegli ku niemu. Niestety! nie na wszystkie zapytania i skargi ich miał on odpowiedź i pociechę! Wieki upłynęły, czasy zmieniły się, długi łańcuch nowych coraz i coraz nowe prawdy niosących geniuszów nad światem pociągnął. Ale oni o żadnych innych geniuszach, prócz tego jednego, nie wiedzieli nic, a teraz, gdy otworzono przed nimi wielką księgę, gotowali się z radością i uroczystym nastrojem do przyjęcia w piersi swe oddechu starego jego mądrości.

Eliezer jednak nie zaraz czytać zaczął. Przewracał on karty książki szukając ustępu stosownego do okoliczności.

Tymczasem dziewczyna siedząca dotąd u brzegu sadzawki powstała spośród niezapominajek i kalin i brzegiem gaju, zwolna i cicho, przesuwając się ku gromadce młodych ludzi. Z dala już widzieć można było, jak czarne, ogromne jej oczy tkwiły nieruchomo w twarzy Meira. Zdawać się mo-

gło, że dostrzegła ona z dala rozpaczny ruch, którym zakrył on sobie twarz dłońmi i że pociągnęła ją wtedy ku niemu nieprzeciętna siła pociągu. Biała koza szła tuż za nią. Zniknęły obie na chwilę w zaroślach gaju, po czym wśród uplotów gałęzi brzoźowych zjawiła się i o parę kroków za Meirem stanęła Gołda. Przyszła tak cicho, że nikt jej nie spostrzegł; ramieniem otoczyła cienki pień brzozy i głowę opierając na kołyszącej się lekko gałęzi wzrokiem objęła pochyloną nieco głowę Meira. Innych obecnych tam ludzi zdawała się nie widzieć.

W tejże chwili dźwięcznym, czystym jak kryształ głosem Eliezer zawołał:

— Słuchaj, Izraelu!

Słowami tymi zaczyna się wiele świętych psalmów i każde pobożne czytanie izraelitów. Dla młodzieńców otaczających Eliezera słuchanie słów starego mistrza psalmem czci i głęboką modlitwą ducha być miało.

Eliezer śpiewnym i kołyszącym się nieco głosem czytać zaczął:

„Uczniowie moi! zapytujecie mnie, jaka siła pociąga w górę świetliste istoty niebieskie, które zwiemy gwiazdami i dlaczego jedne z nich podnoszą się tak wysoko, że giną w mlecznych mgłach, a drugie ciężko płyną pod niebo i zostają daleko za siostrami swymi?

„Odkryję przed wami tajemnicę, której ciekawi jesteście.

„Siłą pociągającą w górę świetliste ciała niebieskie jest Doskonałość, która mieszka na wysokościach najwyższych, a która w języku ludzkim ma imię Bóg. Gwiazdy zdjęte dla Doskonałości miłością i tęsknotą podnoszą się wciąż w górę, aby dostąpić większej jej bliskości, a z Mądrości jej i Dobroci coś dla siebie wziąć. Płyną one po przestrzeni przez wieki wieków i te z nich, które najwięcej rozkochane są w Doskonałości, zapłynęły już najwyżej, a te, co z cięższej ma-

terii złożone mniej pragną przyjąć w siebie cząstkę boskiej światłości, zostały daleko za siostrami swymi...

„Uczniowie moi! od tych istot świetlistych, które największej tęsknią i pragną i najbliżej Doskonałości są, pochodzą wszystkie zmiany, które stają się na podsiężycowym świecie... One to sprawiają przechodzenie i powstawanie, z nich rodzą się kształty i obrazy rzeczy...”

Umilkł Eliezer i podniósł twarz znad książki. Turkusowe oczy jego promieniały radością.

Młodzi ludzie jednak milczeli i myśleli długo usiłując dopatrzeć w przeczytanym im ustępie mędrca rozstrzygnięcia dręczących ich wątpliwości. Meir pierwszy zawołał:

— Eliezer! ja zrozumiałem!

— Wytlumacz nam! — zawołali chórem młodzieńcy.

Meir z rozważą odpowiedział:

— Są ludzie, co jak świetliste istoty niebieskie, o których pisze mędrzec, podnoszą dusze swoje w górę z tęsknoty za Doskonałością. Oni wiedzą o tym, że Doskonałość jest, i pragną z mądrości i dobroci jej wziąć coś w siebie. Ale są i tacy ludzie, co jak te gwiazdy z cięższej materii złożone, o których pisze mędrzec, nie kochają Doskonałości i nie pną się pod górę z tęsknoty za nią. Tacy ludzie trzymają duchy swoje bardzo nisko...

Zrozumieli teraz wszyscy. Radość promieniała na wszystkich twarzach. Tak drobnej, drobnej okruciny wiedzy i prawdy trzeba było, aby rozradować duchy te ubogie, a przecież tak bogate!

Meir pochwylił z rąk przyjaciela dobrze znać znaną sobie książkę i na innej karcie jej przeczytał jeszcze:

— „Aniołowie sami równymi sobie nie są. Stoją oni jeden nad drugim jak na szczeblach drabiny, a najwyższym z nich jest Duch wydający z siebie myśl i poznanie. Ten Duch jest ożywiającym Rozumem, a Hagada nazywa go książęciem świata! (Sar-ha-Olam)“.

— Najwyższym aniołem jest Duch wydający z siebie myśl i poznanie, a Hagada nazywa go „książęciem świata“ — powtórzył za Meirem chór głosów młodzieńczych, dźwięcznych, świeżych, a jednak tęsknych.

Wątpliwości ich rozproszonymi zostały. Poznanie odzyskało znowu cześć w ich umysłach, obudziło tęsknotę w sercach, a przed oczami przesunęło się w postaci anioła nad aniołami lecącego nad światem w purpurze książęcej, ze świetlistą obłoną wyłonionych przez się myśli.

Zaduma legła na czołach i w oczach młodzieńców. Zadumą cichego wieczora oblekała się w koło nich kwiecista łąka i leżąca za nią żółta równina. Przed nimi stanęły nad dalekim lasem szkarłatne chmury, za które skryła się tarcza słoneczna, za nimi gaj zielony drzemał nieruchomo i w mroczny cień zapadał.

Po łące i dalekich polach popłynął srebrzysty, przeciągły głos Eliezera.

— „We śnie ujrzałem ducha ludu mego!“ — śpiewać zaczął biały piewca Jehowy.

A pieśń to była nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć jak powstała. Kto utworzył ją? Nikt powiedzieć by nie potrafił. Wiersz jej pierwszy podał podobno przyjaciółom swym Eliezer po jednym ze snów swych tajemniczych i ekstatycznych, które nawiedzały go często, drugi dorobił Ariel, syn Kalmana, wtedy gdy w cienistym gaju samotnie grał na skrzypcach. Były w niej i takie, które wybuchnęły z piersi Meira, i inne, które nieśmiało wyszeptał dziecięcymi prawie usty Chaim, syn Abrama.

Tak powstają wszystkie pieśni ludowe. Rodowodem ich — serca tęskniące, myśli uciśnione, instynktowe rwania się ku lepszemu życiu.

Tak powstała i w Szybowie pieśń, którą teraz śpiewać zaczął kantor:

We śnie ujrzałem ducha ludu mego!
Czy miał on na ramionach purpurową szatę?
Czy po świetle nosiły go wozy bogate?...
6

Tu z głosem piewcy połączyły się głosy inne, a po łąkach
i polu rozległ się potężny chór odpowiedzi:

W prochu dróg kamienistych były stopy jego!
I prochem siwa głowa była osypana!
I łachmany słoniły mu chude kolana,
Które drżały!

W tym miejscu w chór śpiewających głosów młodzieńczych
wmiszał się szept wychodzący z brzozowych zarośli:

— Szaa! tu są ludzie, co was słuchają!

W istocie na drodze gaj przeryniającej czerniało w zmroku
kilka postaci męskich, bardzo powoli postępujących ku łące.
Ale śpiewacy nie słyszeli ani przestrogi Gołdy, ani szmeru
nadchodzących kroków.

Druga strofa pieśni rozbrzmiała po łące:

Och! smutny, biedny duchu ludu mego!
Czy na los twój zamknięte oko Pana twego?
Gdzie rozwiała się wielka pyszność twego tronu?
Czy na wieki powiedły już róże Syjonu?
Czy złamały się na wskrós już cedry Libanu?
Czy nie zabrzmi nigdy na podziękę Panu
Chóralny Twój śpiew?

Ostatni wiersz pieśni brzmiał jeszcze, gdy z drogi gaj prze-
zynającej weszli na łąkę trzej mężczyźni. Mieli oni na sobie
odświętne czarne, długie ubrania, a przepasani byli koloro-
wymi chustkami, które w dzień sabatu noszone zwykłym spo-
sobem być nie mogą, ale opasując odzież część jej stanowią
i grzechu nie czynią.

Pośrodku szedł ojciec kantora, Jankiel Kamionker, po obu
stronach jego postępowali Abram Ezofowicz, ojciec Chaima,
i morejne Kalman, ojciec Ariela.

Pomimo zmroku przy ostatnich światłach dnia ojcowie po-
znali synów swych, a synowie ojców. Głosy młodzieńców za-
drżały, przycichły i z kolei milkły, aż umilkło całe grono śpie-
waków i jeden tylko głos nie umilkł, lecz śpiewał dalej sam
jeden:

Czy nie wyjdiesz już nigdy z głębokich ciemności,
Czy nie zadrzą w mogiłach ojców twoich kości
Z dumy i rozradowania?

Był to głos Meira.

Poważni mężowie przebywający łąkę stanęli i obrócili się
twarzami ku skupionej w gaju gromadce młodzieńców, a w tej-
że chwili z samotnym głosem męskim połączył się głos ko-
biecy, czysty, donośny głos Gołdy, która ujrawszy rozgnie-
wane postacie mężów stojących wśród łąki zawtórowała Meiro-
wi, tak jakby chciała połączyć się z nim we wspólnej odwa-
dze i we wspólnym moście — niebezpieczeństwie.

I nie zważając na milczenie towarzyszy ani na groźne,
ciemne postacie wśród łąki stojące dwa połączone ze sobą głosy
te śpiewały dalej:

Niech nogi two spoczną, niech rany się zgoją.
Niech blaski świetliste ze źródła mądrości
Ukoją two bóle, nędze i ciemności!
Niech zabrzmi dla ciebie róg zmartwychwstania!
Niechaj z kajdan uwolni smutną duszę twoją
Anioł poznania!

Pieśń miała tylko trzy te strofy. Umilkły więc z ostatnim
jej wierszem śpiewające je głosy: męski i kobiecy.

Dostojnicy gminy stojący dotąd wśród łąki zwrócili się ku
miasteczku i głośno, gniewnie rozmawiając ze sobą, dążyli ku
domowi Ezofowiczów.

Abram, syn Saula, różnił się wielce ze starszym bratem swoim, Rafałem. O ile wysoki, czarnowłosy, piękny jeszcze mimo swych lat pięćdziesięciu kilku Rafał poważnym był, rozważnym i małowównym, o tyle niski, przygarbiony, z popielatymi od siwizny włosami Abram zapalczywym wydawał się, wrażliwym i namiętnym. Mowa jego była prędką, gesta posiadały gwałtowność namiętnej natury, wzrok iskrzył się i ponuro najczęściej spuszczał się ku ziemi.

Obaj bracia byli uczeni i uczonością swą zdobyli sobie od dawna wysoko cenioną w gminie godność morejnowską. Ale Rafał studiował przede wszystkim Talmud i uchodził za jednego z największych znawców jego, Abram zaś przekładał mistyczne zaciekania się w przepaściste tajemnice Zoharu. Rafał posiadał w daleko wyższym stopniu niż brat jego szacunek i zaufanie innowierców, z którymi wiódł interesy liczne, Abram za to cieszył się żywszą sympatią ludności szybowskiej, większą łaską rabina i ściślejszą przyjaźnią z dostojnikami, więc z mędrcami i bogaczami gminy.

Najściślejsza przyjaźń łączyła go z dwoma wysokimi urzędnikami kahału: morejnej Kalmanem i pobożnym Janklem Kamionkerem. Poza miasteczkiem trzej ci mężowie współnikami byli w wielu handlowych sprawach takich, jak kupna, sprzedaże, dzierżawy, w miasteczku, w dniach odpoczynku, schodzili się ze sobą często na wspólne nabożne czytania i rozmyślanie, a każdej soboty odbywali razem przechadzki zamiejskie, o tyle dalekie, o ile pozwolonym jest prawemu izraelicie oddalać się w dzień ten od ścian mieszkania swego. Nigdy więc nikt nie widział, aby oddalili się oni od mieszkań swych więcej niż o dwa tysiące kroków i czasem tylko, kiedy głębie cieniostego gaju wabiły zbyt ponętnie czoła ich spalone skwarem i osypane kurzawą napętniającą miasteczko, pochylali się oni ku ziemi i na miejscu tym, na którym stopa ich stanęła po raz dwutysięczny, zakopywali mały okrawek chleba. Tym sposobem miejsce chroniące w sobie okrawek domowego chleba

przedstawiało już sam dom ich i wolno im było przedłużyć przechadzkę swą o drugie dwa tysiące kroków. Idąc zresztą milczeli zazwyczaj, ponieważ ze skrupulatnością nieporównaną liczyli w myśli swej czynione przez się kroki, ludzie zaś prości, ubodzy na ciele i duchu, widując ich idących tak zwolna w milczeniu i z zamyślonymi twarzami dziwowali się wielce mądrości i uwielbiali prawowierność uczonych swych i bogaczy, podnosili się z miejsc swych na widok ich i nie siadali póty, dopóki nie tracili z oczu poważnie sunących się ich postaci, albowiem napisane jest: „Kiedy zobaczysz przechodzącego mędrca, powstawaj i nie siadaj dopóty, dopóki nie zniknie on z twych oczu“.

Przy powrocie jednak z przechadzek rozwiązywały się języki trzech dostojników. Nie potrzebowali już oni zwracać pilnej uwagi na każde stąpienie nóg własnych, toczyli więc rozmowy poufne i ożywione, w których przecież Kamionker przyjmował udział największy, a Kalman najmniejszy; pierwszy bowiem najgadatliwszym był, a drugi najbardziej milczącym spomiędzy wszystkich mędrców, którym przyświecało kiedy boże słońce. Kalman uśmiechał się zawsze pulchnymi ustami i wydawał się wzorem łagodności, jak też doskonałego zadowolenia z całego świata i przede wszystkim z samego siebie; Kamionker, przeciwnie, nie śmiał się nigdy prawie, miał pozór człowieka wiecznie czymś zgryzionego, a małe oczy jego miały czasem błyski dzikiej srogości.

Nigdy przecież mieszkańcy nędznych uliczek położonych u skraju miasteczka nie widzieli trzech poważnych i poważanych mężów idących tak śpiesznie i rozmawiających tak gwarnie, jak wieczoru tego, w którym po zielonej łące i żółtej równinie rozbrzmiewały echa chóralnej pieśni młodzieńczej. Sam nawet wspaniały Kalman odzywał się od czasu do czasu, niezmienny uśmiech swój utracił i jedną rękę z kieszeni wydobyl. Co się tyczy Jankla Kamionkera, ten tak gwałtownych ruchów dokonywał idąc, że aż poły długiej odzieży

jego rozwiewały się na obie strony na kształt czarnych, łopocących skrzydeł. A Abram Ezofowicz chustkę, którą opasany był, rozwiązał i w rękę nieść ją zaczął. Oznakę tę bezprzytomnego prawie uniesienia spostrzegł wspaniały Kalman i wnet cichymi słowy przestrzegł przyjaciela przed popełnianym w nieuwadze grzechem. Abram umilkł nagle, bo strasznie przeraził się własnym czynem, i z pośpiechem wielkim biodra swoje na nowo chustką przepasał.

Stało się to już na ganku domostwa Ezofowiczów. W ciemnym, wąskim korytarzu zaszumiały szybkie kroki i gwałtownie rozwiewające się poły sukien. Trzej mężowie weszli do izby, w której, stary Saul siedział jeszcze na żółtej kanapie czytając wielką księgę jakąś przy świetle dwóch świec palących się w ciężkich, staroświeckich, srebrnych lichtarzach. Ujrawszy wchodzących gości zdziwił się nieco, pora była bowiem spóźniona i do odwiedzin niewłaściwa. Powitał ich przecież przyjaznym skinieniem głowy i wskazał ręką krzesła przy kanapie stojące. Przybyli dostojnicy nie zajęli miejsc im wskazanych, lecz stanęli wszyscy trzej przed Saulem. Jakkolwiek twarze ich gniew rozogniały, postawy ich uroczystymi były. Ułożyli się znać ze sobą o sposób i porządek oskarżenia, pierwszy bowiem Kamionker głos zabrał.

— Rebe Saul! — rzekł — my przyszedliśmy tu ze skargą na wnuka twego, Meira!

Po twarzy Saula przebiegło przykre, bolesne niemal drgnienie.

— A co on złego znowu zrobił? — zapytał cichym głosem.

Kamionker zrazu uroczyście, potem zaś coraz więcej unosząc się i miotając mówić zaczął:

— Wnuk twój, Meir, synów naszych psuje! on dusze ich buntuje przeciw nam i świętym zakonom naszym; czyta im książki wyklęte i w sabat świeckie pieśni z nimi śpiewa! Ale on nie tylko jeszcze to robi! On z karaïmską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma i my widzieliśmy jego teraz na

łące, jak synowie nasi u nóg jego, jak u nóg mistrza jakiego, leżeli, a nad głową jego karaïmska dziewczyna stała i razem z nim śpiewała obrzydliwe pieśni!

Zdyszany od zapalczywego mówienia umilkł na chwilę reb Jankiel, a morejne Kalman patrząc na Saula swymi miodowymi i nieco osowiałymi oczami wyrzekł z wolna:

— Mój syn, Ariel, tam był i ja jego za to ukarzę!

Abram patrząc ponuro w ziemię wymówił także:

— I mój syn, a twój, tate, wnuk, Chaim, tam był, i ja jego za to ukarzę!

A potem wszyscy trzej rzekli razem:

— Ukarz Meira!

Saul pochylił nisko twarz zasmuconą bardzo.

— Panie świata! — szepnął drżącymi usty — czy ja zasłużyłem na to, abyś światło oczu moich w ciemności zamienił?

Potem podniósł głowę i wyrzekł stanowczym głosem:

— Ja jego ukarzę!

Abrama oczy tkwiły w twarzy ojca i iskrzyły się.

— Tate — rzekł — myśl ty najwięcej o tej karaïmskiej dziewczynie. Ona Meira psuje, a on psuje naszych synów. Ta nieczysta przyjaźń, którą oni ze sobą trzymają, wstydem jest wielkim dla całej rodziny naszej. Ty wiesz, tate, jaki u nas obyczaj jest. Żaden z prawych izraelitów znać nie powinien przez całe życie swoje innej kobiety jak tę, którą rodzice jego za żonę mu dadzą...

— Nie powinien! — krzyknął gwałtownie reb Jankiel, a twarz Kalmana z różowej stała się pąsową. Czystość obyczaju ludzi tych była tak wielką, że siwe włosy na głowie mając rumienili się oni ze wstydu przy rozmowie o „nieczystej przyjaźni“ mężczyzny z kobietą. Zdawało się, że nawet pomarszczone czoło Saula oblekło się bladoróżową barwą.

— Ja Meira ożenię prędko! — rzekł.

Abram odpowiedział:

— Dopóki on karaïmską dziewczynę widywać będzie, do-
póty on żenić się nie zechce!

— A co z nią zrobić, żeby on jej nie widywał? — z roz-
paczą prawie zawołał starzec.

Trzej stojący przed nim mężowie spojrzeli wzajem na
siebie.

— Z nią trzeba coś zrobić! — wymówili jednogłośnie.

Po chwili długiego milczenia, myślenia i wzajemnego na
siebie patrzania dwaj goście skłoniwszy się przed Saulem ode-
szli. Abram pozostał w izbie.

— Tate! — rzekł — a jak ty jego ukarać myślisz?

— Ja jemu każę przez cały tydzień w bet-ha-midrász sie-
dzieć i psalmy mówić i Talmud czytać...

— Co to pomoże! — z niecierpliwym gestem rzucił
Abram — ty, tate, każ go lepiej wybrać!

Saul trzymał wciąż twarz nisko pochyloną.

— Ja jego bić nie każę! — odpowiedział po chwili mil-
czenia.

I dodał ciszej:

— Dusza Michała przeszła w ciało ojca mego, Hersza, a du-
sza ojca mego, Hersza, zamieszkała w ciele Meira...

— A skąd to można wiedzieć? — zapytał Abram, tknięty
jednak żywo i widocznie słowami ojca.

— Duszę tę poznała naprzód prababka jego, żona Her-
sza, a potem poznał ją rabbi Izaak.

Westchnął ciężko Saul i powtórzył:

— Ja jemu każę przez cały tydzień w bet-ha-midrász sie-
dzieć i Talmud czytać! On przez cały tydzień nie będzie jadł
ani spał pod dachem moim, a szames (posłaniec synagogi)
karę i wstyd jego po całym mieście ogłosi!...

SPIS RZECZY:

	Str.
Wstęp	7
I	38
II	49
III	83
IV	102
V	122
VI	152

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

— EX LIBRIS —

1451/I

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



1451